

Arthur C. Clarke

GWIAZDA



FANTASTYKA
TRZYGODKA

CLARKE ARTHUR C.

Gwiazda

ARTHUR C. CLARKE

wybór: Wiktor Bukato

przełożyli: Marek Cegiela, Irena Czubińska, Leontyna Ostrowska, Julian Stawiński, Robert Stiller

ISKRY Warszawa 1989

Opowiadania zaczerpnięto z tomów:

Expedition to Earth

The Other Side of the Sky

Reach for Tomorrow

Tales of Ten Worlds

The Wind from the Sun

Opracowanie graficzne serii: Marek K. Zalejski

Ilustracja na okładce: Dariusz Chojnacki

Ilustracja na frontyście: Marek K. Zalejski

Redaktor: Zofia Uhrynowska

Redaktor techniczny: Elżbieta Kozak

Korektor: Jolanta Rososińska

Wydanie I

Nr 20

ISBN 83-207-1174-6

Copyright:

The Star („Gwiazda”) – Infinity Science Fiction- 1955

Dial F for Frankenstein („Halo, kto mówi?”) – Playboy – 1964

Rescue Party („Wyprawa ratunkowa”) – Astounding Science Fiction – 1946

The Nine Billion Names of God („Dziewięć miliardów imion Boga") – Atar Science Fiction Stories – 1953

The Forgotten Enemy („Zapomniany wróg") – King's College Review – 1948

The Fires W/f/t/n („Ogień od wewnątrz") – Fantasy – 1947

Technical Error („Przeoczenie") – Fantasy – 1946

The Parasite („Pasożyt") – Avon Science Fiction and Fantasy Reader – 1953 /

Trouble With the Natives („Kłopoty z tubylcami") – Reach for Tomorrow – 1956

Security Check („Areszt prewencyjny") – Magazine of Fantasy and Science Fiction – 1957

Publicity Campaign („Kampania reklamowa") – Evening News – 1953

If I Forget Thee, oh Earth („Jeśli zapomnę cię. Ziemi...") – Future Science Fiction – 1951

Second Dawn („Powtórka z historii") – Science Fiction Quarterly – 1951

Superiority („Przewaga") – Magazine of Fantasy and Science Fiction – 1951

The Wall of Darkness („Ściana ciemności") – Super Science Stories – 1949

Before Eden („U progu raju") – Amazing Stories – 1961

Hide-and-Seek („Zabawa w chowanego") – Astounding Science Fiction – 1949

The Sentinel („Posterunek") – Stories into Film – 1979

For the Polish edition copyright by Państwowe Wydawnictwo „Iskry". Warszawa 1989 Design and Illustrations © by Artists, Warszawa 1989

Spis treści

- GWIAZDA (przełożył Marek Cegiela) – 5**
- HALO, KTO MÓWI? (przełożyła Leontyna Oitrowikt) – 11**
- WYPRAWA RATUNKOWA (przełożył Julian Stawiński) – 18**
- DZIEWIĘĆ MILIARDÓW IMION BOGA (przełożył Marek Cegiela) – 41**
- ZAPOMNIANY WRÓG (przełożyła Irena Czubińska) – 48**
- OGNIE OD WEWNĄTRZ (przełożył Robert Stiller) – 54**
- PRZEOCZENIE (przełożył Marek Cegiela) – 63**
- PASOŻYT (przełożył Marek Cegiela) – 79**
- KŁOPOTY Z TUBYLCAMI (przełożył Marek Cegiela) – 90**
- ARESZT PREWENCYJNY (przełożył Marek Cegiela) – 102**
- KAMPANIA REKLAMOWA (przełożył Marek Cegiela) – 107**
- „JEŚLI ZAPOMNĘ CIĘ, ZIEMIO...” (przełożył Marek Cegiela) – 112**
- POWTÓRKA Z HISTORII (przełożył Marek Cegiela) – 117**
- PRZEWAGA (przełożył Marek Cegiela) – 146**
- ŚCIANA CIEMNOŚCI (przełożył Marek Cegiela) – 156**
- U PROGU RAJU (przełożył Marek Cegiela) – 174**
- ZABAWA W CHOWANEGO (przełożył Marek Cegiela) – 185**
- POSTERUNEK (przełożył Marek Cegiela) – 196**

GWIAZDA

Do Watykanu pozostało trzy tysiące lat świetlnych. Niegdyś uważałem, że kosmos nie może mieć żadnego wpływu na wiarę, tak samo jak sądziłem, że nieboskłon głosi chwałę dzieła bożego. Teraz już wiem, jak wygląda to dzieło, i mam poważne kłopoty z moją wiarą. Utkwiłem wzrok w krucyfiksie wiszącym na ścianie kabiny, nad komputerem szóstej generacji, i po raz pierwszy w życiu zastanawiam się, czy on już nie jest niczym więcej jak tylko pustym symbolem.

Jeszcze nikomu nic nie mówiłem, ale ta prawda nie da się ukryć. Wszyscy mogą zapoznać się z faktami utrwalonymi na niezliczonych kilometrach taśmy magnetycznej i na fotografiach, które ze sobą wieziemy wracając na Ziemię. Inni uczeni mogą je zinterpretować równie łatwo jak ja, a nie należę do ludzi, którzy wybaczą sobie manipulowanie prawdą, czym zakon mój często zdobywał sobie złą sławę w dawnych czasach.

Załoga jest już i tak wystarczająco przygnębiona: ciekaw jestem, jak przyjmie tę pełną ironii rozstrzygającą prawdę. Zaledwie kilka osób żywi jakieś uczucia religijne, jednak nie sprawi im przyjemności użycie tej ostatecznej broni w kampanii skierowanej przeciwko mnie – w owej prywatnej i przyjacielskiej, lecz w gruncie rzeczy poważnej wojnie, jaka toczy się przez cały czas od chwili opuszczenia Ziemi. Bawi ich, że za naczelnego astrofizyka mają jezuitę: taki, na przykład, dr Chandler ciągle nie może o tym zapomnieć (dlaczego medycy są tak notorycznymi ateistami?). Czasami spotykamy się na pokładzie widokowym, gdzie zawsze panuje tak głęboki półmrok, że gwiazdy świecą pełnym blaskiem. Podchodzi do mnie w ciemności, zatrzymuje się i patrzy przez wielki owalny iluminator, a tymczasem niebo kręci się powoli dookoła nas, w miarę jak statek z wolna koziółkuje, nigdy bowiem nie zadaliśmy sobie trudu, żeby to skorygować.

–No, cóż, ojczyźnie wielbny – mówi w końcu. – Kręci się tak zawsze i wciąż, a chyba Coś go stworzyło. Ale jak można wierzyć, że to Coś

interesuje się akurat nami i tym naszym godnym pożalowania światkiem... właśnie tego. nie rozumiem.

Potem zaczyna się dyskusja, podczas gdy gwiazdy i mgławice bezgłośnie zataczają łuki w swoim nieskończonym ruchu za idealnie przezroczystym plastikim iluminatorem.

"* • Myślę, że pozorna absurdalność mojego stanowiska dostarcza załodze najwięcej rozrywki. Na próżno powołuję się na trzy moje referaty w Dzienniku Astrofizycznym i pięć dalszych w miesięczniku Królewskiego Towarzystwa Astronomicznego. Przypominam im, że mój zakon od dawna słynie z prac naukowych. Może obecnie jest nas niewielu, ale od osiemnastego wieku nasz wkład w astronomię i geofizykę jest nieporównywalnie większy, niż wskazywałyby na to liczba jezuitów. Czy moje sprawozdanie na temat Mgławicy Feniksa oznaczają koniec naszej tysiącletniej historii? Obawiam się, że to koniec czegoś więcej.

Nie wiem, kto nadał mgławicy tę nazwę, ale mnie wydaje się ona bardzo nieodpowiednia. Jeśli zawiera proroctwo, to będzie można je sprawdzić dopiero za parę miliardów lat. Nawet słowo „mgławica” wprowadza w błąd: obiekt jest znacznie mniejszy od tych ogromnych chmur pyłu – tworzywa nie narodzonych gwiazd – rozproszonych po całej Drodze Mlecznej. Na skalę kosmiczną Mgławica Feniksa jest w istocie maleństwem •- warstwą rozrzedzonego gazu otaczającą pojedynczą gwiazdę.

Albo to, co z gwiazdy pozostało...

Ryciną Rubensa przedstawiająca Loyolę zdaje się ze mnie drwić* "wisząc nad wykresami

spektrofotometru. Co byś ty, ojczec, uczynił z tą wiedzą, która znalazła się w moim posiadaniu tak daleko od tej niewielkiej planety. Całego wszechświata, jaki znałeś? Czy twoja wiara oparłaby się temu, co pokonało moją?

Patrzysz w dal, ojczec, a ja zawędrowałem dalej, niż mógłbyś sobie wyobrazić, kiedy zakładałeś nasz zakon przed tysiącem lat. Żaden statek badawczy jeszcze, nie znalazł się w takiej odległości od Ziemi: jesteśmy na samej granicy zbadanego wszechświata. Wyruszyliśmy, by dotrzeć do Mgławicy Feniksa; udało się i teraz wracamy do domu, dźwigając brzemię - naszej wiedzy. Chciałbym zrzucić z siebie to brzemię, lecz daremnie cię wzywam poprzez wieki i lata świetlne, które nas dzielą.

Trzymasz w ręku książkę, a na niej są proste słowa. AD MAIOREM DEI GLORIAM – mówi to przesłanie, ale ja nie mogę w nie wierzyć. A czy ty dalej byś w nie wierzył, widząc to, co myśmy znaleźli?

Wiemy, rzecz jasna, czym niegdyś była Mgławica Feniksa. Choćby

tylko w naszej galaktyce" wybucha co roku ponad sto gwiazd, które na kilka godzin czy dni rozbłyskują światłem o tysiąc razy silniejszym od ich normalnej jasności, nim na powrót zapadną w nicość i mrok.-To zwyczajne gwiazdy nowe – takie kataklizmy są we wszechświecie na porządku dziennym. Podczas pracy w Obserwatorium Księżycowym sam zarejestrowałem dziesiątki tego rodzaju wybuchów w postaci spektrogramów i wykresów natężenia światła.

Ale trzy lub cztery razy na tysiąc lat występuje zjawisko, przy którym całkowicie blednie nawet gwiazda nowa.

Kiedy powstaje supernowa, jej światło jest w stanie na krótką chwilę przyćmić wszystkie słońca w całej galaktyce. Takie zjawisko zaobserwowali w roku 1054 n.e. chińscy astronomowie, nie zdając sobie sprawy, na co patrzą. Pięć wieków później, w roku 1572, supernowa zapłonęła w gwiazdozborze Kasjopei tak jasno, że było ją widać nawet za dnia. W ciągu tysiąca lat, które minęły od tego czasu, nastąpiły jeszcze trzy podobne wybuchy.

Nasza misja miała za cej dotrzeć do tego, co zostało po takim kataklizmie, zrekonstruować wydarzenia, które do niego doprowadziły, a także, w miarę możliwości, ustalić jego przyczynę. Zbliżyliśmy się powoli wskroś koncentrycznych, wciąż rozszerzających się warstw gazu wyrzuconego siłą eksplozji sprzed sześciu tysięcy lat. Jeszcze teraz promieniowały ostrym fioletowym światłem i były niezmiernie gorące, lecz równocześnie zbyt rzadkie, aby mogły wyrządzić nam jakąkolwiek szkodę. Wybuch nadał zewnętrznym warstwom gwiazdy taką prędkość, że zupełnie opuściły pole jej grawitacji. Obecnie tworzyły płaszczyznę otaczającą pustkę, w której zmieściłoby się tysiąc układów słonecznych, a w jej centrum płonął niewielki fantastyczny obiekt, w jaki teraz przekształciła się gwiazda – biały karzeł, mniejszy od Ziemi, lecz ważący milion razy więcej niż ona.

Jarzące się wokół nas warstwy gazu zamieniły głęboką noc przestrzeni międzygwiazdnej w

jasny dzień. Lecieliśmy w kierunku centrum bomby kosmicznej, która detonowała przed tysiącami lat i której rozżarzone odłamki ciągle jeszcze się rozpraszały. Ogromna skala eksplozji oraz fakt, że szczątki gwiazdy uleciały w przestrzeń już na odległość wielu miliardów kilometrów, pozbawiały ten widok jakiegokolwiek dostrzegalnego ruchu. Nie uzbrojone oko dopiero po, dziesiątkach lat mogłoby zauważyć jakieś zmiany w położeniu owych spiral i pasm gazii, jednakże odnosiło się nieodparte wrażenie gwałtownej ekspansji.

Wyłączyliśmy nasz główny napęd już wiele godzin temu i teraz siłą

bezwładu lecieliśmy w kierunku niewielkiej gorejącej gwiazdy. Niegdyś przypominała nasze Słońce, lecz w ciągu zaledwie kilku godzin roztrwonila energię, która pozwoliłaby jej płonąć jeszcze przez milion lat. Teraz była skarłałym skąpcem, gromadzącym zapasy, jakby chciała naprawić błędy swej rozrzutnej młodości. x

Nikt nie myślał poważnie, że znajdziemy -tam jakieś planety. Jeśli nawet istniały przed wybuchem, to zamieniły się w kłęby pary. ginąc w masie szczątków samej gwiazdy. Jednak przeprowadziliśmy rutynowe poszukiwania, jak zawsze przy zbliżaniu się do niez/ianego słońca, i wkrótce odkryliśmy jedną niewielką planetę, krążącą wokół gwiazdy w ogromnej odległości. Musiał to być chyba jakiś Pluton układu, który zniknął, krążył bowiem po orbipie leżącej na granicy wiecznej nocy. Zbyt odległy od słońca, aby mógł poznać życie,, lecz dzięki odosobnieniu zdołał uniknąć losu swych dawnych towarzyszy.

Płomień wybuchu osmalil mu skały, spalając płaszcz mroźnego gazu. który okrywał go przed wybuchem. Po wylądowaniu znaleźliśmy Podziemia.

Zadbali o to ich budowniczy. Stojący u wejścia słup wykonany z monolitu teraz przypominał stopiony kikut, ale już zdjęcia wykonane z dużej odległości wskazywały, że to dzieło inteligencji. Nieco później pod powierzchnią skał wykryliśmy radioaktywność układającą się we wzór o rozmiarach kontynentu. Jeśli nawet pylon u wejścia do podziemi uległby zniszczeniu, owa radioaktywność tam pozostanie jak niemal wieczna latarnia, wysyłająca sygnały ku gwiazdom. Nasz statek opadał w sam środek- tego obszaru niby wymierzona w tarczę strzała.

Pylon musiał mieć ponad półtora kilometra wysokości, kiedy go wzniesiono, lecz teraz przypominał ogarek wypalanej świecy w kałuży stearyny. Przewiercanie stopionej skały zajęło nam tydzień.-ponieważ brakowało odpowiednich do tego celu narzędzi. Byliśmy przecież astronomami, a nie archeologami, pozostało więc jedynie improwizować. Zapomnieliśmy o naszym podstawowym zadaniu, ten samotny pomnik bowiem, wystawiony z takim nakładem pracy w możliwie największej odległości od skazanego na zagładę słońca, mógł oznaczać tylko jedno: jakaś cywilizacja wiedziała, że wkrótce sginie, i w ten sposób chciała zapewnić sobie nieśmiertelność.

Zbadanie wszystkich zgromadzonych w podziemiach skarbów jest zajęciem dla wielu, pokoleń. Ci, co je tam ukryli, zapewne mieli mnóstwo czasu na przygotowania* ponieważ pierwsze

oznaki nieuchronnej katastrofy pojawiły się na ich słońcu wiele lat przed wybuchem. Zanim nastąpił

koniec, na tę odległą planetę przenieśli _wszystko, co pragnęli wszelkie owoce swego geniuszu. W nadziei, że ktoś je odna^\\ całkiem o nich nie zapomni. Czy postąpilibyśmy tak samo? Zapamiętani w niedoli nie pomyślelibyśmy o przyszłości, które) dane nam było zobaczyć i która nigdy by się nie stała naszym u«

Żeby tylko mieli trochę więcej czasu! Swobodnie podróżowali rym planetami swego słońca, lecz jeszcze nie nauczyli się pokonywać międ/ gwiazdnej pustki, a do najbliższego układu słonecznego było sto lat świe-s<tlnych. Ale gdyby nawet znali sekret napędu pozaskończonego, mogliby uratować nie więcej niż parę milionów. Może to i lepiej, że tak się stało.

Byli uderzająco podobni do ludzi, o czym świadczą rzeźby, ale nawet bez tego musielibyśmy ich podziwiać i ubolewać nad ich losem. Pozostawili obfitą dokumentację wizualną i urządzenia do jej odtwarzania wraz ze szczegółowymi instrukcjami obrazkowymi, które ułatwiają poznanie ich języka pisanego. Obejrzelismy sporą część tego przekazu i po raz pierwszy od sześciu tysięcy lat odżyło ciepło i uroda cywilizacji, która pod wieloma względami przewyższała naszą. Pokazali nam, być może, tylko to, co najlepsze, ale trudno ich za to potępiać. Ich planety były cudowne, a miasta dorównywały elegancją wszystkiemu, co zbudował człowiek. Oglądaliśmy ich przy pracy i w zabawie, słuchając melodyjnej mowy sprzed wieków, Wciąż mam w oczach pewną scenę: plaża pokryta dziwnie błękitnym piaskiem, a w wodzie grupa rozbawionych dzieci, zupełnie jak na Ziemi. Brzeg porastają osobliwe, przypominające bicz drzewa, na płyciźnie zaś brodzi jakieś, bardzo duże zwierzę, nie zwracając niczyjej uwagi. ' ' –

A na horyzoncie zachodzi ciągle jeszcze ciepłe, przyjazne i życiodajne słońce, które stanie się zdrajcą i unicestwi to bezgrzeszne szczęście.

Może by to nas tak bardzo nie poruszyło, gdybyśmy znajdowali się bliżej domu i nie odczuwali samotności. Wielu z nas widywało już*ruiny dawnych cywilizacji na innych planetach, ale nigdy nie wstrząsnęły nami aż tak głęboko. To była wyjątkowa tragedia. Co innego zginąć w sposób naturalny, jak to się stało z wieloma narodami' i kulturami na Ziemi. Ale żeby ulec tak całkowitej zagładzie w pełnym rozkwicie, u szczytu osiągnięć, w kataklizmie, którego nie przeżył nikt -jak można to pogodzić z miłosierdziem bożym?

Moi koledzy zadają mi to pytanie, a ja odpowiadam, " jak umiem. Kto wie, może,ty zrobiłbyś to lepiej, ojciec Loyola, jednak w Exercitia Spiritualia nie znalazłem niczego, co by mi w tym, pomogło. To nie byli źli ludzie i nie wiem, do jakich bogów się modlili, jeżeli w ogóle mieli

jakichś bogów. Ale spojrzałem na nich poprzez wieki i widziałem, jak te wspaniałości, które uchronili resztkami sił, odrodziły się w świetle ich skarłałego słońca. Mogliby nas wiele nauczyć – dlaczego ich zniszczono?

Znam odpowiedzi, jakich udzielą moi koledzy, kiedy powrócą na Ziemię. Powiedzą, że

wszechświat nie ma ani celu, ani planu, że co roku słońce wybucha w naszej galaktyce i dlatego w tej chwili, gdzieś w otchłani kosmosu, ginie jakaś rasa. To, czy za życia istoty te postępowały dobrze, czy źle, w końcu będzie bez znaczenia: nie ma sprawiedliwości bożej, ponieważ nie ma Boga.

Ale oczywiście to, co widzieliśmy, niczego takiego nie dowodzi. Ktokolwiek rozumuje w ten sposób, nie kieruje się logiką, lecz działa pod wpływem emocji. Bóg nie musi usprawiedliwiać swych czynów przed człowiekiem. Ten, Który stworzył wszechświat, może go zniszczyć, kiedy zechce. To pycha, to niemal bluźnierstwo mówić, co Mu wolno robić, a czego nie.

Z tym jeszcze mógłbym się zgodzić, choć tak przykro patrzeć, gdy całe planety ze wszystkimi ich mieszkańcami rzuca się na pastwę ognia. Ale przychodzi taka chwila, kiedy nawet najgłębsza wiara musi się zachwiać, i teraz, spoglądając na leżące przede mną obliczenia, wiem, że w końcu i mnie to spotkało.

Przed dotarciem do mgławicy nie potrafiliśmy ustalić, kiedy nastąpił wybuch. Obecnie, na podstawie obliczeń astronomicznych i dokumentacji znalezionej w skałach jedynej zachowanej planety, mogę to zrobić bardzo dokładnie. Wiem, w którym roku światło tej kolosalnej pożogi dotarło do naszej Ziemi. Wiem, jak wspaniale na rozgwieżdżonym niebie świeciła supernowa, której pozostałości znikają w tej chwili za naszym rozpędzonym statkiem. Wiem, jak błyszcziała na wschodzie tuż nad horyzontem, przypominając światło przewodnie o świcie, zanim wstało słońce.

Nie ma żadnych racjonalnych wątpliwości – odwieczna tajemnica została ostatecznie rozwiązana. Ale... o, Boże... miałeś przecież do wyboru tyle innych gwiazd. Dlaczego musiałeś spalić właśnie ten lud, żeby płomień jego zagłady mógł stać się symbolem świecącym nad Betlejem?

Przełożył Marek Cegiela

HALO, KTO MÓWI?

Dwieście pięćdziesiąt milionów ludzi w tym samym momencie podniosło słuchawkę telefonu, by przez parę sekund w zdumieniu lub z irytacją trzymać ją przy uchu. Obudzeni w środku nocy przypuszczali, że to jakiś daleko mieszkający przyjaciel chce się z nimi połączyć za pośrednictwem satelitarnej sieci telefonicznej, którą z wielką pompą i reklamą oddano poprzedniego dnia do użytku wszystkich mieszkańców Ziemi. Ale nikt się nie zgłaszał. W słuchawce słyhać było tylko dźwięk, który przypominał szum morza, innym zaś kojarzył się z drganiem strun harfy na wietrze. Jeszcze inni mieli wrażenie, że słyszą w tym momencie zapamiętany z dzieciństwa tajemniczy szum krwi pulsującej w żyłach, kiedy do ucha przyłoży się muszlę. Cokolwiek to jednak było, nie trwało dłużej niż dwadzieścia sekund. Potem rozległ się znowu normalny sygnał telefonicznej centrali. x'

Abonenci telefonów na całym świecie zakłękli, mruknęli: „Pewnie omyłka” – i odłożyli słuchawki. Po jakimś czasie wszyscy zapomnieli o tym błahym wydarzeniu. Wszyscy, z wyjątkiem tych, których obowiązkiem było zaniepokoić się taką sprawą.

W Naukowym Instytucie Badawczym Poczty i Telekomunikacji w Londynie dyskusja na ten temat toczyła się przez całe popołudnie, uparcie, choć bez rezultatu. Nawet w czasie przerwy, kiedy zgłodniaли inżynierowie wyszli do sąsiedniej kawiarenki na lunch, ani na chwilę nie przerwano „omawiania tej sprawy.

–A ja twierdzą – upierał się inżynier Willy Smith, specjalista w zakresie fizyki ciała stałego – że to był po prostu chwilowy skok prądu, spowodowany włączeniem sieci telefonicznej z satelity.

–Na pewno zjawisko to miało jakiś związek z satelitami.– zgodził się ziewając szeroko Jules Reyner, projektant obwodów – ale skąd się wzięła zwłoka w czasie? Sieć z satelity podłączono o północy, a sygnał

w telefonach rozległ się dwie godziny później, czego wszyscy doświadczyliśmy na sobie.

–A co pan o tym myśli, doktorze? – spytał Bob Andrews, programista komputera. – Był pan taki milczący przez cały ranek. Na pewno ma pan jakąś koncepcję.

Dr John Williams, kierownik Działu Matematycznego, poruszył się niespokojnie.

–Tak – odpowiedział. – Mam pomysł. Ale boję się, że nie weźmiecie tego na serio.

–Nic nie szkodzi. Jeżeli nawet pomysł byłby tak zwariowany, jak te bajeczki fantastycznonaukowe, które pan pisuje pod pseudonimem, mógłby stanowić chociaż jakiś punkt zaczepienia.

Williams poczerwieniał, ale nie wyglądał na bardzo zmieszanego. Jego twórczość literacka była publiczną tajemnicą i w gruncie rzeczy wcale się tego nie wstydził. Poza tym opowiadania zostały już przecież wydane w formie książkowej.

–A więc dobrze – powiedział kreśląc coś machinalnie na obrusie. – Jest coś, nad czym łamałem sobie głowę od lat. Czy zastanawialiście się kiedyś nad analogią między automatyczną siecią telefoniczną a mózgiem ludzkim?

–Cóż w tym nowego? – zdziwił się jeden ze słuchaczy. – Po raz pierwszy odkryto to jeszcze chyba w czasach Grahama Bella.

–Być może. Nie roszczę sobie pretensji do oryginalności. Mówię tylko, że nadszedł czas, żeby to porównanie zacząć brać na serio.

Rzucił ukośne zniecierpliwione spojrzenie na jarzeniówki umieszczone nad stołem. Światło było potrzebne w ten mglisty zimowy dzień.

–Co się dzieje z tymi przekłętymi lampami? Migają i migają już chyba od pięciu minut!

–Mniejsza o lampy! Pewnie Maisie zapomniała zapłacić za elektryczność. My czekamy na dalszy ciąg pańskiej teorii.

–Większość z tego, co powiem, nie jest teorią, tylko oczywistym faktem. Wiemy, że mózg ludzki jest systemem przełączników, neuronów, połączonych z sobą w bardzo skomplikowany sposób. Automatyczna centrala telefoniczna jest również systemem przełączników, selektorów i tak dalej, połączonych z sobą drutami.

–Zgoda – powiedział Smith – ale ta analogia nie idzie daleko. W mózgu jest przecież około piętnastu miliardów neuronów. O wiele więcej niż przełączników w autocentrali.

Ryk nisko lecącego odrzutowca przerwał odpowiedź Williamsa.

Musiał odczekać, aż cała kawiarnia przestanie wibrować od dźwięku, zanim mógł kontynuować wypowiedź.

–Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby latały tak nisko – mruknął Andrews. – Myślałem, że to jest wbrew przepisom.

–Na pewno wbrew przepisom, ale co nas to obchodzi. Kontrola lotniska sama go pewno złapie.

–Wątpię – powiedział Reyner. – Przecież londyńskie lotnisko sprowadziło Concorde z automatycznym systemem lądowania. Ja także nie słyszałem, żeby któryś z nich leciał kiedyś tak nisko. Cieszę się, że mnie Wnirn nie było.

–Do diabła! Czy my zaczniemy w końcu mówić na temat, czy nie? – wtrącił zniecierpliwiony Smith.

–Jeśli chodzi o piętnaście miliardów, neuronów w mózgu ludzkim, to ma pan rację – ciągnął spokojnie Williams. – I w tym właśnie mieści się sedno sprawy. Wydaje się, że piętnaście miliardów to bardzo[^] dużo, ale to nieprawda. Już około 1960 roku było więcej indywidualnych przełączników w centralach automatycznych na całym świecie. Dziś mamy ich w przybliżeniu 5 razy tyle.

–Rozumiem – wycedził wolno Reyner. – A więc wczoraj, kiedy łącza satelitarne zaczęły działać, wszystkie centrale na całym świecie zostały między sobą w pełni połączone..

–Dokładnie to chciałem właśnie powiedzieć. Zapanowała cisza i tylko gdzieś z oddali słychać było sygnał samochodu straży pożarnej. W końcu Smith przerwał milczenie.

–Pozwólcie mi wyrazić to bez ogródek – powiedział. – Twierdzicie, że światowy system połączeń telefonicznych stał się teraz gigantycznym mózgiem?

–Ująłeś to lapidarnie i powiedziałbym – antropomorficznie. Ja wolałbym myśleć o tym w kategoriach wielkości krytycznej.

Williams położył na stole na pół zaciśnięte pięści. – Mam tu dwie grudki U 235. Dopóki trzymam je oddzielnie, nic się nie dzieje. Ale połączmy je (zetknął pięści z sobą), a otrzymamy coś zupełnie innego niż jedna większa bryłka uranu. Otrzymamy półmilową dziurę w ziemi. Tak samo ma się rzecz z naszymi sieciami telefonicznymi: do dziś były one w dużej mierze niezależne, autonomiczne. Ale teraz, kiedy zwiększyliśmy ilość połączeń, sieci te stały się jedną całością. Ilość przeszła w jakość, osiągnęliśmy punkt krytyczny-.

–Ale co właściwie oznacza punkt krytyczny* w naszym przypadku? – zapytał Smith.

–W braku lepszego słowa oznacza świadomość.

–Dziwaczny rodzaj świadomości – zauważył Reyner. – Co jest jej organami zmysłów?

–^ No, na przykład wszystkie rozgłośnie radiowe i telewizyjne na świecie będą dla niej źródłem informacji. Na pewno dadzą jej wiele do myślenia! Poza tym wszelkie dane przechowywane w pamięci komputerów, do których będzie miała dostęp równie łatwy jak do bibliotek elektronicznych, do instalacji radarowych, do telemetrii, w zautomatyzowanych zakładach przemysłowych. O, na pewno będzie miała dość organów zmysłów! Nie możemy sobie nawet wyobrazić jej obrazu świata, ale przypuszczam, że będzie o wiele bogatszy i bardziej złożony niż nasz.

–Załóżmy, że to wszystko prawda, tym bardziej że koncepcja jest z pewnością pomysłowa – powiedział Reyner – ale w takim razie, co „to” mogłoby robić poza myśleniem? Nie mogłoby się przecież poruszać, nie miałoby kończyn.

–A po co miałoby się poruszać? Przecież byłoby od razu wszędzie! każdy kawałek zdalnie sterowanego sprzętu elektrycznego na planecie byłby jego kończyną.

–Teraz rozumiem tę zwłokę w czasie – wtrącił Andrews. – To zostało poczęte o północy, ale urodziło się dopiero o 1.50 nad ranem. Dźwięk, który nas obudził tej nocy, był więc pierwszym krzykiem noworodka.

Andrews chciał to powiedzieć tonem żartobliwym, ale głos go zawiódł i nikt 'się nawet nie uśmiechnął. Lampy nad stołem dalej irytująco migotały i zdawały się świecić coraz słabiej. W tym momencie drzwi otworzyły się gwałtownie i do kawiarni wtargnął Jim Smali z Działu Zaopatrzenia!

–Popatrzcie, koledzy – śmiał się powiewając kawałkiem papieru – jaki jestem bogaty! Widzieliście kiedyś takie konto bankowe?

Doktor Williams wziął od niego zawiadomienie z banku, rzucił okiem na kolumnę cyfr i odczytał głośno:

–„Kredyt 999 999 897,87 funtów”. Nic w tym dziwnego – powiedział wśród ogólnej wesołości. – Komputer musiał się omylić. Takie rzeczy mogą się zawsze zdarzyć, zwłaszcza po wprowadzeniu przez banki systemu dziesiętnego.

–Wiem, wiem – odpowiedział Jim – ale nie psujcie mi zabawy. Idę właśnie do banku sprawdzić to zawiadomienie. Ale co by było, gdybym na jego podstawie* wypisał sobie czek na mały milionik? Jak myślicie, czy można by zaskarżyć bank o wprowadzenie w błąd?

–Nigdy w życiu – powiedział Reyner. – Założę się, że banki przewidziały już taką okoliczność i od lat zabezpieczone są przed zaskarżeniem jakimś przepisami, napisanymi drobnym druczkiem. Ale niech mi pan powie, kiedy pan otrzymał to zawiadomienie?

–W poczcie południowej. Nadeszło wprost do instytutu, tak że moja żona nie miała możliwości zajrzeć do niego...

–Hm, to znaczy, że zostało napisane przez drukarkę komputera, dziś wcześniej rano. Na pewno po północy...

–Do czego pan zmierza? I czemu macie wszyscy takie smutne miny?

Nikt mu nie odpowiedział. Wszyscy myśleli o tym samym. Myśli gonily jedna drugą, jak sfora psów myśliwskich na widok pojawiającego się zająca.

–Kto z was orientuje się, jak działa automatyczna aparatura w bankach? – spytał w końcu Willy Smith. – W jaki sposób są one z sobą powiązane?

–Jak wszystko inne w dzisiejszych czasach – odpowiedział Bob Andrews. – Wszystkie są sterowane przez tę samą centralę automatyczną. Komputery całego świata przekazują sobie nawzajem wszystkie informacje. To jest punkt dla pana, John. Jeżeli mają z tego wyniknąć poważne kłopoty, to banki są jednym z pierwszych miejsc, gdzie można ich oczekiwać. Poza siecią telefonów, oczywiście.

–Nikt mi nie odpowiedział na pytanie, które zadałem, zanim Jim tu przyszedł – poskarżył się Reyner. – Pytałem, 'co by ten superumysł w ogóle robił? Czy byłby przyjazny ludziom... wrogi... obojętny? Czy w ogóle zdawałby sobie sprawę z naszego istnienia? A może za jedyną rzeczywistość uważałby sygnały 'elektroniczne?

–Jak widzę, zaczyna mi pan wierzyć – odpowiedział Williams z posępną satysfakcją w głosie. – Na pańskie pytanie mogę odpowiedzieć tylko innym pytaniem: co robi noworodek? Zaczyna rozglądać się za pożywieniem.

Spojrzał na migocące i słabnące jarzeniówki.

–Mój Boże! – powiedział po chwili, jak gdyby nagle przyszło mu coś na myśl. – Jest tylko jeden pokarm, którego „to” mogłoby potrzebować: elektryczność!

–Posunęliście się w tych nonsensach już o wiele za daleko – wybuchnął Smith. – • Co, do diabła, dzieje się z naszym lunchem? Zamówiliśmy go chyba ze dwadzieścia minut temu.

Nikt mu nie odpowiedział.

;- A wtedy – kontynuował Ręnyer wypowiedź Williamsa od miejsca, w którym ten przerwał;- zaczyna się rozglądać dokoła, prostować ręce i nogi. W gruncie rzeczy zaczyna się bawić, tak jak każde rozwijające się dziecko,..*

–A dzieci niszczą rzeczy, którymi się bawią – powiedział ktoś bardzo cicho.

–I Bóg jeden wie, ile ono może mieć tych zabawek. Na przykład ten Concorde, który rozbił się przed chwilą. Albo zautomatyzowana produkcja fabryczna. Albo sygnały świetlne na ulicach...

–To zabawne, że pan o tym wspominał – wtrącił Smali. – Coś się tam wydarzyło na ulicy. Ruch został wstrzymany co najmniej na dziesięć minut. Wygląda to na jakiś duży korek.

–Chyba gdzieś wybuchł pożar. Słyszałem sygnał.

–Ja słyszałem dwa. Poza tym coś, co brzmiało jak eksplozja, chyba gdzieś w dzielnicy Tabrycznej. Mam nadzieję, że nic poważnego.

–'Maisie!!! Nie macie tu jakichś świec? Nic już nie widać!

–Właśnie sobie przypomniałem, że ten lokal ma kuchnię całkowicie zelektryfikowaną. Dostaniemy zimny lunch, o ile w ogóle coś dostaniemy.

–Jeżeli już musimy czekać, to może byśmy przeczytali, co tam jest w gazecie. Chyba przyniósł pan ostatnie wydanie, Jim?'

–Tak, ale nie miałem czasu przejrzeć. Hm, tak. Rzeczywiście wygląda na to, że dziś rano było mnóstwo dziwnych wypadków: sygnały kolejowe nie działały... główny przewód wodociągowy pękł na skutek złego funkcjonowania zaworów... tuziny skarg na złe połączenia telefoniczne ubiegłej nocy... -Jim odwrócił stronę i nagle zamilkł.

–Co się stało? ' • ,

Smali bez słowa podał mu gazetę. Tekst był sensowny tylko na pierwszej stronie. Na następnych kolumnach była tylko bezładna mieszanina znaków drukarskich, wśród których tu i ówdzie, jak wyspy sensu w morzu bełkotu, widniało kilka absurdalnie wyglądających ogłoszeń reklamowych. Zostały one najprawdopodobniej wstawione w tekst jako niezależne bloki i dlatego nie zostały tak rozdrapane i przemieszane jak to, co było dokoła nich.

–Oto do czego doprowadziły nas dalekopisy i zautomatyzowana dystrybucja – gderał Andrews. – Obawiam się, że Fleet Street włożyła za dużo jajek do jednego elektronicznego koszyka.

–A ja obawiam się, że wszyscy popełniliśmy ten sam -błąd – powiedział bardzo uroczyście

Williams. – Wszyscy to zrobiliśmy.

–Czy mogę wtrącić słówko dla zapobieżenia zbiorowej histerii.

która zdaje się opanowywać ten stolik? – zapytał głośno \ stanowczo Smith.– Chciałbym wam zwrócić uwagę, że jeżeli nawet pomysłowa fantazja Johna jest prawdą, to jeszcze nie-ma powodu do rozpacz. Wystarczy po prostu wyłączyć satelity, a powrócimy do stanu rzeczy, jaki był wczoraj.

–A więc usunięcie-płata czołowego – mruknął Williams. – Myślałem już o tym.

–Co? Ach tak, wyciąć kawałek mózgu. To byłby sposób, bez wątpienia. Kosztowny oczywiście. Musielibyśmy wrócić do czasów, kiedy wysyłano telegramy. No, ale cywilizacja zostałaby uratowana.

W pobliżu. rozległ się nagle krótki odgłos eksplozji.

–Nie podoba mi się to "wszystko – powiedział nerwowo Andrews.– Posłuchajmy, co nasze poczciwe BBC ma do powiedzenia. Dochodzi pierwsza, właśnie zaczęli nadawać wiadomości. Wyjął z teczki radio tranzystorowe i postawił na stole.

„...niespotykane dużo wypadków w zakładach przemysłowych, jak również nie wyjaśnione wystrzelenie trzech salw rakiet z instalacji wojskowych w Stanach Zjednoczonych. Wiele lotnisk musiało odwołać loty z powodu dziwnego funkcjonowania urządzeń radarowych, banki zaś i giełdy zamknięto, ponieważ urządzenia informujące działają w sposób nieodpowiedzialny". ' •

–Mnie to mówicie? – zaczął Smali, ale uciszono go psykaniem.

„Właśnie otrzymaliśmy ostatnie doniesienia. A oto one: jak nas przed chwilą poinformowano, utraciliśmy wszelką kontrolę nad nowo zainstalowanymi satelitami telekomunikacyjnymi. Urządzenia na satelitach nie reagują na rozkazy wysyłane z Ziemi..Zgodnie z..." ' •

BBC zamilkło.' Nawet fala nośna zaginęła. Andrews chwycił aparat tranzystorowy i zaczął kręcić gałką. Na całej skali, od końca do końca, eter był niemy.

W głosie Reynera zabrzmiały nutki hysterii:

–Miałeś dobry pomysł z tym wycięciem kawałka mózgu, John. Niestety, niemowlę samo już o tym pomyślało!... Williams podniósł się powoli.

–Wracajmy do pracowni – powiedział. – Musi się przecież znaleźć jakiś sposób. – Wiedział już jednak, że jest o wiele, wiele za późno. Dzwonek telefonu, który rozległ się tej nocy"; był dzwonem pogrzebowym dla homo sapiens.

Przełożyła Leontyna Oitrowikt

WYPRAWA RATUNKOWA

Kto za to ponosi winę? Od trzech dni myśl 'Alverona krążyła wokół tego pytania, a odpowiedzi znaleźć nie umiał. Istota "mniej cywilizowana lub z mniej wrażliwej rasy nie zaprzętałyby sobie tym umysłu, zadowolając się tylko stwierdzeniem, że nikt odpowiadać nie może za działanie losu. Lecz Alveron i jego rasa byli władcami wszechświata od zarania dziejów, od owej dalekiej epoki, kiedy Przegroda Czasu została ustanowiona w kosmosie przez siły nieznane, a istniejące poza Początkiem. Rasa Alverona otrzymała wiedzę, a nieskończonej wiedzy towarzyszy nieskończona odpowiedzialność. Jeśli zachodziły pomyłki i błędy w zarządzaniu Galaktyką, wina spadała na głowy Alverona i jego gatunku. A tym razem nie chodziło o zwykły błąd, lecz o jedną z największych tragedii w dziejach. Załoga nie wiedziała jeszcze o niczym. Nawet Rugon, najlepszy, przyjaciel i zastępca dowódcy statku, znał tylko część prawdy. Teraz jednak skazane na zagładę światy były w odległości mniej niż miliarda mil. Za parę godzin statek wyląduje na trzeciej planecie.

•Alveron przeczytał jeszcze raz depezę z Bazy. Ruchem czułka, szybkim jak mgnienie, nacisnął sygnał „Uwaga”. W całym milowym cylindrze, tworzącym Galaktyczny Statek Patrolowy S 9000, istoty wielu ras odłożyły pracę, aby wysłuchać słów kapitana.

–Wiem, że dziwiło was wszystkich – zaczął Alveron – dlaczego rozkazano nam przerwać patrolowanie i ruszyć z taką szybkością do tej okolicy kosmosu. Niektórzy zdają sobie być może sprawę, co taka szybkość oznacza. Nasz statek odbywa swoją ostatnią podróż. Generatory od sześćdziesięciu godzin pracują z najwyższym napięciem. Będzie to wielkie szczęście, jeśli zdołamy powrócić do Bazy o własnej mocy. Zbliżamy się teraz do Słońca, które wkrótce przekształci się w Nową. Wybuch nastąpi za siedem godzin, z tolerancją nie przekraczającą jednej godziny, co zostawia nam na badanie około czterech godzin. W tym Układzie Słonecznym zniszczonych będzie dziesięć planet, a na trzeciej istnieje

cywilizacja. Fakt ten został odkryty ledwo przed kilku dniami. Naszym tragicznym zadaniem jest nawiązanie kontaktu ze skazaną rasą i jeśli można ocalenie jej części. Wiem, jak mało możemy zrobić w tak krótkim czasie i z pomocą jednego statku. Ale żaden inny nie zdoła tam dotrzeć przed momentem wybuchu.

W czasie długiej przerwy, jaka teraz zapadła, nie było żadnego dźwięku ani ruchu na całym potężnym statku mknącym w milczeniu ku wyznaczonym światom. Alveron wiedział, co myślą jego towarzysze. Próbował odpowiedzieć na ich nie wyrażone pytanie.

–Pziwi was zapewne, jak można było dopuścić do takiej katastrofy, największej z dotąd nam znanych. Pod jednym względem mogę was uspokoić. Winy nie ponosi Patrol Badawczy.

Jak wiadomo, przy stanie obecnym naszej floty – blisko dwanaście tysięcy statków – można przebadać każdy z ośmiu miliardów układów słonecznych Galaktyki w odstępach około miliona lat. Większość światów mało się zmienia w tak krótkim czasie.

Niecałe czterysta tysięcy lat temu statek badawczy S 5600 zbadał planety układu, do którego się zbliżamy. Nie znalazł inteligencji na żadnej, choć na trzeciej planecie kwitło bujne życie zwierzęce, a dwie inne były niegdyś zamieszkane. Złożono jak zwykle raport i następne badanie systemu miało się odbyć za sześćset tysięcy lat.

Okazuje się teraz, że w niebywale krótkim okresie od ostatniego badania w układzie tym powstało życie inteligentne. Pierwszą wskazówką były nieznane sygnały radiowe odebrane na planecie Kulath w układzie X 29, 35, X 34, 76, Z 27, 93. Dokonano pomiarów i okazało się, że sygnały pochodzą z układu, jaki leży przed nami.

Kulath znajduje się o dwieście lat świetlnych stąd, a zatem fale radiowe były w drodze przez dwa stulecia. Tyle więc czasu co najmniej istniała cywilizacja na jednej z tych planet, cywilizacja zdolna wytwarzać fale elektromagnetyczne, czyli określonego rzędu. v;

Podjęto natychmiastowe teleskopowe badania układu i stwierdzono, że jego Słońce znajduje się w fazie niestąlej, poprzedzającej powstanie gwiazdy nowej. Wybuch nastąpić mógł każdej chwili. Mógł nawet się wydarzyć i wtedy, gdy fale radiowe były jeszcze w drodze na Kulath.

Natychmiast ustawiono na układ hyperchronoanlizatory umieszczone na Kulath II. Wykazały one, że wybuch jeszcze nie nastąpił, lecz spodziewać się go należy za kilka godzin. Gdyby Kulath był o cząstkę roku świetlnego dalej od tego Słońca, nigdy nie dowiedzielibyśmy się, że w tym układzie istniała cywilizacja.

Administrator Kulatha niezwłocznie się porozumiał z Bazą Sektora i wydano mu rozkaz natychmiastowego udania się do tego układu. Celem naszym jest uratowanie choć części skazanej rasy, jeśli jeszcze żyje. Przypuszczamy jednak, że cywilizacja posiadająca radio mogła zabezpieczyć się przed wzrostem temperatury, jaki już zapewne nastąpił.

Nasz statek, wraz ze swymi obiema łodziami, zbada poszczególne odpinki planety. Komandor Torkalee obejmuje Łódź 1, komandor Oro-stron – Łódź 2. Będą mieli niecałe cztery godziny na wykonanie zadania. Z upływem tego czasu muszą powrócić na statek. Obydwu komandorów proszę do hali kontrolnej, gdzie im wydam szczegółowe instrukcje.

To wszystko. Za dwie godziny wchodzimy w atmosferę.

Na planecie zwanej niegdyś Ziemią dogasały płomienie: wszystko już było spalone. Olbrzymie lasy, które po zniknięciu miast pokryły planetę jak gigantyczna fala, tworzyły teraz żarzące się warstwy węgla i tylko dym owych pogrzebowych stosów zasnuwał jeszcze niebo. Nie była to jednak ostatnia godzina, gdyż skały powierzchni dotąd się nie rozpuściły. Wśród oparów widniały mgliste zarysy lądu, lecz patrzącym ze zbliżającego się statku nic to nie mówiło. Ich mapy pochodziły z czasu, po którym przyszło wiele epok lodowcowych i niejeden potop.

S 9000 minął Jowisza i stwierdził od razu, że żadna forma życia istnieć nie może w oceanach zgęszczonych, półpłynnych i półgazowych węglowodanów, wściekle wybuchających w niezwyklej temperaturze Słońca. Marsa i reszty planety nie zauważono, a Alveron zrozumiał, że planety bliższe Słońca niż Ziemia są już zapewne płynne. Wszystko przemawia za tym – pomyślał ze smutkiem – że tragedia nieznaney rasy już się dokonała. Może to i lepiej – orzekł w głębi duszy. Statek mógł zabrać ledwie kilkaset osób i zagadnienie wyboru przytłaczało mu serce.

Do hali kontrolnej wszedł Rugon, zastępca kapitana i szef łączności. Od godziny próbował wykryć fale radiowe z Ziemi, ale na próżno.

–Przybywamy za późno – obwieścił posepnie. – Zbadałem wszystkie pasma, ale eter milczy, z wyjątkiem naszych stacji i programu nadanego dwieście lat temu z Kulatha. W tym układzie nie ma już żadnych fal..

Z płynnym wdziękiem, nieosiągalnym dla istot dwunogich, zbliżył się do olbrzymiego wizoekranu. Alveron milczał: spodziewał się tego.

Ekran zajmował całą ścianę hali. Był to wielki czarny prostokąt, który stwarzał wrażenie bezgranicznej głębi. Trzema delikatnymi, lecz niesłycha

nie sprawnymi czułkami Rugon dotknął tarcz selekcyjnych i ekran zapłonął tysiącem punktów świetlnych. Pole gwiazdne przesunęło się szybko, a Rugon nastawił projektor na odbiór samego

Słońca.

Żaden człowiek na Ziemi nie rozpoznałby potwornych kształtów, jakie wypełniły ekran. Światło Słońca nie było już białe. Wielkie, niebiesko-fioletowe chmury zasnuły połowę jego powierzchni wyrzucając w przestrzeń kolosalne jezory ognia. Jeden taki jezor wyskoczył z fotosfery daleko w głąb migających kręgów korony. Wyglądało to niby ogniste* drzewo, wyrosłe z powierzchni Słońca, wysokie na pół miliona mil, o płomiennych konarach powiewających w przestrzeni z szybkością setek mil na sekundę.

–Myślę – rzekł wreszcie Rugon – że nic nie masz do zarzucenia obliczeniom astronomicznym. Na wszelki wypadek...

–O, nam nic nie grozi – odparł spokojnie Alveron. – Rozmawiałem z obserwatorium planety Kulath i przeprowadzili dodatkowe badania z pomocą naszych instrumentów. Odchylenie jednogodzinne obejmuje dodatkowy margines bezpieczeństwa, którego nie chcą mi podać z obawy, abym nie uległ pokusie przedłużenia pobytu.

Spojrzał na tablicę rozdzielczą.

–Pilot powinien był już wprowadzić nas w atmosferę. Przesuń ekran z powrotem na planetę. Właśnie ruszyli!

Odczuli nagły wstrząs, rozległy się dzwonki alarmowe, po czym wszystko ucichło. Na ekranie dwa smukłe pociski strzeliły w stronę wyłaniającej się masy Ziemi. Jakiś czas szły obok siebie, potem rozdzieliły się i jeden znikł raptownie wkraczając w cień planety.

Wielki macierzysty statek opuścił się powoli w ślad za nimi i wkroczył w obręb szalejących burz, które równały z ziemią opustoszałe miasta Człowieka.

Półkulę, na którą leciała łódź Orostrona, spowijała noc. Podobnie jak Torkalee miał on dokonać zdjęć i nagrań, a następnie zdać sprawę statkowi macierzystemu. Na łodzi zwiadowczej nie było miejsca dla pasażerów czy pobranych próbek. Gdyby miano nawiązać bezpośredni kontakt z mieszkańcami planety, S 9000 przybyłby natychmiast. Nie było zresztą czasu na rozmowy. W razie powikłań, ratownictwa należało dokonać siłą mając później czas na wyjaśnienia.

Obrócony w ruinę Jad skąpany był w ponurym, migotliwym świetle, gdyż nad połową planety jaśniała ogromna zorza. Ale ekran łodzi dawał obraz niezależny od zewnętrznego światła i ukazywał wyraźnie pustkowie nagich skał, które nigdy chyba nie znały żadnej formy życia. Lecz ten

pustynny obszar musiał się gdzieś kończyć. Orostron zwiększył szybkość do maksimum, jakie mógł ryzykować w tak gęszej atmosferze.

Maszyna przebiła się przez burzę i nagie skały zaczęły teraz wyrastać coraz bliżej. Przed nimi ciągnął się wielki łańcuch gór, szczytami zanurzony w czarnych od dymu chmurach. Orostron skierował na nie badaj ni k i na ekranie góry wydały się niebezpiecznie bliskie. Poderwał maszynę wzwyż. Trudno było wprost wyobrazić sobie mniej obiecujący teren dla ognisk cywilizacji. Namyślał się więc, czy nie zmienić kierunku. Lecz postanowił wytrwać. W pięć minut później otrzymał nagrodę.

Daleko pod nimi leżała płasko ścięta góra. Cały-jej wierzchołek został usunięty," co musiało być dziełem wspaniałych umysłów. W poprzek sztucznej platformy, gładko wykutej w skale, wznosiła się skomplikowana1 budowla metalowych rusztowań podtrzymujących mnóstwo' olbrzymieli maszyn. Orostron wyhamował i spiralą opuścił się na górę.

Obraz, na ekranie był teraz absolutnie czysty, bez zmaćeń. Rusztowanie podtrzymywało dziesiątki ogromnych metalowych luster, skierowanych w niebo pod kątem 45 stopni. Lustra były cokolwiek wklęsłe. a w soczewce każdego znajdował się skomplikowany mechanizm. Całość miała wygląd imponujący i planowany z rozmachem. Wszystkie lustra nakierowane były na ten sam skrawek nieba – lub jakiś punkt poza nim.

Orostron zwrócił się do kolegów.

–Wygląda mi to na jakieś obserwatorium – rzekł. – Czy ktoś z was widział kiedy podobną instalację?

Klarten, wieloczulkowy. trójnożny mieszkaniec zespołu planetarnego na skraju Drogi Mlecznej, miał pogląd odmienny.

–To sprzęt telekomunikacyjnej Reflektory służą do skupienia fal elektromagnetycznych. Widziałem już takie urządzenia chyba na setce planet. Może to nawet ta stacja, którą odebrał Kuhuh. choć nie przypuszczam, gdyż lustra tej wielkości dałyby bardzo wąski zakres.

–Ale to tłumaczy, dlaczego Rugon nie mógł wykryć żadnych fal radiowych przed naszym lądowaniem – wtrącił Hansur II. jeden z dwóch mieszkańców planety Thargon.

Orostron nie zgadzał się z nimi.

–Jeśli to radiostacja, to musiała być zbudowana dla połączeń międzyplanetarnych. Zwróćcie uwagę na ustawienie luster. Nie wierzę, aby ra-są, która miała radio ledwo przez dwieście lat. mogła rozwiązać sprawę komunikacji kosmicznej. Nam zabrało to sześć tysięcy lat.

–A nam trzy tysiące – rzekł Hansur II nie dając przyjść do słowa swemu bliźniakowi. Spór wisiał już w powietrzu, 'gdy Klarten zamachał

z przejęciem czułkami. Wskazał automat nasłuchowy, który włączył w czasie rozmowy.

–Uwaga! Słuchajcie!

Nacisnął przełącznik i całą kabinę napełnił chrypliwy i jęczący dźwięk, wciąż zmieniający swe natężenie, choć pewne trudne do określenia tony stale się powtarzały.

Czterej badacze słuchali uważnie przez chwilę. Wreszcie Orostron rzekł:

–Z całą pewnością nie brzmi to jak mowa! Żadna istota nie może wydawać tak szybkich dźwięków!

Hańsur I doszedł do tego samego wniosku.

–To program telewizyjny. Nie sądzisz, Klarten?

–Tak – przyznał Klarten – i każde lustro nadaje chyba odmienny program. Zastanawiam się, dokąd są skierowane? Przypuszczam, że jedna z pozostałych planet'układu musi znajdować się w ich zasięgu. Możemy to łatwo sprawdzić.

Orostron połączył się z S 9000 i doniósł o odkryciu. I Rugon, i Alveron

bardzo się przejęli i przeprowadzili natychmiast kontrolę astronomiczną.

Wynik był niespodzianką i rozczarowanie(m. Żadna z pozostałych

dziewięciu planet nie leżała nawet w pobliżu linii transmisji. Ogromne

zwierciadła wycelowane były jak gdyby ślepo w przestrzeń.

Nasuwał się jeden tylko wniosek i pierwszy sformułował go Klarten.

–Mieli – rzekł – połączenia międzyplanetarne. Ale teraz stacja musi być opuszczona i nadajniki zostały bez kontroli. Nie wyłączono ich i automatycznie nadają w tym samym kierunku.

–No, wkrótce będziemy w t/ieli – odparł Orostron. – Zamierzam lądować.

Sprowadził maszynę ostrożnie na poziom wielkich metalowych luster, minął je i znalazł się na pozostałym odcinku skały. W odległości stu metrów, pod splotem stalowych rusztowań, widniał biały kamienny budynek. Był bez okien, ale miał szereg drzwi w ścianie na wprost.

Orostron patrzył z zazdrością, jak jego towarzysze wkładali ochronne skafandry. Ale ktoś

musiał w łodzi pozostać, aby utrzymać kontakt ze statkiem macierzystym. Takie instrukcje wydał Alveron i miał zupełną rację. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć na planecie badanej po raz pierwszy, a zwłaszcza w takich warunkach..

Trzej badacze wysiedli z wielką ostrożnością z komory powietrznej i wyregulowali antygrawitacyjne natężenie skafandrów. Po czym, ruchami właściwymi dla rasy każdego, podeszli do budynku. Hansurowie przodem.

a Klarten tuż /a nimi. Jego regulator grawitacyjny, musiał mieć jakieś uszkodzenie', gdyż Klarten nagle upadł na ziemię, czym rozśpieszyl kolegów. Orostron widział, jak zatrzymali się chwilę przed najbliższymi drzwiami, a' potem otworzyli je i znikli mu z oczu.

Orostron czekał odtąd cierpliwie wśród szalejącej dokoła burzy i przy świetle zorzy coraz wspanialej jaśniejącej na niebie. W umówionych odstępach łączył się z macierzystym statkiem, a Rugon lakonicznie potwierdzał, że odbiera jego sygnały. Rozmyślał, jak Torkalee radzi sobie z drugiej strony, planety; nie mógł z nimi nawiązać kontaktu wskutek zbyt silnej interferencji słonecznej.

Klarten i -Hansurowie szybko się przekonali, że przypuszczenia ich były na ogół słuszne. Budynek był radiostacją teraz opuszczoną. Składał się z jednej olbrzymiej sa4i i przyległych do niej kilku małych biur.. W głównej hali długimi szeregami stały elektryczne przyrządy. Światła zapalały się i gasły na setkach tablic kontrolnych, a nad długim ciągiem próżniowych lamp unosiła srę czerwona luna.

Klarten nie znalazł w tym nic nadzwyczajnego.' Pierwsze aparaty radiowe zbudowane przez jego rasę odkopywano teraz w pokładach sprzed miliarda lat. Człowiek, który miał' sprzęt elektryczny zaledwie parę stuleci, nie mógł rywalizować z. rasą. posługującą się nim w czasach, gdy jeszcze nie-było życia na Ziemi.

Mimo to grupa badała wnętrze budynku z otwartymi rejestratorami. Jeden problem nie był rozwiązany. Opuszczona stacja nadawała programy – lecz nie wiadomo skąd. Szybko odszukali główną tablicę rozdziel-czą. Mogła regulować dziesiątki równoczesnych programów, ale ich źródło ginęło w plątaniu kabli kryjących się gdzieś pod ziemią. Na statku macierzystym Rugon próbował zanalizować odbiór i być może jego poszukiwania ujawnią punkt nadawania. Ale niepodobieństwem było sprawdzać przewody, które mogły się ciągnąć wzdłuż całych kontynentów.

Nie tracili więc czasu na badanie opuszczonej stacji. Nie spodziewali się dowiedzieć niczego nowego, a zresztą szukali śladów życia,.nie zaś naukowych danych. Po kilku minutach łódź opuściła skalistą platformę kierując się w stronę równin, leżących przypuszczalnie poza łańcuchem gór. Na badania zostały niecałe trzy godziny.

' Zespół.tajemniczych luster znikal im właśnie z oczu, gdy nagle Oro-strona uderzyło pewne spostrzeżenie. Może mu się tylko.zdawało, ale w czasie, gdy czekał, wszystkie lustra przesunęły się jakby o niewielki kąt. równoważny z obrotem Ziemi. Nie mając pewności swoich spostrzeżeń.

pominał ten szczegół. Zresztą znaczyłoby to tylko, że kierunkowy mechanizm nadal funkcjonuje.

Po kwadransie znaleźli się nad miastem. Olbrzymia metropolia ciągnęła się nad rzeką, która znikła pozostawiając szpetną rozpadlinę wijącą się pośród wysokich gmachów i pod mostami, sprawiającymi teraz dziwne wrażenie.

Nawet z tej wysokości widać było, że miasto jest opuszczone. A mieli już tylko dwie i pół godziny, więc nie było czasu na dalsze poszukiwania. Orostron postanowił lądować obok największego budynku. Rozumował, że jeśli ktoś jeszcze ocalał, to schronił się w budowlach najmocniejszych, zapewniających bezpieczeństwo najdłużej. Nie mogły go dać podziemia, choćby wiodące aż do jądra planety. Kataklizm był nieuchronny. Nawet jeśli ta rasa dotarła do zewnętrznych planet, zagłada i tam ją osiągnie. Opóźniona jedynie o parę godzin, potrzebnych zabójczym falom do prze-, mierzenia obszarów słonecznego układu.

Orostron nie mógł wiedzieć, że miasto opuszczone było nie od paru dni, lecz od przeszło stulecia. Albowiem kultura miast, która przetrwała tyle cywilizacji, zginęła wreszcie, gdy helikopter wprowadził komunikację powszechną.

W ciągu paru pokoleń wielkie masy ludzkości, wiedząc, że każdy punkt globu znajduje się w bezpośrednim zasięgu, powróciły do pól i lasów, do których zawsze tęskniły. Nowa cywilizacja miała urządzenia i środki, o jakich epoki wcześniejsze nawet nie marzyły. Była jednak z istoty swej wiejską i nie związaną z mrowiskami z betonu i stali, jakie panowały dotąd przez wieki. Miasta istniały tylko jako wyspecjalizowane ośrodki badań, administracji lub też rozrywek. Inne pozostawiono własnemu losowi, gdyż rozbiórka byłaby zbyt kłopotliwa. Kilkanaście największych metropolii i starożytne miasta uniwersyteckie mało co się zmieniły i miały takimi pozostać. Lecz miasta, istniejące w oparciu o parę, żelazo i transport naziemny, przeminęły razem z przemysłem, który był racją ich bytu.

Tak więc, gdy Orostron czekał wewnątrz łodzi, koledzy jego prze-, biegali mnóstwo nie kończących 'się pustych korytarzy i opuszczonych sal,' robiąc niezliczone zdjęcia, ale niczego się nie dowiadują[^] o istotach; które używały tych gmachów. Były tam biblioteki, miejsca zebrania i narad, tysiące biur, a wszystko to puste i pokryte grubą warstwą kurzu. Gdyby nie radiostacja na skalistym, gnieździe, badacze mogliby sądzić, że ta planeta nie znała życia od wieków.

Skracając sobie długie chwile oczekiwania, Orostron zastanawiał się,

gdzie mogły zniknąć te istoty. Może, wiedząc, że ujść nie mogą zagłady, wzajemnie się pozabijały? A może wybudowały olbrzymie schrony w trzewiach planety i teraz, gdzieś pod jego stopami, miliony ich czekają nadejścia końca. Coraz bardziej skłonny był sądzić, że nigdy się nie dowie.

Doznał nieomal ulgi, gdy przyszła chwila wydania rozkazu powrotu. Wkrótce już będzie wiedział, czy Torkalee miał więcej szczęścia. I chciał już się znaleźć na macierzystym statku, gdyż oczekiwanie stawało się coraz dotkliwsze. W jego mózgu wciąż odzywała się myśl: A jeśli astronomowie na Kulath popełnili błąd? Pragnął ujrzeć już wokół siebie ściany S 9000. A jeszcze bardziej pragnął wydostać się w* przestworza kosmosu, z dala od tego złowrogiego

'Słońca.

Gdy tylko za jego kolegami zamknęła się komora powietrzna, Oro-stron wzbił drobną łódź pod niebo i nastawił stery w kierunku na S 9000. Po czym zwrócił się do przyjaciół.

–I co znaleźliście? – spytał.

Klarten wydobył duży zwój płótna i rozłożył, na ziemi.

–Tak wyglądali – powiedział. – Istoty dwunogie, z dwoma tylko ramionami. Mimo to, jak się zdaje, dobrze sobie radzili. Mieli też tylko dwoje oczu, chyba że inne znajdowały się z tyłu. Udało nam się, że to znaleźliśmy. Bo nic więcej nie zostawili.

Postać na starożytnym olejnym malowidle patrzyła kamiennym wzrokiem na trzy skupione nad nią istoty. Ironia losu sprawiła, że obraz ocalał, gdyż nie przedstawiał żadnej wartości. W czasie ewakuacji miasta nikt nie zadbało portret burmistrza Johna Richardsa, 1909-1974. Przez półtora stulecia gromadził się na nim kurz, a z dala od starych miast nowa cywilizacja osiągała szczyty nie znane żadnej z dawniejszych kultur.

–To wszystko bodaj, cośmy znaleźli – rzekł Klarten. – Miasto musiało być opuszczone od lat. Myślę, że nasza wyprawa nie zdała się na nic. Jeśli na tej planecie są jakieś żywe istoty, ukryły się za dobrze, aby je można było odnaleźć.

Orostron przyznał mu rację.

–Podjęliśmy zadanie prawie niewykonalne – rzekł. – Gdybyśmy mieli kilka tygodni zamiast kilku godzin, moglibyśmy coś zdziałać. Kto wie, czy te istoty nie zbudowały schronów podmorskich. Nikt o tym zdaje się nie pomyślał.

Spojrzał na wyznaczniki i skorygował kurs.

–Przybijemy już za pięć minut. Ałveron, jak widać, szybko się porusza. Ciekaw jestem, czy Torkalee coś znalazł?

Znaleźli S 9000 unoszący się wysoko nad brzegiem płonącego lądu.

Pozostawało trzydzieści minut i nie było już czasu-do stracenia. Orostron zręcznie wmanewrował łódź do wyrzutni i grupa wyszła z kabiny.

Oczekiwano ich niecierpliwie. Lecz Orostron spostrzegł od razu, że załoga. S 9000 powoduje nie tylko ciekawość. Nim wymienili słowo, wiedział, że zaszło coś złego.

–Torkalee nie wrócił. Jego grupa zgubiła się. Musimy iść na ratunek. Wyniki badań omówimy w hali kontrolnej.

Od samego początku Torkalee miał więcej szczęścia niż Orostron. Posuwał się wzdłuż siery zmierzchu, unikając nieznośnego blasku słońca, aż znalazł się nad brzegiem zewnętrznego morza. Było to bardzo młode morze, jedno z najnowszych dzieł Człowieka, i pokrywało teren, który jeszcze sto lat temu przedstawiał pustynię. Za parę godzin będzie znowu pustynią, gdyż woda wrzała i chmury pary unosiły się aż pod niebo. Nie zdołały jednakże zakryć wielkiego białego miasta, przeglądającego się w pięknym jeziorze.

Torkalee wylądował na placu, gdzie nadal stały rzędami lutuja.cc maszyny, rch konstrukcja była strasznie prymitywna, choć wykończenie wspaniałe: zbudowane były na zasadzie obrotowych śmigieł. Nigdzie nie dostrzegli ani śladu życia, ale odnieśli wrażenie, iż mieszkańcy mus/u. być niedaleko. W niektórych oknach.paliło się światło.

Torkalee pozostał, a jego towarzysze bez zwłoki wyszli z łodzi." Przywódcą tej grupki, ze starszeństwa, rangi i rasy był Tsinadree. który podobnie jak Akeron urodził się na jednej z najstarszych'planet Centralnej Grupy Słońc. Za nim wszedł Alarkane. należący do jednej z najmłodszych ras wszechświata, z czego był ogromnie dumny. Pochód zamykało jedno z najdziwniejszych stworzeń z układu Paladoru. Było bezimienne, jak i inne na owej planecie, nie miało bowiem własnej tożsamości, będąc tylko ruchomi}, ale zależną częścią, ogólnej świadomości swej rasy. Częstki te od dawna już rozproszyły się po Galaktyce badając niezliczone światy, a mimo to jakiś nieznaną czynnik wiązał je z sobą tak nierozłącznie jak żywe komórki ludzkiego ciała.

W języku Paladoru nie znana była liczba pojedyncza. Istoty z tego układu używały zawsze określenia..my".

Badacze stanęli z zakłopotaniem przed wielkimi drzwiami okazałego budynku, choć każde ludzkie dziecko mogłoby im wyjaśnić sekret. Tsinadree. nie tracąc czasu na namysły, skomunikował się wprost z Torkalee. Następnie wszyscy trzej odskoczyli, a dowódca zmienił położenie łodzi. Nastąpił gwałtowny wybuch płomienia i-masywne stalowe drzwi rozbłysły

po brzegach, a potem znikły. Kamienne odrzwia jeszcze się żarzyły, gdy grupa szybko wkroczyła do wnętrza oświetlając drogę reflektorami.

Reflektory okazały się zbędne. Przed nimi widniała olbrzymia sień oświetlona blaskiem jarzeniowych lamp pod sufitem. Na prawo i lewo rozchodziły się długie korytarze, a przed nimi wznosiła się imponująca klatka schodowa, prowadząca na górne piętra.

Tsinadree wahał się przez chwilę. Ponieważ jednak wybór był obojętny, poprowadził swych towarzyszy pierwszym korytarzem.

Czuli teraz wyraźnie, że życie jest gdzieś blisko. Lada moment oczekiwali spotkania z mieszkańcami planety. Gdyby przybrali wrogą postawę, czego nie można by wziąć im za złe, badacze postanowili użyć niezwłocznie paralizatorów.

Napięcie wzrosło jeszcze, gdy weszli do pierwszej sali. Opadło wszakże, gdy zobaczyli tam tylko maszyny – długie szeregi maszyn, milczących i nieruchomych. Wzdłuż ścian stały tysiące metalowych pudeł, tworząc jak gdyby drugi, wewnętrzny mur. To było wszystko. Żadnych innych sprzętów, nic oprócz dziwnych maszyn i tajemniczych pudeł.

Alarkane, najszybszy z całej trójki, zbadał zawartość pudeł. Składała się z tysięcy arkuszy cienkiego, lecz trwałego materiału, pokrytego mnóstwem otworków i znaków. Paladorczyk wziął jeden z arkuszy, Alarkane zaś dokonał zdjęć maszyn i sali. Potem wyszli. Całe to urządzenie, jeden z cudów świata, nic im nie mówiło. Oko żyjących istot nigdy już nie zobaczy wspaniałego zespołu analizatorów Holleritha ani pięciu miliardów perforowanych kart, zawierających wszystko, co można było wiedzieć o każdym mężczyźnie, kobiecie i dziecku na planecie.

Nie ulega kwestii, że budynek był do niedawna w użyciu. Z rosnącym podnieceniem badacze przeszli do następnej sali. Znaleźli tam olbrzymią bibliotekę. Miliony książek stały na setkach tysięcy półek. Zgromadzono tu, choć badacze nie mogli o tym wiedzieć, teksty wszystkich praw, jakie człowiek kiedykolwiek wydał, oraz wszystkich mów, jakie wygłoszono w jego przedstawicielstwach ustawodawczych.

Tsinadree rozważał dalszy plan działania, gdy Alarkane zwrócił mu uwagę na jedną z pobliskich półek. W przeciwieństwie do reszty była na wpół pusta. Dokoła leżały książki porozrzucane na ziemi, jakby ktoś je upuścił w gwałtownym pośpiechu. Znak wydawał się nieomylny. Inne istoty przeszły tędy niedawno. Choć pozostali nic nie widzieli, Alarkane, obdarzony niezwykle przenikliwymi zmysłami, dostrzegł słabe, ale wyraźne ślady kół na ziemi. Dostrzegł nawet odciski stóp, lecz nie mógł ustalić kierunku, nie wiedząc nic o istotach, które je zostawiły.

Uczucie bliskości było teraz niezwykle silne, ale uczucie raczej bliskości w czasie aniżeli w przestrzeni. Alarkane wypowiedział myśl wszystkich.

–Te księgi musiały być cenne, więc ktoś sobie o nich przypomniał i wrócił na ratunek. Znaczy toC że zapewne w pobliżu znajduje się miejsce schronu. Może zresztą trafimy na jakieś dalsze tropy.

Tsinadree przytaknął, ale Paladorczyk był przeciwny szukaniu tropów.

–To bardzo prawdopodobne, ale schron może okazać się trudny do znalezienia, a. zostały nam tylko dwie godziny. Nie traćmy więc czasu, jeśli chcemy kogoś uratować.

Grupa ruszyła naprzód, zatrzymując się tylko dla zabrania kilku książek, które mogły się przydać naukowcom w Bazie, choć należało wątpić, czy przekład jest wykonalny. Jak się okazało, gmach składał się głównie z niewielkich sal, a wszędzie były oznaki niedawnego pobytu. Wszędzie panował ład i porządek, tylko w paru salach trafili na stan odwrotny. Szczególnie jeden pokój wyglądał tak, jakby tu przeszli niszczyciele. Podłoga była usiana strzępami papieru, meble pogruchotane, a przez rozbite okna waliły kłęby dymu z pożarów płonących na zewnątrz.

Tsinadree był mocno zaniepokojony.

–Chyba żadne niebezpieczne zwierzę nie mogło się tu dostać! – wykrzyknął sięgając po paralizator.

Alarkane nic nie odpowiedział. Zaczął wydawać dokuczliwy dźwięk zwany przez jego rasę „śmiechem”. Minęło kilka minut, zanim mógł wyjaśnić, co go tak ubawiło.

–Tego nie zrobiło żadne dzikie zwierzę – powiedział. – Wytłumaczenie jest chyba bardzo proste. Przypuśćmy, że ktoś z nas całe życie pracował w* tym pokoju, rok po roku zestawiając różne materiały. I nagle dowiaduje się, że nigdy nie ukończy swej pracy, że musi ją porzucić na zawsze. Mało tego: nikt tutaj więcej nie przyjdzie. Wszystko się skończyło. Co być zrobił wychodząc, Tsinadree?

Tamten zastanawiał się chwilę.

–Myślę, że uporządkowałbym swoje papiery i wyszedł. Tak właśnie stało się pewnie we wszystkich pozostałych salach. Alarkane znów się roześmiał.

–Wierzę, że tak byś postąpił. Ale niektóre jednostki mają odmienną psychikę. Mnie na przykład podoba się istota, która tu pracowała.

Nie udzielił dalszych wyjaśnień, a jego koledzy po namyśle przestali się głowić nad

wyjaśnieniem zagadki.

Doznali prawdziwego wstrząsu, gdy Torkalee wydał rozkaz powrotu. Zebrali sporo danych, ale nie trafili na, ślad mogący ich zaprowadzić do

schronu mieszkańców planety. Problem był nadal nie do rozgryzienia i, jak widać, nie miał być już nigdy rozwiązany. Do odlotu S 9000 pozostawało zaledwie czterdzieści minut.

Byli w połowie drogi powrotnej do łodzi, gdy ujrzeli łukowate przejście wiodące do podziemnych gmachów. Styl budowli był zupełnie inny niż w pozostałych częściach, a łagodny skłon zejścia stanowił przyjemną zachętę dla istot znudzonych chodzeniem po marmurowych schodach, które chyba tylko dwunogom mogły odpowiadać. Najbardziej wyrzekał na nie Tsinadree, który posługiwał się zwykle dwunastu odnóżami, ale w razie pośpiechu mógł użyć dwudziestu, choć nikt jeszcze takiego wypadku nie widział.

U progu stanęli i spojrzeli w dół. Wszystkich trzech ogarnęła ta sama myśl: tunel wiodący w głąbiny Ziemi.

Może na jego końcu znajdą poszukiwanych mieszkańców planety, i ocalą przynajmniej niektórych. W razie potrzeby zdążyliby jeszcze wezwać statek macierzysty.

Tsinadree zasygnalizował dowódcy i Torkalee natychmiast przesunął łódź. Znajdowała się teraz nad wylotem tunelu. W wypadku konieczności Torkalee mógł przebić się błyskawicznie przez dwanaście pięter dzielących go od badaczy. Bo nu normalną drogę przez labirynt korytarzy i przejść mogło nie być już czasu. Z drugiej strony dotarcie do końca tunelu nie powinno trwać długo.

Zajęło trzydzieści sekund. Drugi wylot prowadził tło dziwnej cylindrycznej sali, gdzie wzdłuż ścian znajdowały się wspaniałe wyściełane siedzenia. Innego wyjścia z sali nie było i Alarkane dopiero po chwili zrozumiał jej przeznaczenie. Szkoda tylko, pomyślał, że już nigdy z niej nikt nie skorzysta. Wtem usłyszał krzyk Tsinadree. Odwrócił się i zobaczył, że wejście bezszelestnie zamknęło się za nimi.

Mimo paniki, jakiej doznał, Alarkane nie mógł powstrzymać się od wyrażenia podziwu,

–Bądź co bądź umieli budować urządzenia automatyczne! Paladorczyk przemówił pierwszy. Wskazał czułki-m siedzenia.

–Zdaje się nam, że możemy usiąść – rzekł. Jego wieloosobowy umysł zanalizował już sytuację i wiedział, co teraz nastąpi.

Wkrótce potem z kraty u stropu rozległo się niskie brzęczenie i po raz ostatni w dziejach Ziemi dał się słyszeć martwy, co prawda, ale ludzki głos. Słowa były niezrozumiałe, ale uwięzieni badacze łatwo się domyślili znaczenia.

–Proszę usiąść i wybrać stacje.

Równocześnie zapaliły się lampy oświetlając tablicę na ścianie. Pokrywał ją prosty diagram, na którym widniało kilkanaście krążków połączonych linią. Obok każdego krążka figurowały napisy opatrzone dwoma guzikami różnych kolorów.

Alarkane spojrział pytająco na kierownika. "

–Nie dotykaj – rzekł Tsinadree. – Jeśli nie będziemy ruszać przełączników, może drzwi się otworzą.

Był w błędzie. Inżynierowie, twórcy automatycznego podziemia, zakładali, że każdy, kto tu wejdzie, zechce oczywiście dokąś się-udać. Jeśli nie wybrali żadnej stacji pośredniej, mogli jechać tylko do stacji końcowej..

Minęła dalsza chwila: automaty i thyratrony czekały rozkazów. W ciągu owych trzydziestu sekund, gdyby wiedzieli, co należy zrobić, mogli otworzyć drzwi i opuścić podziemie. Ale nie znając urządzeń byli bezradni, a maszyny, przystosowane do psychiki ludzkiej, działały za nich.

Wzrost szybkości był niezbyt duży i wyściełane ściany stanowiły luksus, nie zaś konieczność. Ledwo dostrzegalne drgania wskazywały na prędkość, z jaką pędzili przez wnętrze Ziemi nie znając kresu podróży. A za trzydzieści minut S 9000 opuszczał Układ Słoneczny.

Wśród głuchego milczenia Tsinadree i Alarkane dokonywali w myśli pośpiesznych rozważań. To samo czynił Paladorczyk, chociaż na inny sposób. Pojęcie osobistej śmierci nie istniało dla niego, gdyż zniszczenie poszczególnych jednostek było dla zbiorowego umysłu tym, czym utrata skrawka paznokcia dla człowieka. Umiał jednak, choć z wielkim trudem, wczuć się w położenie inteligencji indywidualnych, takich jak Alarkane i Tsinadree, pragnął więc im dopomóc.

Alarkane zdołał nawiązać kontakt z Torkalee posługując się nadajnikiem podręcznym, ale sygnał był słaby i coraz bardziej zanikał. W paru słowach wyjaśnił sytuację i zaraz potem sygnały stały się wyraźniejsze, Torkalee podązał nad ziemią wzdłuż trasy maszyny pędzącej ku nie znanemu im przeznaczeniu. Była to pierwsza wskazówka, że podróżują z szybkością tysiąca mil na godzinę, a niebawem Torkalee dał im znać, że się zbliżają do morza. Póki byli pod ziemią, istniała słaba nadzieja zatrzymania maszyny i ocalenia. Ale spod dna oceanu nie mogły ich wyratować nawet wszystkie mózgi i urządzenia statku macierzystego. Straszliwszej pułapki nie można było wymyślić.

Tsinadree z wielką uwagą studiował diagram na ścianie. Jego sens był oczywisty. Wzdłuż linii łączącej kółka posuwał się mały punkcik świetlny. Był już w połowie drogi do pierwszej z oznaczonych stacji.

–Nacisnę guzik – rzekł wreszcie Tsinadree. – Na pewno to nie zaszkodzi, a możemy się czegoś dowiedzieć.

–Zgoda. Który chcesz wypróbować?

–Są tylko po dwa, więc nie robi różnicy, jeśli za pierwszym razem się pomylę. Myślę, że pierwszy służy do uruchomienia maszyny, a drugi do zatrzymania.

Alarkane nie miał wielkich nadziei.

–Ruszyła bez naciskania – rzekł. – Musi być całkowicie zautomatyzowana i stąd nie możemy nią wcale kierować. Tsinadree był odmiennego zdania,

–Guziki są wyraźnie, związane, ze stacjami i nie miałyby sensu, gdyby nie można ich użyć dla zatrzymania. Chodzi tylko o właściwy guzik.

Wni9sek był, najzupełniej słuszny. Maszynę można było zatrzymać na każdej pośredniej stacji. Byli w drodze zaledwie dziesięć minut i gdyby teraz mogli się wydostać, nie doznaliby szkody.

Pech tylko sprawił, że Tsinadree nacisnął najpierw niewłaściwy guzik.

Punkcik.światlny przesunął się na diagramie przez oświetlony krążek bez zwalniania szybkości. Jednocześnie Torkalee odezwał się z łodzi:

–Przeszliście pod jakimś miastem i zmierzacie do morza. Najbliższy przystanek nie może być bliżej niż za tysiąc mil.

• Alveron stracił wszelką nadzieję znalezienia życia na tej pjanecie. S 9000 przebadał połowę globu, nigdzie nie zatrzymując się dłużej, ale raz po raz opuszczając się dla zwrócenia na siebie uwagi. Bez skutku. Ziemia zdawała się Wymarła. Jeśli jacyś jej mieszkańcy zostali przy życiu, myślał Alyeron, ukryli się chyba w takich głębinach, gdzie nikt ich nie dosięgnie, u gdzie ich los tak jest przesądzony.

Gdy Rtigon doniósł o klęsce, jaka spotkała grupę badaczy, wielki statek zaniechał bezowocnych dalszych poszukiwań i popłynął nad ocean, gdzie Torkalee w swojej łodzi śledził bieg podziemnej maszyny. /* Widowisko było przerażające. Od czasów narodzin Ziemi morze nie wyglądało jak dziś. Huragan b szybkości kilkuset mil na godzinę wzdymał prawdziwe góry wody. Nawet z tej odległości od lądu powietrze pełne było latających szczątków: drzew, części domów, wielkich kawałów blachy, wszystkiego, co nie było wbudowane w ziemię. Przy takim Wicherze nie utrzymałby się w powietrzu żaden zwykły samolot. A góry wodne wpadały na siebie z tak opętańczyńi hukiem, że zagłuszały nawet ryk burzy.

Na szczęście nie było dotąd poważniejszych trzęsień ziemi.

Głęboko pod dnem oceanu, wspaniały twór inżynierii, prywatna podziemna kolej próżniowa prezydenta świata, działał bez zarzutu. Wpływ zniszczeń na powierzchni tu nie docierał. Więc kolej funkcjonować będzie aż do ostatniej chwili istnienia Ziemi, co, jeśli astronomowie nie byli w błędzie, miało nastąpić za jakieś piętnaście minut lub niewiele później. Mniej więcej. AKeron dałby dużo, by znać ten termin z pełną dokładnością. Uwięziona grupa nie mogła dotrzeć do lądu przed upływem prawie godziny. Szansę ratunku były więc znikome.

AKeron miał ściśle instrukcje. Ale i bez tego nigdy by nic wystawił na ryzyko powierzonego mu wielkiego statku. Gdyby był człowiekiem, decyzja porzucenia uwięzionych członków załogi przyszłaby mu z trudem. Ale należał do rasy znacznie wrażliwszej niż ludzka, rasy, która tak ukochała wartości duchowe, że tylko z najwyższą niechęcią objęła przed wiekami kontrolę wszechświata, gdyż ona jedna dawała gwarancję sprawiedliwości. I teraz AKeron musiał skupić wszystkie swoje nadludzkie siły, aby sprostać zadaniu najbliższych paru godzin.

W tym samym czasie, na milę pod dnem oceanu, Alarkane i Tsinadree wprawili w gorączkowy ruch swoje osobiste nadajniki. Kwadrans to bardzo mało czasu na uporządkowanie całego życia. Można co najwyżej zamienić kilka słów pożegnalnych, ważniejszych w takiej chwili od wszystkich innych rzeczy.

Paladorcz.yk natomiast milczał i trwał bez ruchu. Tamci dwaj, pogodziwszy się z losem i zajęci własnymi sprawami, nie zwracali na niego uwagi. Toteż zdumieni się, gdy nagle zaczął mówić właściwym sobie obojętnym tonem.

–Widzimy, że czynicie pewne przygotowania dotyczące waszej przewidywanej zagłady. Ale przygotowania te będą zapewne zbędne. Kapitan Alveron liczy, że nas ocali, jeśli tylko zdołamy zatrzymać tę maszynę, kiedy znów się znajdziemy pod lądem.

Tsinadree i Alarkane byli tak zdumieni, że na chwilę zamilkli. A potem wykrzyknęli naraz:

–Skąd o tym wiecie?

Pytanie było niemądre, gdyż na S 9000 było wielu Paladorczyków – jeśli można to tak określić – dzięki czemu towarzysz ich wiedział o wszystkim, co dzieje się na statku macierzystym. Alarkane nie czekał na wyjaśnienia, lecz dodał:

–AKeron tego nie robi! Nie może tak ryzykować!

–Nie będzie żadnego ryzyka – rzekł Paladorczyk. – Powiedzieliśmy Alveronowi, co ma zrobić. Właściwie to bardzo proste.

Alarkane i Tsinadree spojrzeli nań z podziwem, a trochę i przerażeniem. Domyślali się, co się stało. W momentach krytycznych poszczególne części składające się na umysł paladorski mogły się łączyć tworząc organizm równie zwarty jak fizyczny mózg. Powstawał wówczas

intelekt najpotężniejszy we wszechświecie. Sprawy zwykle mogło rozwiązać paręset lub parę tysięcy cząstek. Rzadko kiedy potrzebne były miliony. A w dwóch historycznych wypadkach miliardy cząstek całej świadomości paladorskiej zespoliły się dla sprostania trudnościom grożącym ich rasie. Umysł Pala-doru należał do największych zasobów intelektualnych wszechświata. W pełnej skali nigdy prawie nie był potrzebny, ale fakt, że można z niego korzystać, był niezmiernie krzepiący dla wszystkich innych ras. Alarkane pomyślał, ile też w tym wypadku współdziałało cząstek. Zastanawiał się także nad przyczyną, która skupiła ich uwagę na tak podrzędnym w gruncie rzeczy zdarzeniu.

Na ostatnie pytanie nigdy nie miał uzyskać odpowiedzi. Nie domyślił się bowiem, że mrozącó obojętny umysł Paladoru cechowała ludzka prawie próżność. Dawno temu Alarkane napisał książkę, w której wywodził, że z czasem wszystkie inteligentne rasy wyrzekną się świadomości indywidualnych i we wszechświecie będą istniały tylko umysły grupowe. Pisał w swej pracy, iż Palador jest pierwszym z tych intelektów. Sprawilo to wielką przyjemność olbrzymiemu, rozproszonemu umysłowi.

Nie zdążyli zadać żadnych dalszych pytań, gdy w ich odbiornikach odezwał się głos Alverona:

–Mówi Alveron! Pozostajemy na tej planecie, póki nie dosięgnie jej fala wybuchu, więc pewnie będziemy mogli was uratować. Zmierzacie do miasta nad morzem, przy obecnej szybkości będziecie tam za czterdzieści minut. Jeśli wtedy nie zdołacie zatrzymać maszyny, wysadzimy tunel za wami i przed wami, aby pozbawić waszą maszynę energii. Następnie wywiercimy otwór, aby was wydostać." Główny inżynier mówi, że za pomocą wielkich projektorów wykona to w pięć minut. Więc za niespełną godzinę będziecie ocaleni, chyba że Słońce wybuchnie wcześniej.

–Ale gdyby to nastąpiło, to i wy będziecie zniszczeni! Nie wolno wam tak ryzykować!

–D to się nie kłopotcie. Nic nam nie grozi. Kiedy Słońce wybuchnie, upłynie Adlka minut, nim fala osiągnie szczyt. Poza tym jesteśmy po przeciwnej stronie planety, za osłoną ośmiu tysięcy mil skały. Przy pierwszych oznakach wybuchu wyjdziemy z Układu Słonecznego trzymając się cienia

planety. Prędkość światła osiągniemy przed opuszczeniem cienia, a wtedy Słońce nie będzie nam mogło zaszkodzić.

Tsinadree nadal bał się odzyskać nadzieję. W jego umyśle powstawała nowa wątpliwość.

–A skąd będziecie wiedzieli o pierwszych oznakach będąc po przeciwnej stronie planety?

–To bardzo proste – odparł Alveron. – Planeta ma księżyc, widoczny obecnie na tej półkuli. Nastawiliśmy teleskopy. Jeśli księżyc wykaże nagły wzrost blasku, nasz statek ruszy automatycznie i zostaniemy wyrzuceni z układu.

Logika była nieskazitelna. Alveron, ostrożny jak zawsze, nie pozostawiał nic na los szczęścia.

Wiele minut musi upłynąć, zanim płomienie wybuchającego Słońca zniszczą skalistą zaporę grubości ośmiu tysięcy mil. A przez ten czas S 9000 uzyska bez trudu prędkość światła.

Alarkane nacisnął drugi guzik, gdy byli jeszcze daleko od wybrzeża. Przypuszczał, że maszyna nie zatrzymuje się między stacjami, a zatem że na razie nic się nie stanie. I nie mógł wprost uwierzyć, gdy w parę minut później lekkie drgania maszyny zanikły i kolej stanęła.

Drzwi rozsunęły się bezszelestnie. Natychmiast wszyscy trzej wyszli. Nie chcieli już ryzykować. Ujrzeni przed sobą długi tunel łagodnie wznoszący się w górę. Zamierzali już ruszyć, gdy nagle usłyszeli głos Alverona:

–Zostańcie na miejscu! Przebijemy się do was!

Ziemia zadrżała i gdzieś daleko rozległ się odgłos spadających skał. Nowy wstrząs i o sto kroków przed nimi tunel nagle się zapadł. Przebijał go pionowy otwór sięgający w górę aż do powierzchni.

Przebiegli szybko korytarz i stanęli u wylotu otworu. O tysiąc stóp nad nimi znajdował się drugi wylot, a jeszcze wyżej kłębiły się chmury, przez które przebijał blask niebywale jaśniejącego księżyca. Takiego blasku nie widziało jeszcze żadne oko ludzkie. Ale wspanialszy nad wszystko był widok unoszącego się w górze S 9000 i wielkich projektorów wciąż jeszcze rozżarzonych do czerwoności.

Ciemny kształt oderwał się od macierzystego statku i szybko się zbliżał. Torkalee wracał po przyjaciół. W chwilę później Alveron witał ich w hali kontrolnej. Wskazał olbrzymi ekran i rzekł spokojnie:

–Widzicie, w samą porę!

Łąd pod nimi zalewały stopniowo szturmujące wybrzeże fale, na milę wysokie. Aż w końcu Ziemia wyglądała jak jednolita płaszczyna skąpana srebrnym światłem niezwykle błyszczącego księżyca. Lśniąca powódź fal sięgała już najwyższego łańcucha gór. Morze odniosło swe ostateczne

zwycięstwo. Ale krótkotrwałe, gdyż wkrótce już nie będzie ani lądów, ani oceanów. Podczas gdy ze statku patrzono na zalew wód, z dala nadciągała gwałtownie katastrofa straszliwsza.

Jakby zorza rozlała się nagle nad krajobrazem płonącym w blasku księżyca. Ale nie była to zorza. To księżyc świecił potężnie niczym drugie słońce. Blisko trzydzieści sekund jego nienaturalne, przeraźliwe światło płonęło, na niebie. Nagle na tablicy kontrolnej rozbłysły światła wskaźnikowe. Statek ruszył. Alveron spojrział na instrumenty. Gdy po sekundzie przeniósł wzrok z powrotem na ekran, Ziemi już nie było.

Wspaniałe, pracujące pod najwyższym napięciem generatory S 9000 zamarły, gdy statek mijał orbitę Persefony. Nie miało to znaczenia, Słońce już mu nie mogło zaszkodzić. I chociaż błakali się teraz bezsilnie w pustkowiu międzygwiazdnej nocy, wiedzieli, że pomoc nadejdzie najwyżej zft parę dni.

Kryła się w tym ironia. Wczoraj jeszcze byli ratownikami spieszącymi na pomoc rasie, która nie istniała. Teraz dopiero Alveron zamyślił się nad losem świata, który przed chwilą uległ zagładzie. Starał się na próżno wyobrazić sobie jego dni chwały, ulice jego miast pełne życia. Mieszkańcy ich byli pierwotni, ale w przyszłości może zdziałałoby wiele we wszechświecie. Cóż kiedy nie dało się nawiązać z nimi kontaktu! Rozpamiętywanie tego było zresztą daremne: na długo przed przybyciem wyprawy ratunkowej mieszkańcy planety musieli się zamknąć w jej żelaznym jądrze. A teraz i oni, i ich cywilizacja pozostaną tajemnicą na wieki.

Alveron ucieszył się, gdy wejście Rugona przerwało mu te myśli. Od chwili opuszczenia planety szef łączności był bardzo zajęty analizowaniem programów radiowych wykrytych przez Orostrona. Problem nie był trudny, ale wymagał budowy specjalnego sprzętu, więc zajęło to trochę czasu. "

–I co znaleźliście? – spytał Alveron.

–Wiele rzeczy – odrzekł przyjaciel. – Jest w tym jakiś sekret, którego nie rozumiem. Zbadanie tych transmisji przyszło nam z łatwością i szybko skonwersowaliśmy je tak, by odpowiadały naszym aparatom. Jak się zdaje, na całej planecie rozmieszczone były fotokamery dla dokonywania zdjęć obserwacyjnych. Niektóre umieszczono w miastach, na szczycie najwyższych budynków. Kamery były wprawiane w ciągły ruch obrotowy, aby dawać zdjęcia panoramiczne. W zbadanych programach znaleźliśmy ze dwadzieścia rozmaitych scen.

Ponadto – ciągnął – mamy szereg transmisji innego rodzaju: ani dźwiękowych, ani wizualnych. Przypuszczam, że są czysto naukowe, może

stanowią wynik odczytywania jakichś instrumentów. Programy te nadawano jednocześnie na falach różnej częstotliwości. Musiało to mieć określony cel. Orostron nadal sądził, że stacji nie wyłączono po prostu w chwili jej opuszczenia. Ale mamy tu do czynienia z typem programów, jakich żadna stacja normalnie by nie nadawała. Mogły służyć tylko do międzyplanetarnej łączności. Pod tym względem Klarten ma zupełną rację. Czyli że te istoty musiały rozwiązać problem komunikacji kosmicznej, gdyż na innych planetach w momencie ostatniego sprawdzenia nie było w ogóle życia. Co o tym sądzisz?

Alveron słuchał z uwagą.,

–Tak, to brzmi logicznie. Ale z drugiej strony wiemy, że programy nie były skierowane do żadnej z pozostałych planet. Sam to sprawdzałem.

–Wiem – odparł Rugon. – Ale mnie interesuje pytanie, dlaczego olbrzymia międzyplanetarna stacja łączności skrupulatnie nadaje obrazy świata, który za chwilę ulec ma zagładzie. Obrazy niezmiernej wagi dla astronomów i w ogóle uczonych. Ktoś zadał sobie szalony trud zbudowania tych wszystkich panoramicznych kamer. I jestem przekonany, że fale radiostacji mają wyraźny kierunek i przeznaczenie.

–Czy chcesz przez to powiedzieć – zachnął się Alverón – że podejrzewasz istnienie planety pominiętej w naszych wykazach? W takim razie twoja teoria jest błędna. Fale nie były skierowane na żaden punkt Układu Słonecznego. A nawet, gdyby tak było – patrz... – Włączył ekran i nastawił aparat. Na aksafnitnym tle nieskończoności widniała białobłękitna kula złożona z licznych koncentrycznych warstw rozżarzonych gazów. Choć z tej odległości ruchy były niedostrzegalne, widać było, że rozszerza się z niesłychaną szybkością. W samym środku znajdował się oślepiający punkt świetlny: biała karłowata gwiazda, w którą zmienilo się obecnie Słońce. – Może nie uprzytamniasz sobie – rzekł Alveron – wielkości tej kuli. Więc przyjrzyj się.

Wzmógł powiększenie, aż pozostała widoczna tylko środkowa część gwiazdy nowej. Tuż przy samym jądrze wyróżniały się dwa mikroskopijne zgęszczenia..

–To dwie największe planety układu. Zdołały w pewnym sensie zachować swoją odrębność. A znajdowały się o setki milionów mil od Słońca. Nowa dalej rośnie, ale już jest dwa razy większa od całego słonecznego układu.

Rugon milczał przez chwilę.

–Może i masz rację – odparł niechętnie. – Ale nawet jeśli obaliłeś moją teorię, nie wyjaśniłeś problemu.

Nie odzywając się krążył po sali. Alveron czekał cierpliwie. Znał świetny umysł swego przyjaciela, który intuicyjnie potrafił nieraz znaleźć rozwiązanie, gdy zwykła logika nie mogła go dostarczyć.

Po pewnym czasie Rugon zaczął mówić z głębokim namysłem.

–A co powiesz o takiej hipotezie? – spytał. – Przypuśćmy, że wcale nie umieliśmy docenić tej rasy. Orostron twierdził, że nie mogli przekroczyć progu kosmosu, ponieważ znali radio tylko przez dwieście lat. Otóż mylił się całkowicie. Więc może i teraz wszyscy się mylimy. Oglądałem materiał, jaki przywiózł Klarten. Nie był nirn zachwycony. A moim zdaniem to są świetne wyniki jak na tak krótki czas. Na stacji znajdowały się urządzenia należące do cywilizacji o tysiące lat starszych. Słuchaj, Alve-ron, czy możemy prześledzić te fale, aby sprawdzić ich końcowy kierunek?

Dłuższą chwilę Alveron nie odpowiadał. Spodziewał się tego pytania, ale odpowiedź nie była rzeczą łatwą. Główne generatory wyczerpały się całkowicie. O naprawieniu nie mogło być mowy. Ale wciąż jeszcze mieli energię do dyspozycji, a mając energię można zrobić wszystko. Oczywiście trzeba, będzie improwizować i dokonywać różnych trudnych manewrów, gdyż statek wciąż miał swoją ogromną szybkość pierwotną. Tak, można to zrobić. Odwróci to nawet uwagę załogi i zapobiegnie zbyt niemu przygnębieniu z powodu niepowodzenia misji. Zwłaszcza że ten zły nastrój pogłębiła jeszcze wiadomość, niedawno odebrana, że statek naprawczy przybędzie dopiero za trzy tygodnie.›

Inżynierowie, jak zwykle, wysuwali mnóstwo trudności. I jak zwykle wykonali pracę w połowie czasu, który uznali za absolutnie konieczny. Zmiana kierunku przy szybkości, uzyskanej w ciągu paru minut, zabrała teraz kilka długich godzin. W końcu jednak statek zmienił kurs i zatoczył powoli olbrzymią krzywiznę o promieniu milionów mil. A jednocześnie przesunęły się pola gwiazdne.

Cały manewr zajął trzy dni. Z upływem tego czasu S 9000 przybrał kurs równoległy do fal radiowych wysłanych niegdyś z Ziemi. Zagłębiali się teraz coraz bardziej w próżnię, a jarząca się kula dawnego słonecznego układu stopniowo malała za nimi. Według skali podróży międzygwiazdnych byli teraz prawie nieruchomi.

i Rugon nie odstępował wcale instrumentów i wysyłał daleko w przestrzeń fale wykrywające. Nie ulegało już kwestii, że w odległości wielu lat świetlnych nie ma żadnej planety. Od czasu do czasu zjawiał się Alveron, a Rugon wciąż musiał dawać tę samą odpowiedź: „Nic nowego”. Intuicja zawodziła niekiedy Rugona i to bardzo dotkliwie. Zaczynał podejrzewać, że taki wypadek zaszedł właśnie teraz.

Dopiero po tygodniu igły detektorów zaczęły lekko drgać. Ale Rugon, nie powiedział o tym nikomu, nawet swemu dowódcy. Chciał mieć pewność, więc czekał aż do chwili, gdy reagować zaczęły nawet wykrywacze bliskiego zasięgu, a na wizpekranie zjawily się pierwsze nikłe zarysy obrazów. Ale i to go nie zadowoliło: obrazy należało wyjaśnić. Dopiero gdy upewnił się, że najdziksza fantazja blednie wobec rzeczywistości, wezwał kolegów do hali kontrolnej.

Na ekranie widniał znany wszystkim obraz nieskończonych pól gwiazdnych, widok słońc ciągnących się aż po granice wszechświata.* W pobliżu środka ekranu jakaś daleka mgławica tworzyła plamkę trudno dostrzegalną dla oka.

Rugon wzmógł powiększenie. Gwiazdy znikły z pola widzenia. A mgławica rozrosła się, aż wypełniła ekran. A wtedy... nie była to już mgławica. Okrzyk podziwu wyrwał się jednocześnie wszystkim zebranym na widok tego, co ujrzeli przed sobą.

Unosząc się w przestrzeni w równych od siebie odstępach i z dokładnością maszerującej armii płynęły tysiące drobnych kresek świetlnych. Poruszały się szybko tworząc razem zwartą i jednolitą grupę. Stopniowo świetlna formacja zaczęła wysuwać się z ram ekranu i Rugon musiał ponownie nastawić aparat. Milczał długo, zanim przemówił.

–Oto jest rasa – rzekł bardzo spokojnie – która znała radio zaledwie przez dwa stulecia. Rasa, o której sądziliśmy, że czekając na śmierć ukryła się w głębi swojej planety. Zbadałem ten obraz przy największym, jakie tylko można było osiągnąć, powiększeniu. Jest to największa flota, jaka kiedykolwiek istniała. Każda z tych kresek świetlnych oznacza statek większy od naszego. Oczywiście, są to statki bardzo pierwotne; na ekranie widzimy odrzut ich rakiet. Tak jest, mieli odwagę użyć rakiet dla pokonania przestrzeni kosmicznej!

Zdajecie sobie sprawę, co stąd wynika. Upłyną setki lat, nim dotrą do najbliższej gwiazdy. Cała rasa wyruszyły w tę podróż w nadziei, że po upływie pokoleń ukończą ją potomkowie. Aby ocenić rozmiar ich czynu, musicie pomyśleć, ile wieków myśmy zużyli na podbój przestrzeni, ile dalszych wieków minęło, nim spróbowaliśmy osiągnąć gwiazd. Czy potrafilibyśmy uczynić tyle i w tak krótkim czasie, nawet gdyby nam groziła zagłada? Pamiętajcie, że jest to najmłodsza cywilizacja wszechświata. Czteryście tysięcy lat temu wcale nie istniała. Jaka więc będzie za milion lat? ' '

W godzinę później Orostron opuścił obezwładniony statek macierzysty dla nawiązania kontaktu z wielką flotą lecącą przed nimi. Gdy jego

drobna łódź znikła wśród gwiazd, Alveron zwrócił się do przyjaciela i wypowiedział słowa, które Rugon nieraz przypominał sobie po latach;

–Ciekaw jestem, jacy też oni są? – szepnął. – Czy to tylko wspaniali inżynierowie, pozbawieni sztuki i filozofii? Będą bardzo zdziwieni, gdy Orostron ich spotka – może to nawet będzie cios dla ich dumy. Dziwne to, ale wszystkie odosobnione rasy myślą, że są jedynymi mieszkańcami wszechświata. A swoją drogą powinni być nam wdzięczni: zaoszczędzimy im kilkuset lat podróży..

Alveron spojrział na Drogę Mleczną, pokrywającą ekran jakby srebrną mgłą. Ruchem czułka zatoczył krąg obejmujący całość Galaktyki, od Planet Centralnych po samotne słońca Rimu.

–Czy wiesz – rzekł Rugon – trochę się boję tej rasy. Przypuśćmy, że nie spodoba im się nasza Federacja? – Jeszcze raz wskazał płonące miriady gwiazd na ekranie.

–Jakoś mi się zdaje – dodał – że to bardzo zdecydowana rasa. Musimy być dla nich uprzejmi. Ostatecznie jesteśmy od nich liczniejsi wszystkiego miliard razy.

Rugon roześmiał się z dziwaczного żarciku dowódcy.

W dwadzieścia Lat później uwaga nie wydała mu się już tak zabawna.

Przełożył Julian Stawiński

DZIEWIĘĆ MILIARDÓW IMION BOGA

–To trochę niezwykle życzenie – rzekł doktor Wagner z tym, co w jego mniemaniu było godną pochwałą powściągliwością. – O ile mi wiadomo, to pierwszy przypadek, żeby tybetański klasztor zamawiał automatyczny komputer sekwencyjny. Nie chciałbym być wścibski, ale chyba nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że pański... ee... zakład znajdzie jakieś zastosowanie dla takiej maszyny. Czy mógłby mi pan wyjaśnić, co zamierzacie z nią robić?

–Z przyjemnością – odparł lama, poprawiając swą jedwabną szatę i ostrożnie odkładając suwak logarytmiczny, którego używał do rozmów w sprawach dewizowych. – Wasz komputer piątej generacji może wykonywać wszystkie działania matematyczne do dziesięciu miejsc. W naszej pracy jednakże idzie o litery, a nie cyfry. Ponieważ pragniemy, żebyście zmodyfikowali obwody wyjściowe, maszyna będzie drukowała słowa, nie kolumny cyfr.

–Nie bardzo rozumiem...

–Pracujemy nad tym przez ostatnie trzysta lat... na dobrą sprawę od założenia naszego klasztoru. To je 'st cokolwiek obce waszej umysłowości, ale mam nadzieję, że mimo fo będzie

pan słuchał moich wyjaśnień bez uprzedzeń.

–Naturalnie.

–W istocie to całkiem proste. Układamy listę, która ma zawierać wszystkie możliwe imiona Boga.

–Słucham?!

–Mamy powody wierzyć – niewzruszenie ciągnął lama – że wszystkie te imiona można zapisać za pomocą nie więcej niż dziewięciu liter wymyślonego przez nas alfabetu.

–I robicie to od trzech wieków?

–Tak. Spodziewaliśmy się, że ukończenie tej pracy zajmie nam około piętnastu tysięcy lat.

–Oho ho – doktor Wagner wyglądał na oszołomionego. – Teraz rozumiem, dlaczego chcieliście wynająć jedną z naszych maszyn. Ale jaki jest właściwie cel tego przedsięwzięcia?

^J~ama zawahał się na ułamek sekundy i doktor Wagner pomyślał, że może go uraził. Jeśli nawet tak się stało, to jednak w odpowiedzi nie było śladu irytacji.

–Jak pan sobie życzy, można to nazwać rytuałem, dla nas jednak stanowi jeden z fundamentalnych elementów naszej wiary. Wszystkie liczne imiona Najwyższej Istoty – Bóg, Jehowa, Allach i tak dalej – to przydomki wymyślone przez ludzi. Jest w tym pewien dość trudny problem natury filozoficznej, czego proponowałbym nie dyskutować, ale wśród wszelkich możliwych kombinacji liter są gdzieś takie, które można określić mianem prawdziwych imion Boga. Poprzez systematyczne przestawianie liter próbujemy spisać wszystkie te imiona.

–Rozumiem. Zaczęliście od AAAAAAA... i skończycie na

ZZZZZZZ...

–Właśnie... choć używamy naszego specjalnego alfabetu. Przerabianie w tym celu elektrycznych automatów do pisania jest oczywiście rozwiązaniem banalnym. Nieco bardziej interesujące byłoby wymyślenie odpowiednich obwodów, które wyeliminowałyby pozbawione sensu kombinacje. Na przykład w żadnym wypadku nie mogą występować obok siebie trzy jednakowe litery.

–Trzy? Zapewne chciał pan powiedzieć dwie.

–Miałem na myśli trzy. Obawiam się, że wyjaśnienie tego zabrałoby nam zbyt wiele czasu, gdyby nawet rozumiał pan nasz język.

–Chyba tak – odparł pośpiesznie Wagner. – Proszę mówić dalej.

–Na szczęście prostą sprawą będzie przystosowanie do tej pracy waszego komputera sekwencyjnego, skoro bowiem raz zostanie należycie zaprogramowany, to podda permutacji kolejno wszystkie litery i wydrukuje rezultat. To, co nam zajęłoby piętnaście tysięcy lat, on wykona w ciągu stu dni.

Do świadomości doktora Wagnera ledwo docierały słabe odgłosy ulic Manhattanu. Myślami przeniósł się bowiem do innego świata, świata naturalnych, a nie sztucznych gór. W swych odosobnionych siedzibach wysoko w górach kolejne pokolenia tych mnichów pracują nad ułożeniem listy słów pozbawionych znaczenia. Czy są jakieś granice kaprysów ludzkości? Nie Wolno mu jednak dać po sobie poznać, o czym myśli. Klient ma zawsze rację...

–Niewątpliwie – odparł doktor – możemy zmodyfikować nasz

I

komputer piątej generacji tak, żeby drukował tego rodzaju wykazy. Znacznie bardziej martwi mnie sprawa montażu i konserwacji. Dotarcie do Tybetu w obecnym czasie nie będzie łatwe.

–To się da zrobić. Części są dostatecznie małe, żeby wysłać je samolotem, i dlatego właśnie wybraliśmy waszą maszynę. Jeśli je dostarczycie do Indii, zapewnimy dalszy transport.

–I chcecie wynająć dwóch naszych inżynierów?

–Tak, na te trzy miesiące, to znaczy na cały czas trwania przedsięwzięcia.

x- Nie mam wątpliwości, że wydział personalny poradzi sobie z tym – doktor Wagner pośpiesznie coś zapisał w notatniku. – Pozostały jeszcze tylko dwie sprawy...

Nim zdążył skończyć, lama pokazał mu niewielki pasek papieru.

–Oto moje poświadczenie stanu konta w Banku Azjatyckim.

–Dziękuję. Mam wrażenie, że to... ee... powinno wystarczyć. Druga sprawa jest tak banalna, że aż waham się, czy powinienem o niej mówić. Zdumiewające, jak często nie zwraca się uwagi na rzeczy oczywiste. Jakim dysponujecie źródłem energii elektrycznej?

–Generatorem z silnikiem wysokoprężnym. Dostarcza pięćdziesięciu kilowatów prądu o napięciu stu dziesięciu woltów. Bardzo ułatwia życie w klasztorze, ale oczywiście zainstalowano go do wytwarzania energii dla silników elektrycznych, poruszających młynki modlitewne.

–Oczywiście – powtórzył jak echo doktor Wagner – że też o tym nie pomyślałem.

Widok za murkiem przyprawiał o zawrót głowy, lecz z czasem do wszystkiego można się przyzwyczaić. Po trzech miesiącach przeszło sześćsetmetrowa przepaść czy leżąca głęboko w dolinie odległa szachownica pół-nie robiła już wrażenia na George'u Hanleyu. Oparty o wysmagane wiatrem kamienie posępnie spoglądał na dalekie góry, których nazw nawet nie starał się poznać.

George pomyślał, że była to najbardziej zwariowana rzecz, jaka mu się kiedykolwiek przydarzyła. Pewien dowcipniś z laboratoriów centrali nazwał to „Planem Shangri-La”. Już od tygodni komputer piątej generacji wyrzucał hektary papieru zapisanego niezrozumiałym bełkotem. Cierpliwie i nieubłaganie zestawiał litery we wszystkie możliwe kombinacje i po wyczerpaniu jednej klasy przechodził do następnej. Mnisi ostrożnie cieli na kawałki wychodzące z drukarek arkusze i wklejali do ogromnych

ksiąg. Jeszcze tydzień i, chwała Bogu, skończą. George nie znał sekretnych kalkulacji, jakimi kierowali się mnisi, że nie obchodziły ich słowa złożone z dziesięciu, dwudziestu czy stu liter. Męczył go powtarzający się kos/marny sen. że w planie nastąpiła zmiana i że najwyższy -lama (którego oczywiście nazywali Samem Jafte*, choć ani trochę nie był do niego podobny) nagle zawiadomił o przedłużeniu pracy do roku 2060. Byli całkowicie do tego zdolni.

George usłyszał, jak wiatr zatrzasnął ciężkie drewniane drzwi za wychodzącym Chuckiem, który stanął przy murku obok niego. Jak zwykle Chuck palił jedno z tych swoich cygar, jakimi zdobył sobie popularność wśród mnichów, którzy dość chętnie korzystali ze wszystkich drobnych i z większością! głównych uciech tego świata. To jedno dobrze o nich świadczyło: mogli mieć bzika, ale nie byli purytanami. Na przykład te częste wycieczki do wsi w dolinie...

–/ Posłuchaj, George – rzekł Chuck tonem nie cierpiącym zwłoki. – Dowiedziałem się czegoś, co oznacza kłopoty.

–Co się stało? Maszyna wysiadła?

George nie potrafił wyobrazić sobie gorszej ewentualności: mogło to opóźnić powrót, a nic nie było dlań straszniejsze. W jego obecnym stanie ducha nawet widok reklamy telewizyjnej byłby manną z nieba. Przynajmniej to łączyłoby go z domem.

–Nie... nic podobnego – Chuck usiadł na murku, co było niezwykle, normalnie bowiem obawiał się, że spadnie. – Właśnie dowiedziałem się, po co oni to wszystko robią.

–O co ci chodzi? Sądziłem, że wiemy.

–Pewnie... wiemy, co ci mnisi robią, ale nie wiemy po co. To naj-bardziej^zwariowana rzecz...

–Nic nowego – mruknął George.

–...ale stary Sam właśnie mi zeznał. Wiesz, jak codziennie po południu wpada popatrzeć na wydruki. Tym razem był trochę podniecony, przynajmniej na tyle, na ile on może być podniecony. Kiedy mu powiedziałem, że -pracujemy nad ostatnią serią, zapytał mnie tą swoją oryginalną angielszczyzną, czy kiedykolwiek zastanawiałem się, po co oni to robią. Odparłem, że tak, i wtedy mi powiedział.

–Gadaj, może to kupię.

–A więc oni wierzą, że kiedy spiszą wszystkie jego imiona, a zakładają, że jest ich około dziesięciu miliardów, to, wówczas Bóg osiągnie

* Znanym w USA aktor

swój cel. Ród ludzki skończy to, do czego został stworzony, i jego dalsza egzystencja nie będzie miała racji bytu. Brzmi to naprawdę jak bluźnierstwo.

–A co z nami? Mamy popełnić samobójstwo?

–Nie ma potrzeby. Kiedy lista będzie pełna. Bóg po prostu zwinie interes... i tyle!

–Aha. rozumiem. Kiedy skończymy naszą robotę, nastąpi koniec świata.

Chuck zaśmiał się nerwowo.

–To właśnie powiedziałem Samowi i wiesz, co się stało? Popatrzył na mnie bardzo dziwnie, jakbym był najgłupszy w klasie, i powiedział: „To byłoby zbyt banalne”. '

George zastanawiał się nad tym przez chwilę.

–Ja bym to nazwał szeroką interpretacją – odezwał się wkrótce. – Ale. jak sądzisz, co wobec tego powinniśmy zrobić? Nie powiem, żeby to nam sprawiało jakąkolwiek różnicę. W każdym razie już wcześniej wiedzieliśmy, że mają fioła.

–Tak... ale czy nie rozumiesz, do czego może dojść? Kiedy lista będzie pełna i nic z tego nie wyjdzie, wszystko mogą zwalić na nas. Używają przecież naszej maszyny. Ta sytuacja wcale mi się nie podoba. ' – Rozumiem – rzekł z wolna George. – Masz trochę racji. Ale wiesz, takie rzeczy już się zdarzały. Kiedy byłem chłopcem, w Luizjanie mieliśmy stukniętego kaznodzieję, który oświadczył, że koniec świata nastąpi w najbliższą sobotę. Uwierzyły mu setki lud/i... posprzedawali nawet swoje domy. Nic jednak się nie stało i choć należałoby się tego spodziewać, nawet nie mieli do niego pretensji. Po prostu uznali, że pomylił się w obliczeniach, i w dalszym ciągu wier/yli. Przypuszczani, że niektórzy wciąż jeszcze wierzą.

–No dobrze, ale przypominam ci. że nie jesteśmy w Luizjanie, na wypadek, gdybyś tego nie zauważył. Nas jest tylko dwóch, a tych mnichów setki. Lubię ich i będzie mi żal starego Sama, kiedy zrozumie, że całe życie pracował na próżno. Mimo wszystko wolalbyśmy wówczas być gdzie indziej.

–Marzę o tym od wielu tygodni, lecz nic nie możemy zrobić, dopóki kontrakt się nie skończy i nas stąd nie zabiorą.

–: Ale oczywiście zawsze możemy spróbować jakiegoś małego sabotażu – odparł zamysłony Chuck.

–Jeszcze czego! To by tylko pogorszyło sprawę!

–Ale nie taki sabotaż, o jakim ja myślałem. Posłuchaj: pracując

jak obecnie dwadzieścia godzin na dobę. maszyna skończy wszystko od dziś za cztery dni. Za tydzień będziemy mieli transport. W porządku. Trzeba jedynie wymyślić coś, co niby powinno być wymienione podczas przeglądu, a to wstrzyma pracę na parę dni. Załatwimy się z tym oczywiście bez pośpiechu. Jeżeli wszystko odpowiednio zgramy w czasie, to może będziemy już na lotnisku, gdy drukarka wyrzuci ostatnie imię. a wtedy nie będą w stanie nas dogonić.

–Nie podoba mi się to – rzekł George. – Po raz pierwszy opuściłbym stanowisko pracy. Poza tym mogliby coś podejrzać. Nie, będę twardo siedział i zobaczę, co z tego wyniknie.

–W dalszym ciągu to mi się nie podoba.– powiedział siedem dni później, gdy silne górskie koniki zwoziły ich w dół krętą drogą. – I wcale bym nie powiedział, że uciekam, bo się boję. Po prostu żal mi tych staruszków na górze i nie chcę przy nich być, kiedy się zorientują, że są frajerami. Ciekaw jestem, jak przyjmie to Sam?

–To zabawne – odparł Chuck – ale kiedy się z nim żegnałem, przyszło mi do głowy, że on zdaje sobie sprawę z naszej ucieczki, lecz zupełnie się tym nie przejmuje, bo wie, że maszyna jest sprawna i wkrótce wykona zadanie. Potem..., no cóż, dla niego nie ma oczywiście żadnego „potem”...

George odwrócił się w siodle i spojrzał na szczyt górskiej drogi. To ostatnie miejsce, z którego dobrze było widać klasztor. Sylwetki przysadzistych kanciastych zabudowań wyraźnie rysowały się na tle łuny zachodzącego słońca: gdzieś tam błyszczały światła niczym iluminatory w burcie oceanicznego liniowca. Oczywiście światła elektryczne, zasilane tym samym prądem, co ich maszyna. Jak długo jeszcze będą się paliły? – zastanawiał się George. Czy wściekli i zawiedzeni mnisi rozbiją komputer? A może spokojnie usiądą i znowu zaczną wszystko od początku?

Doskonale wiedział, co w tej chwili dzieje się na górze. Najwyższy lama i jego asystenci siedzą w swych jedwabnych szatach, przeglądając arkusze papieru, młodszy mnisi zaś odbierają je z drukarek i wklejają do wielkich tomów. Nikt nic nie mówi. Jedyny dźwięk to nieprzerwany stukot czcionek uderzających w papier jak bębnienie kropel nieustającego deszczu, sam komputer bowiem jest zupełnie bezgłośny, kiedy wykonuje tysiące obliczeń na sekundę. Trzy miesiące tego wystarczy, pomyślał George, by człowiek zaczął chodzić po ścianach.

–O, już jest! – wykrzyknął Chuck, wskazując w dół na dolinę. – Jaka piękna!

Oczywiście, że jest, pomyślał George. Rozklekotana dakota stała jak maleńki srebrny krzyżyk na końcu pasa startowego. Za dwie godziny uniesie ich ku wolności i zdrowiu psychicznemu. Delektował się tą myślą jak starym winem. Pozwolił jej opanować cały swój umysł, a tymczasem konik mozoJnie schodził po stoku.

W wysokich Himalajach noc zapada szybko i już zrobiło się prawie ciemno. Na szczęście droga była bardzo dobra, jak wszystkie pozostałe w tym rejonie, a poza tym obaj mieli latarki. Nie groziło im najmniejsze niebezpieczeństwo; odczuwali tylko dotkliwy chłód. Niebo w górze było idealnie czyste, rozświetlone dobrze znanymi przyjaznymi gwiazdami. Przynajmniej nie ma obawy, pomyślał George, że pilot nie wystartuje ze względu na złe warunki atmosferyczne. Było to jedyne zmartwienie, jakie mu pozostało.*.

Zaczął sobie podśpiewywać, ale wkrótce zrezygnował. Ta ogromna masa gór, wyglądających jak zjawy w białych kapturach, zupełnie do tego nie nastrajała. Po chwili George spojrzał na zegarek.

–Za godzinę będziemy na miejscu – wykrzyknął przez ramię do Chucka, a później po namyśle dodał: – Ciekaw jestem, czy komputer już skończył. Powinien to zrobić mniej więcej teraz,

Chuck nie odpowiadał, więc George odwrócił się w siodle. Widział jedynie twarz Chucka: biały owal skierowany w górę.

–Spójrz – wyszeptał Chuck i George podniósł wzrok ku niebu. (Kiedyś wszystko robi się po raz ostatni). W górze spokojnie gasły gwiazdy.

Przełożył Marek Cegiela

ZAPOMNIANY WRÓG

Gdy profesor Millward nagle rzucił się na wąskim łóżku, grube futra z głuchym odgłosem spadły na ziemię. Tym razem był pewny, że to nie sen. Wydawało się, że mroźne powietrze, którym się zachłysnął, jeszcze rozbrzmiewa hukiem usłyszanym przed chwilą.

Profesor naciągnął futro na plecy i wyteżył słuch. Znów zapanowała niczym nie zmacona cisza. Przez-wąskie okna od zachodu wpadały długie promienie księżyca, płasząc po nie kończących się rzędach książek tak samo, jak płaszały w tym wymarłym mieście. W dole świat był zupełnie 'martwy, w taką noc nawet dawniej stolica była milcząca,– teraz cichość zalegała podwójna.

Przygnębiony profesor Millward, szurając nogami, wstał z łóżka i dorzucił kilka bryłek koksu do pieca. Później wojno ruszył do najbliższego okna, przystając od czasu do czasu, by

z[^]czułością dotknąć tomów, których strzegł przez te wszystkie lata.

Oślaniając oczy przed jaskrawym blaskiem księżyca, wpatrzył się w noc. Niebo było bezchmurne, a więc ten dźwięk, czymkolwiek był, to na pewno nie grzmot. Nadleciał z północy i teraz, gdy profesor nasłuchiwał, huk powtórzył się. Tłumiła go odległość i wzgórza rozciągające się za Londynem. Nie przetaczał się po niebie ze swawolą gromu: zdawało się, że słyhać go z jakiegoś jednego punktu. Nie przypominał żadnego z naturalnych odgłosów, jakie profesor znał; na moment ponownie ożyła w nim nadzieja.

Był pewny, że za tym kryje się tylko człowiek. Może marzenia, które ponad dwadzieścia lat trzymały go tutaj, między tymi skarbami cywilizacji, wkrótce się spełnią. Ludzie wracali do Anglii, torując sobie drogę wśród lodów i śniegów bronią, w którą ich wyposażyła nauka jeszcze przed nadejściem katastrofy. Dziwił się tylko, że nadchodzą lądem z północy, ale uparcie odrzucał jakiegokolwiek myśli, które mogły zgasić na nowo rozpalony promyk nadziei.

Trzysta stóp niżej nierówne morze śniegu pokrywającego dachy domów leżało skąpane w zimnym świetle księżyca. Wysokie kominy oddalonej o milę elektrowni w Battersea jaśniały jak chude, białe duchy na nocnym niebie. Obecnie, kiedy pod ciężarem opadów runęła kopuła katedry św. Pawła, one same rzuciły wyzwanie śniegom.

Profesor Millward zawrócił i idąc wolno wzdłuż rzędów półek, zaczął obmyślać szczegóły pomysłu, który mu "zaświtał. Dwadzieścia lat temu przypatrywał się ostatnim helikopterom, ociążale startującym z Regent Parku i mielącym śmigłami nieprzerwanie padający śnieg. Nawet wtedy, gdy ze wszystkich stron otoczyła ją cisza, nie mógł uwierzyć, że północ została opuszczona na zawsze. A jednak już dwa dziesięciolecia oczekiwał wśród książek, którym poświęcił życie.

Wtedy, w początkowym okresie, z radia, za którego pośrednictwem utrzymywał jedyny kontakt z południem, dowiadywał się o walkach staczanych podczas kolonizowania Ekwadoru teraz mającego klimat umiarkowany. Nie znał rezultatów tych potyczek prowadzonych z desperacką zaciętością w umierających dżunglach i na pustyniach już dotkniętych pierwszymi mackami śniegu. Może te starcia zakończyły się klęską; radio milczało od piętnastu lat albo i więcej. Jednakże jeśli ludzie spomiędzy wielu możliwych kierunków powrotu wybrali północ, pewnie usłyszy, jak porozumiewają się ze sobą i z ziemią, z której idą.

Profesor Millward opuszczał gmach uniwersytetu nie więcej niż dwanaście razy do roku i na ogół z bardzo ważnych powodów. W ciągu dwudziestu lat zgromadził wszystko, czego potrzebował ze sklepów w okolicy Bloomsbury, ponieważ w końcowym etapie masowej ucieczki brak transportu spowodował, – że zostawiono tam ogromne zapasy towarów. Pod wieloma względami jego życie można było określić jako luksusowe; żaden profesor literatury angielskiej nigdy nie nosił takich jak on futer zabranych ze sklepów kuśnierskich na Oxford Street.

Słońce już świeciło na bezchmurnym niebie, kiedy zarzucił na barki plecak i otworzył masywną bramę. Jeszcze dziesięć lat temu w tej okolicy wałęsały się w poszukiwaniu pożywienia sfory głodujących psów i choć już od lat nie widział żadnego, wciąż zachowywał ostrożność i wychodząc zabierał rewolwer.

Blask słoneczny był tak silny, że aż porażał oczy. Niestety, te promienie nie grzały. Choć strefa kosmicznego pyłu, przez którą teraz przesuwiał się system słoneczny, nie miała wielkiego wpływu na jasność słońca, pozbawiła je zupełnie ciepła. Nikt nie wiedział, czy temperatura podniesie

się za dziesięć, czy za tysiąc lat; ludność wyemigrowała na południe, gdzie słowo „lato” nie było tylko pustym dźwiękiem.

- Śnieg z ostatnich opadów był już mocno ubity i profesor Millward bez większych trudności dotarł na ulicę Tottenham Court. Czasem całymi godzinami musiał brnąć po śniegu, a któregoś roku zasy więziły go na wieży przez dziesięć miesięcy.

Trzymał się z dala od domów z ich niebezpiecznymi czapami śniegu i soplami lodu w każdej chwili grożącymi urwaniem i szedł na północ, aż dotarł do sklepu, którego szukał. Szyld nad rozbitym oknem wystawowym był ciągle czytelny:

Jenkins i Synowie Sprzęt radiotechniczny

Przez uszkodzony dach nawiało trochę śniegu, ale pokój na górze nie zmienił się od ostatniej wizyty profesora dwanaście lat temu. Radio o wszystkich zakresach fal wciąż stało na stole, a puste puszki rozrzucone na podłodze mówiły o samotnych godzinach, które tu spędził, nirn zgasła ostatnia iskra nadziei. Zastanawiał się, czy jeszcze raz musi przejść przez to samo.

Profesor Millward strzepnął śnieg z Podręcznika Radioamatora z roku 1965; to z. tej książeczki zaczerpnął trochę wiadomości o radiu. Baterie znajdowały się na swych już na pół zapomnianych miejscach i z ulgą stwierdził, że są jeszcze naładowane. Szperał po półkach, aż zmontował niezbędne źródło zasilania w energię, a później sprawdził radio najlepiej jak potrafił. Wtedy był gotów.

Ledwo dosłyszalny szum wydobywający się z głośnika przywołał wspomnienie BBC – dziennika o dziewiętej i koncertów symfonicznych, rzeczy tak naturalnie związanych ze światem, który minął jak sen. Z trudem opanowując niecierpliwość, profesor sprawdzał wszystkie zakresy, lecz nigdzie nie było nic słyhać, z wyjątkiem tego wszechobecnego trzasku. Doznał rozczarowania, ale nie na długo; uprzytomnił sobie, że tylko w nocy zdoła się przekonać, jak się naprawdę przedstawia sytuacja. Tymczasem przetrząśnie okoliczne sklepy w poszukiwaniu rzeczy, które będą mu potrzebne.

Zapadł już zmierzch, gdy profesor wrócił do pokoiku. Słońce zaszło tak, jak zachodziło co wieczór od milionów lat. Sto mil nad jego głową rozciągała się niewidoczna Warstwa Hcaviside" a. Dopiero pół wieku temu człowiek zaczął wykorzystywać ją do własnych celów: do przekazywania wieści o wojnie lub pokoju, rozprzestrzeniania banału lub nadawania muzyki kiedyś zwanej nieśmiertelną.

Powoli, z ogromną cierpliwością, profesor Millward zaczął kręcić gałką w paśmie fal krótkich jeszcze przed dwudziestu laty rozbrzmie-, wającym zgiełkiem przekrzykujących się głosów i stukotem morsa. Już w trakcie nasłuchiwania słaba iskierka nadziei, którą ośmielał się podsycać, zaczęła w nim gasnąć. Nawet miasto było mniej milczące niż rozkrzyczane dawniej fale eteru. Tylko od czasu do czasu tę ciszę nie do zniesienia przerywały słabo słyszalne bardzo dalekie uderzenia piorunów.

Wkrótce po północy wyczerpały się baterie. Profesor Millward nie miał już odwagi siedzieć dłużej, otulił się w futra i zapadł w niespokojny sen. Trochę pocieszyła go myśl, że choć nie zdołał udowodnić swojej teorii, to też nie znalazł nic, co by jej zaprzeczało. Zimne promienie słoneczne zalewały pustą białą ulicę, kiedy ruszył w powrotną drogę. Był bardzo zmęczony, bo w nocy budził się co chwila: ciągle mu się śniło, że przybywa ratunek.

Nagle ciszę przerwał odległy grzmot, który zadudnił na białych dachach. Rozległ się nad północnymi wzgórzami tam, gdzie się kiedyś mieścił ośrodek sportowy. Z budynków po obu stronach szerokiej ulicy, ze świstem przecinając powietrze, spadły na ziemię małe lawiny śniegu, potem na nowo zapanowała cisza.

Profesor Millward stał nieruchomo rozważając, porównując, analizując. Dźwięk był zbyt długi jak na zwykły wybuch – to nic innego, tylko odległe echo eksplozji atomowej, niszczącej, topiącej miliony ton śniegu naraz – profesor znów dał się ponieść marzeniom, odżyła nadzieja, nocne rozczarowania zaczęły się zacierać w pamięci.

Omal tej krótkiej chwili zadumy nie przyplacił życiem. Z bocznej uliczki wysunęło się coś ogromnego, białego i naraz znalazło się w zasięgu jego wzroku. W następnej sekundzie profesor otrząsnął się z zamyślenia i zaczął w popłochu szukać rewolweru, który, jak się okazało, zapomniał nabić. Po śniegu szedł ku niemu, kołysząc głową to w jedną to w drugą stronę hipnotycznym, jednostajnym ruchem, potężny niedźwiedź polarny.

Profesor rzucił swój dobytek i potykając się pobiegł w kierunku najbliższych budynków. Na szczęście zejście do metra znajdowało się w odległości zaledwie pięćdziesięciu stóp. Żelazna brama była zamknięta, lecz przypomniał sobie, że rozbił kłódkę wiele lat temu. Miał ogromną ochotę obejrzeć się, gdyż nie mógł się zorientować, jak daleko jest ścigające go zwierzę. Z wielkim trudem przewyciężył tę pokusę. Przez jedną straszną chwilę żelazna krata opierała się zdrętwiałym palcom. Później ustąpiła nieznacznie i profesor precyzyjnie przesunął się przez wąski otwór.

Nagle z dzieciństwa napłynęło wspomnienie łasicy albinoski bez51

ustannie ocierającej się futerkiem o drucianą siatkę klatki. Coś z jej przymilnego wdzięku odnalazł w tym monstrualnym, niemal dwa razy większym od człowieka kształcie, który oparł łapy o kratę w bezsilnej wściekłości. Metal wygiął się, lecz nie ustąpił pod naciskiem; wtedy

niedźwiedź opadł na ziemię i oddalił się mruć/ąc cicho. Raz czy dwa wałnął w pozostawiony na śniegu plecak, rozrzucając kilka puszek z żywnością, i zniknął równie cicho, jak się zjawił.

Posuwając się zygzakowatym ruchem od jednej kryjówki do drugiej, bardzo osłabiony profesor Millward dotarł do gmachu uniwersytetu trzy godziny później. Po raz pierwszy po tych wszystkich latach nie był w mieście sam. Zastanawiał się, czy są tu także przedstawiciele innych gatunków, i tej samej nocy dostał na to odpowiedź. Tuż przed świtem gdzieś ze strony Hyde Parku usłyszał całkiem wyraźnie, wycie wilka.

Pod koniec tygodnia wiedział już, że to ruszyły na południe zwierzęta północy. Pewnego razu zobaczył uciekającego renifera, za którym podążały gromady milczących wilków, i czasami z ciemności dobiegały go odgłosy śmiertelnej walki. Zdumiewało go, że jeszcze tyle życia istnieje na białej pustyni między Londynem a biegunem. Teraz coś wyganiało całe stado z północy i świadomość tego wprawiała profesora w rosnące podniecenie. Nie wierzył; że te resztki, które przeżyły" katastrofę, mogą uciekać przed inną siłą niż siła człowieka.

To męczące oczekiwanie zaczynało się niekorzystnie odbijać na profesorze. Godzinami przesiadywał na zimnym słońcu otulony futrami, marząc o ratunku i zastanawiając się, w jaki sposób ludzie powrócą do Anglii. Jest rzeczą prawdopodobną, że ekspedycja nadejdzie z Ameryki Północnej przez lody Atlantyku. To może potrwać lata. Ale dlaczego iść z tak dalekiej północy? Najchętniej tłumaczył sobie, że widocznie ławice pływającej kry na Atlantyku nie wytrzymałyby ciężaru ludzi i sprzętu.

Lecz jednej rzeczy nie umiał wyjaśnić w sposób przekonujący. Nie dostrzegł żadnego powietrznego zwiadu; trudno było uwierzyć, że sztuka latania została tak wcześnie zaprzepaszczona.

Niekiedy przechadzał się wzdłuż szeregów książek, szepcząc coś od czasu do czasu ukochanym tomom. Były to dzieła, do których nie śmiał zaglądać od wielu lat, tak dojmująco przypominały mu przeszłość. Ale -ostatnio, gdy dni stawały się dłuższe i jaśniejsze, czasami wyjmował jakiś tomik poezji i na nowo czytał ulubionych autorów. Później podchodził do wysokiego okna i ponad dachami domów wykrzykiwał jakieś magiczne słowa, jakby one mogły zmienić klimat, który zapanował nad światem.

Obecnie trochę się ociepliło, jak gdyby wróciły, by straszyć na-ziemi, duchy zwyciężonego lata. Przez całe dni utrzymywała się temperatura powyżej zera i w wielu miejscach kwiaty wystawiały główki spod śniegu. Cokolwiek się zbliżało, było tuż, tuż; kilka razy dziennie rozlegał się nad miastem ten tajemniczy grzmot, otrząsając śnieg z tysięcy dachów.

Dawały się też słyszeć dziwne chrzęszczące pomruki, które profesora Millwarda wprawiały w zakłopotanie, a nawet przerażały. Wówczas odnosił wrażenie, że wsłuchuje się w starcie dwóch potężnych armii, i czasami przychodziły mu do głowy szalone, straszliwe myśli, od których nie mógł się opędzić. W nocy budził się często, bo mu się zdawało, że słyszy, jak góry suną w stronę morza. Gdy więc lato powoli mijało, profesorem coraz częściej targała nadzieja i rozpacz. Chociaż nie widywał niedźwiedzi i wilków – chyba umknęły na południe – wolał nie opuszczać swojej bezpiecznej fortecy. Każdego ranka wdrapywał się aż na sam szczyt wieży i przez lornetkę polową śledził północny horyzont. Ale za dzielnicą Hamstead zdołał tylko dostrzec ciągle cofanie się śniegów, toczących zacieklą walkę ze słońcem.

Zakończył to swoje czuwanie wraz z ostatnimi dniami krótkiego lata. W nocy przeraźliwy grzmot zahuczał bliżej niż kiedykolwiek, lecz jeszcze trudno było się zorientować, w jakiej naprawdę odległości od miasta. Profesor Millward nic nie przeczuwał, gdy dotarłszy z trudem do wąskiego okienka skierował lornetkę na północne niebo.

Niczym obserwator, który z murów jakiejś zagrożonej twierdzy po raz pierwszy spostrzega słońce iskrzące się na kopiach nadciągającej armii, w tym momencie profesor Millward odgadł prawdę. Powietrze było krystalicznie czyste i połyskujące wzgórza rysowały się wyraźnie na tle zimnego błękitu nieba; śnieg na nich niemal zupełnie stopniał. Kiedyś profesor by się tym cieszył, ale teraz to nie miało żadnego ziu.-czenia.*

W ciągu nocy wróg całkowicie już zapomniany przezwyciężył ostatnią przeszkodę i gotował się do końcowego szturm. Zobaczywszy te martwe błyski na szczytach wzgórz skazanych na zagładę, profesor Millward zrozumiał wreszcie, co oznaczają przybliżające się grzmoty, w które wsłuchiwał się przez tyle miesięcy. Nic dziwnego, że śniły mu się maszerujące góry.

Z północy, swej odwiecznej krainy, wracając z triumfem do ziem, którymi dawniej władały, znowu nadciągały lodowce.

Przełożyła Irena Czubińska

OGNIE OD WEWNĄTRZ

–Znalazłem coś dla ciebie – powiedział Karn z miną waźniaka. – Rzuć okiem na to. – I posunął w moją stronę plik dokumentów, a ja po raz nie wiadomo który postanowiłem prosić, żeby go przenieśli gdzie indziej. A jak nie jego, to mnie.

–O co chodzi? – spytałem niechętnie.

–Raport miejskiego doktora Matthews, adresowany do ministra nauki. – Machnął mi tym przed nosem. – Weź i przeczytaj!

Bez wielkiego zapału zacząłem przerzucać te papiery. Po chwili spojrzałem na niego i burknąłem: – Możliwe, że się tym razem nie mylisz. – Nie odezwałem się więcej, aż przeczytałem do końca...

„Szanowny Panie Ministrze (brzmiał początek listu). Wypełniając Pańskie polecenie zdaję niniejszym sprawę z eksperymentów prof. Han-cocka, które przyniosły tak nieoczekiwane i rewelacyjne wyniki. Na skutek pośpiechu nie mogłem nadać temu pismu bardziej urzędowej formy, toteż przesyłam Panu po prostu brulion.

Ponieważ z pewnością wiele innych spraw też zaprzęta Pańską uwagę, może streszczę pokrótce dzieje naszych kontaktów z profesorem Hanco-ckiem. Do r. 1955 prof. Hancock pełnił na Uniwersytecie Brendońskim obowiązki kierownika Katedry Urządzeń Elektrycznych im. Kelvina, po czym otrzymał bezterminowy urlop na prowadzenie badań naukowych. Współpracownikiem jego został wówczas nieżyjący dziś dr Clayton, niegdyś naczelny geolog w Ministerstwie Energetyki. Ich połączone prace badawcze finansowane były dotacjami z Funduszu Paula oraz Towarzystwa Królewskiego.

Profesor zamierzał rozwinąć sonar jako metodę szczegółowych badań geologicznych. Sonar jest, jak Panu wiadomo, akustycznym odpowiednikiem radaru, wprawdzie mniej znanym, za to o kilka milionów

lat starszym, jako że nietoperze posługują się nim z powodzeniem dla wykrywania w ciemności nocnej owadów i przeszkód. Prof. Hancock zamierzał wysyłać impulsy dźwiękowe o dużej mocy w głąb Ziemi, a następnie odtwarzać na podstawie odbitego echa obraz tego, co się tam znajduje. Obraz uzyskiwany byłby rta ekranie lampy oscyloskopowej, całe zaś urządzenie opierać się miało na zasadzie podobnej do radaru, używanego w lotnictwie do obserwowania Ziemi przez warstwę chmur.

W r. 1957 dwaj badacze osiągnęli częściowe wyniki, ale wyczerpali posiadane fundusze. Z początkiem r. 1958 zwrócili się bezpośrednio do rządu o dalsze kredyty. Dr Clayton podkreślił olbrzymią wartość urządzenia, umożliwiającego uzyskanie pewnego rodzaju rentgenogramów wnętrza skorupy ziemskiej, a minister energetyki przekazał to podanie nam, z góry zaopatrzywszy je w swoją akceptację. Na krótko przedtem opublikowane zostało sprawozdanie Komitetu Bernalowskiego, w związku z czym zależało nam bardzo na jak najszybszym załatwieniu spraw, aby uniknąć dalszych ewentualnych zarzutów. Natychmiast więc udałem się do prof. Hancocka i sporządziłem raport, który wypadł pozytywnie: w kilka dni później wypłaciliśmy na konto S/543A/68 pierwszą ratę dotacji.

/ Odtąd obserwowałem nieustannie przebieg badań, przyczyniając się do nich poniekąd w charakterze doradcy technicznego.

Aparatura służąca do eksperymentów jest skomplikowana, ale zasady jej działania proste. Bardzo krótkie, ale nadzwyczaj silne impulsy ultradźwiękowe wytwarzane są przez specjalny wirujący nadajnik, zanurzony w ciężkim płynie pochodzenia organicznego. Powstała wiązka drgań przenika w głąb Ziemi. Wprowadzając nader pomysłowy wkład opóźniający, którego opisu nie mogę przytoczyć, uzyskujemy możliwość dowolnego wybierania echa z pewnej określonej głębokości, po czym otrzymujemy już normalny obraz badanych warstw na ekranie lampy oscyloskopowej.

Kiedy po raz pierwszy zetknąłem się z prof. Hancockiem, jego aparat był jeszcze dość prymitywny, ale już i ten aparat potrafił wykazać, jakie jest rozmieszczenie skał do głębokości około stu metrów; widzieliśmy też na nim całkiem wyraźnie część linii kolejowej Bakerloo, której tunel przebiega w pobliżu laboratorium. Sukces profesora opierał się w znacznej mierze na dużej intensywności wysyłanych przez niego impulsów ultradźwiękowych; niemal od samego początku był on w stanie uzyskiwać moc rzędu setek kilowatów, którą prawie w całości emitowano w głąb Ziemi. Niebezpiecznie było przebywać w pobliżu nadajnika. Zauważyłem też wokół niego silne rozgrzewanie się gruntu. Dziwiła mnie trochę

obfitość ptaków w okolicach laboratorium, ale wkrótce odkryłem, że są one zwabiane przez setki martwych robaków, które leżą na powierzchni.

W momencie śmierci doktora Clayтона, tj. w roku 1960, urządzenie pracowało z mocą powyżej jednego megawata i uzyskiwano dzięki niemu dość wyraźne obrazy warstw leżących na głębokości do półtora kilometra.

Dr Clayton zdażył jeszcze porównać otrzymane wyniki z tym, co mówiły dane geograficzne, i udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że wyniki te są pełnowartościowe.

Śmierć doktora Clayтона w wypadku samochodowym była wielką tragedią. Wywierał on zawsze pewien wpływ stabilizujący na prof. Hancocka, który sam nie interesował się zbyt praktycznym zastosowaniem swoich osiągnięć. Zauważyłem niebawem, że punkt widzenia profesora uległ wyraźnej zmianie, a w kilka miesięcy później profesor zwierzył mi się ze swoich nowych ambicji. Starłem się go namówić, aby opublikował wyniki dotychczasowych badań (wydał już ponad 50 tys. funtów i Komisja Kontroli Finansowej znów się nam zaczynała dawać we znaki), ale profesor poprosił jeszcze o małą zwłokę. Sądzę, że najlepiej wyjaśnię jego punkt widzenia, cytując jego własne słowa, które zapamiętałem bardzo dokładnie, ponieważ wypowiedziane zostały ze szczególną emfazą.

–Czy zastanawiał się pan kiedy – rzekł prof. Hancock – czym właściwie jest wnętrze Ziemi? Nasze kopalnie i studnie zaledwie drasnęły jej powierzchnię. To, co leży głębiej, jest mniej znane niż druga strona Księżyca. Wiemy, że gęstość Ziemi jest nadspodziewanie duża: znacznie większa, aniżeli by na to mogły wskazywać skały i gleby tworzące jej skorupę. Jądro może być jednolitą masą metalu, ale nie mieliśmy dotychczas sposobu, aby się czegokolwiek dowiedzieć w tej kwestii. Na głębokości zaledwie piętnastu kilometrów ciśnienie musi wynosić około pięciu ton na centymetr kwadratowy, jeśli nie więcej, a temperatura – setki stopni. Co się może dziać w samym centrum, nie da się nawet ogarnąć wyobraźnią: ciśnienie musi tam wynosić tysiące ton na centymetr. Dziwnie jest pomyśleć, że za kilka lat dotrzemy, być może, do Księżyca i nawet kiedy dolecimy do gwiazd, wciąż będziemy równie dalecy od tego piekła, które się znajduje w odległości zaledwie sześciu tysięcy kilometrów pod naszymi stopami... Obecnie mogę uzyskać czytelne echo z głębokości trzech kilometrów, ale w ciągu kilku miesięcy spodziewam się powiększyć moc nadajnika do dziesięciu megawatów. Przypuszczam, że wtedy jego zasięg wzrośnie do piętnastu kilometrów; i nie mam wcale zamiaru na tym poprzestać.

Jego słowa zrobiły na mnie wrażenie. Mimo to byłem nastawiony raczej sceptycznie. –

–Wszystko to pięknie- odparłem – ale przecież im głębiej pan się zapyści, tym mniej będzie do zobaczenia. Takie ciśnienie wyklucza możliwość istnienia jaskiń, więc po kilku kilometrach będzie już tylko jednostajna masa, tyle że coraz gęstsza i gęstsza.

–Możliwe – zgodził się profesor. – Mimo to niejedno mogę wywnioskować choćby z samego sposobu przenikania. Zresztą zobaczymy.

Działo się to cztery miesiące temu; a wczoraj oglądałem wynik tych badań. Kiedy przybyłem na jego zaproszenie do pracowni, profesor, był wyraźnie podniecony, ale nie byłem w stanie odgadnąć, co odkrył, jeśli cokolwiek odkrył. Pokazał mi swoją ulepszoną aparaturę i wydobyl zanurzony zwykle w płynie odbiornik. Czulość mikrofonów była teraz o wiele większa i już samo to podwoilo zasięg, niezależnie od wzrostu mocy nadajnika. Dziwnie było oglądać obracającą się powoli stalową konstrukcję i uświadamiać sobie, że bada ona w tej chwili rejony pomimo bliskości na zawsze niedostępne dla człowieka.

Kiedyśmy weszli do kabiny z urządzeniem obserwacyjnym, profesor był dziwnie milczący. Włączył nadajnik i chociaż znajdował się on pięćdziesiąt metrów od nas, poczułem przykre mrowienie. Potem ekran oscyloskopu zaświecił i obracający się z wolna promień narysował tyle razy już widziany przeze mnie obraz. Ale znacznie ostrzejszy dzięki zwiększonej mocy i czulości urządzenia. Operując regulatorem głębokości nastawiłem aparat rta tunel metra, doskonale widoczny w postaci ciemnej smugi na świecącym blado ekranie. Kiedy tak patrzyłem, smuzka wypełniła się nagle jak gdyby mgłą i zrozumiałem, że widzę przejeżdżający pociąg.

Po chwili zacząłem opuszczać się głębiej.

Chociaż widziałem ten obraz wiele razy, wrażenie było zawsze niesamowite: obserwowałem napływające na mnie świetliste masy i wiedziałem, że są to zagrzebane głęboko odłamy skalne, prawdopodobnie gruz lodowcowy sprzed pięćdziesięciu tysięcy lat. Dr Clayton opracował mapę, według której mogliśmy teraz identyfikować kolejno różne warstwy. Po niedługim czasie ujrzałem, że gleby namulowe pozostały nade mną i że zagłębiam się w ogromną nieckę gliny, która zbiera w sobie i przechowuje cały zapas wody, dostępny studniom artezyjskim naszego miasta. Wkrótce zacząłem się pogrążyć w skalne podłoże, przeszło kilometr pod powierzchnią.

Obraz był ciągle, wyraźny i jasny, chociaż widziałem niewiele, bo struktura gruntu niewiele się zmieniała. Ciśnienie dochodziło do tysiąca

atmosfer: wkrótce stanie się niemożliwe istnienie jakiegokolwiek wydrążenia, bo nawet skała zacznie być płynna. Spadałem kilometr za kilometrem, ale już jedynie biała mgiełka przepływała po ekranie, z rzadka tylko czymś przerywana, kiedy echo wracało od żyły jakiegoś gęstszego minerału. Zdarzały się one tym rzadziej, im głębiej, albo może stały się już tak drobne, że zupełnie niedostrzegalne.

Skala widzianego obrazu była oczywiście coraz mniejsza. Jego średnica wynosiła już teraz wiele kilometrów i poczułem się nagle jak lotnik, patrzący z. niezmiernej wysokości na nieprzerwane morze obłoków. Poczułem przez moment zawrót głowy na myśl o otchłani, w jaką spoglądam. Nie sądzę, aby grunt pod nogami kiedykolwiek jeszcze wydał mi się w pełni twardy.

Na głębokości kilkunastu kilometrów zatrzymałem się i popatrzyłem na prof. Hancocka. Od pewnego czasu nie było żadnych zmian i wiedziałem, że tutaj skała musi już być zbita w bezkształtną i jednolitą masę.. Przeprowadziłem w myślach szybkie obliczenie i dreszcz mnie przejął, kiedy uświadomiłem sobie, że tu, gdzie jestem, ciśnienie musi wynosić co najmniej pięć ton na centymetr kwadratowy. Pr,omień krążył teraz bardzo powoli, bo słabe echa potrzebowały już wielu sekund, żeby wydostać się na powrót z tych głębin.

–Panie profesorze – powiedziałem – gratuluję panu. To jest naprawdę wielkie osiągnięcie. Ale doszliśmy już chyba do jądra. Nie sądzę, żeby od tego miejsca do centrum globu cokolwiek mogło się zmienić:

Odpowiedział mi nieco krzywym uśmiechem.

–Jedź pan dalej – rzekł. – Jeszcze nie koniec.

Ton jego głosu zbił mnie z tropu i przejął niepokojem. Przez chwilę patrzyłem na niego z napięciem. Rysy jego były ledwie widoczne w błę-Kitnozielonkawym lśnieniu ekranu.

–Jak głęboko to sięga? – zapytałem, znów podejmując nie kończące się zapadanie w głąb. '

–Dwadzieścia dwa kilometry – odparł krótko.

Ciekaw byłem, skąd on to może wiedzieć, bo ostatni w ogóle wyraźny ślad, jaki dostrzegłem, znajdował się zaledwie na głębokości dwunastu kilometrów, ale kontynuowałem to przewlekłe spadanie poprzez skałę, a poszukiwacz obiegał coraz wolniej i wolniej, aż wreszcie jeden pełny obrót trwał prawie pięć minut. Tuż za sobą słyszałem ciężki oddech profesora, a raz oparcie mego krzesła trzasnęło, kiedy zacisnęła na nim palce.

Potem na ekranie raptem zaczęło się coś pokazywać. Nachyliłem się skwapliwie, niepewny, czy są to może pierwsze ślady metalowego jądra

kuli ziemskiej. Promień obrócił się z dręczącą powolnością o kąt prosty, potem o następny. A wtedy...

Wyskoczyłem nagle ze swego krzesła, wrzasnąłem: – Boże! – i wpatrzyłem się w twarz profesora. Tylko raz w życiu doznałem takiego szoku: piętnaście lat temu, kiedy przypadkowo włączyłem radio i usłyszałem o zrzuceniu pierwszej bomby atomowej. Tamto było tak nieoczekiwane... a to jeszcze gorzej, bo/ niepojęte. Na ekranie ukazała się siatka z delikatnych linii, krzyżujących się i zbiegających we wzór doskonale geometrycznej kratownicy.

Pamiętam, że przez długie minuty nie odezwałem się ani słowem. Promień zdążył dokonać pełnego obrotu. Potem profesor przemówił cichym, sztucznie spokojnym głosem:

–Chciałem, żeby pan to zobaczył na własne oczy, zanim, cokolwiek powiem. Obraz ma w tej chwili pięćdziesiąt kilometrów średnicy, a każdy" z tych prostokątów mierzy od trzech do pięciu kilometrów. Proszę zauważyć, że pionowe linie są nieco zbieżne, a poziome nieco łukowate. To, co widzimy, jest wycinkiem olbrzymiego układu koncentrycznych pierścieni: środek musi być położony gdzieś znacznie na północ, zapewne w okolicach Cambridge. Jak daleko ten układ sięga w przeciwną stronę, tego nie wiemy.

–Ale co to takiego, na miłość boską?

–Najwidoczniej twór sztuczny.

–Przecież to kpiny! Dwadzieścia kilometrów pod powierzchnią! Profesor wskazał znów na ekran.

–Słowo honoru, że starałem się, jak tylko mogłem – powiedział – ale nie potrafię w siebie wmówić, że coś takiego może być dziełem natury. Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, a on podjął po chwili:

–Zrobiłem to odkrycie trzy dni temu, próbując ustalić granice zasięgu aparatury. Mógłbym dotrzeć na większą głębokość, ale jestem skłonny przypuszczać, że ta struktura będzie zbyt gęsta, aby moje promieniowanie mogło się przez nią przedostać. Przemyślałem z tuzin teorii, ale w końcu wracam wciąż do tej samej. Wiemy, że ciśnienie na tej głębokości musi wynosić osiem do dziewięciu tysięcy atmosfer i że temperatura musi być dostatecznie wysoka, by stopić skałę. Ale normalna materia mimo wszystko składa się przecież prawie wyłącznie z próżni. Załóżmy, że tam w dole istnieje życie: oczywiście nie życie organiczne, tylko życie oparte na materii częściowo skondensowanej, w której powłok elektronowych jest mało albo wcale ich nie ma. Pan rozumie, co mam na myśli? Dla takich stworzeń nawet lita skała na głębokości dwudziestu

dwóch kilometrów nie będzie stanowiła przeszkody większej niż, dajmy na to, woda... A my wraz z całym naszym światem będziemy nieuchwytni jak duchy.

–Więc to, co tutaj widzimy...

–Jest miastem. Albo czymś podobnym. Znając już jego rozmiary, może pan sam ocenić cywilizację, która je musiała zbudować. Gały ten świat, który znamy, wszystkie nasze oceany i góry. i kontynenty, są zaledwie mglistą powłoką, która otacza coś przechodzącego nasze pojęcie.

Przez chwilę żaden z nas nic nie mówił. Pamiętam niemądre zaskoczenie spowodowane myślą, że jestem jednym z pierwszych-ludzi na świecie, którym dano poznać straszliwą prawdę: bo jakoś ani przez chwilę nie wątpiłem, że to jest prawda. I zastanowiłem się jeszcze, jak też reszta ludzkości zareaguje na ogłoszenie tej prawdy.

Wreszcie przerwałem milczenie.

–Jeśli pańska teoria jest słuszna – powiedziałem – to dlaczego oni... czymkolwiek są... nie nawiązali z nami nigdy kontaktu? Profesor spojrzał na mnie jakby z politowaniem.

–Uważamy się za niezłych inżynierów – rzekł – a w jakiż to sposób myśmy się mogli z nimi skontaktować? Zresztą wcale nie byłbym taki pewien, czy nie było kontaktów. Niech pan sobie tylko przypomni wszystkie te podziemne stwory: trolle, koboldy i tym podobne. Nie, to niemożliwe! Co też ja wygaduję! Niemniej jest to wyobrażenie dość sugestywne. ^

Tymczasem obraz na ekranie trwał "bez zmiany: siatka jarzyła się słabo, szydząc z naszego zdrowego rozsądku. Usiłowałem sobie wyobrazić ulice, budynki i te stworzenia, jak się tam przechadzają: istoty zdolne przenikać przez rozżarzone skały jak ryba płynąca przez wodę. Fantastyczne... I nagle uświadomiłem sobie, jak niewiarygodnie wąski jest zakres temperatur i ciśnień, w jakich może istnieć gatunek ludzki. To my jesteśmy wybrykiem natury, a nie oni: przecież prawie cała materia, występująca we wszechświecie, ma temperaturę tysięcy albo nawet milionów stopni.

–Więc – odezwałem się z wahaniem – co robimy? Profesor nachylił się ku mnie gorączkowo.

–Przede wszystkim musimy się dowiedzieć o wiele więcej, a całą sprawę trzymać w absolutnej tajemnicy, póki nie zyskamy pewności. Czy może pań sobie wyobrazić panikę, jaka by wybuchła, gdy^y to się rozeszło? Oczywiście, prędzej czy później prawda musi wyjść na jaw. ale niech to się dokona stopniowo... Pojmuje pan. że geologiczna przydat60

ność moich prac staje się tera? czymś całkowicie nieistotnym. Naszym pierwszym zadaniem jest zbudowanie szeregu stacji, które pozwolą zbadać rozmiary tej struktury. Przewiduję, że

budowalibyśmy je co jakieś piętnaście kilometrów w kierunku północnym, ale pierwszą umieściłbym gdzieś na południe od Londynu, aby stwierdzić, jak daleko to sięga. Całe to przedsięwzięcie winno być utrzymane w takiej tajemnicy, jak budowanie pierwszej zapory radarowej pod koniec lat trzydziestych. Ja tymczasem będę dalej powiększał moc swego nadajnika. Mam nadzieję, że uda mi się jeszcze zwięzić wiązkę, przez co uzyskam znacznie lepsze ześrodkowanie energii. Jednak to pociągnie za sobą wiele trudności natury technicznej, będę więc potrzebował pomocy w szerszym aniżeli dotąd zakresie.

Obiecałem dołożyć wszelkich starań, aby taką pomoc uzyskać. Prof. Hancock wyraża nadzieję, że Pan Minister zechce w najbliższym czasie osobiście odwiedzić jego pracownię.

Na razie załączam fotografię ekranu, która nie jest wprawdzie tak wyraźna jak obraz oglądany wprost na ekranie, ale która mimo to stanowi chyba niewątpliwy dowód, że obserwacje nasze nie są pomyłką.

Wiem doskonale, że dotacje, przyznane Towarzystwu Badań Międzyplanetarnych, poważnie zaciążyły już na tegorocznym budżecie; jednak nie ulega wątpliwości, że nawet zagadnienie lotów międzyplanetarnych schodzi na dalszy plan wobec konieczności niezwłocznego podjęcia prac, związanych z opisanym tutaj odkryciem, które może mieć najdalej idące konsekwencje, dotyczące zarówno światopoglądu, jak i przyszłych losów całej ludzkości...".^

Odchyliłem się i spojrzałem na Karna. Wielu szczegółów nie rozumiałem, ale ogólny sens tego dokumentu był całkiem jasny.

–Tak – powiedziałem – to jest coś! Gdzie fotografia?

Podał mi ją. Co się tyczy jakości, pozostawiała wiele do życzenia, bo musiano ją mnóstwo razy kopiować, zanim do nas dotarła. Ale widoczny na zdjęciu wzór nie budził żadnych wątpliwości i od razu go rozpoznałem. –

–To byli dobrzy naukowcy – powiedziałem z podziwem. – Szkoda gadać, to jest Kalasteon. Więc dogrzebaliśmy się w końcu 4p prawdy, chociaż zajęło nam to trzy stulecia. \ '

–Dziwisz się? – zapytał Karn. – Tylko pomyśl, co za góry mate61

riałów mieliśmy do przetłumaczenia i wiele było mordęgi, żeby to wszystko skopiować, zanim wyparuje!

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, myśląc o wielkiej rasie, której pozostałości mieliśmy przed oczyma. Tylko jeden raz (nigdy więcej!) wybrałem się na górę wielkim kanałem, który nasi inżynierowie przeprowadzili do Świata Cieni. Było to przerażające i niezapomniane przeżycie. Liczne warstwy mego ciśnieniowego skafandra utrudniały ogromnie.ruchy i czułem też, pomimo całej izolacji, niewiarygodne zimno, które mnie otaczało.

–Jaka szkoda – rzekłem w zamyśleniu – że wydostając się tam zniszczyliśmy ich tak

doszczętnie. Mądra to była rasa i wiele mogliśmy się od nich nauczyć.

–Chyba nie można mieć do nas o to pretensji – powiedział Karn. – Faktycznie nigdyśmy nie traktowali serio przypuszczenia, że cokolwiek może egzystować w tych koszmarnych warunkach, w prawie zupełnej próżni i w temperaturze bliskiej zera absolutnego. Nie było na to żadnej rady.

Ale ja nie mogłem się z tym zgodzić.

–Według mnie to stanowi dowód, że inteligencja tej rasy górowała nad naszą. Jakkolwiek by było, oni nas pierwsi odkryli. A pamiętasz, jak wszyscy się naśmiewali z mego dziadka, kiedy oświadczył, że dochodzące ze Świata Cieni promieniowanie, które wykrył, musi być sztuczne?

Karn przesunął macką po dokumencie.

–vNiewątpliwie dotarliśmy do źródeł owego promieniowania – powiedział. – *- Zwróć uwagę na datę: wyprzedza ona o rok odkrycie Jwo-jego dziadka. Widać profesor wywalczył tę dotację! – Zaśmiał się obrzydliwie. – To musiało być dla niego duże przeżycie, kiedy zobaczył, jak wyłazimy na wierzch, prosto na niego!

Prawie nie słyszałem, co mówił, bo ogarnęło mnie nagle bardzo nieprzyjemne uczucie. Pomyślałem o tysiącach kilometrów skał, leżących pod wielkim miastem Kalasteon, coraz gęstszych i coraz gorętszych im bliżej tajemniczego jądra Ziemi. I zwróciłem się znów do Karna.,

–To wcale nie jest zabawne – powiedziałem. – Teraz może przyjść nasza kolej.

Przełożył Robert Stillet

PRZEOCZENIE

To był jeden z takich wypadków, za które nikogo nie można winić. Richard Nelson kilkanaście razy wchodził do wnętrza generatora, aby odczytać temperaturę dla upewnienia się, czy izolacja nie przepuszcza niesamowitego zimna płynnego helu. Uzwojenie stojana tego pierwszego w świecie " generatora, opartego na zasadzie nadprzewodnictwa, zanurzono w płynnym helu i kilometry drutu miały teraz oporność tak małą, że nie dała się zmierzyć żadną ze znanych człowiekowi metod.

Nelson z zadowoleniem stwierdził, że temperatura nie spadła bardziej, niż oczekiwano. Izolacja spełniała swoje zadanie i obecnie można było śmiało spuszczać rotor do generatora. Ten walec o ciężarze tysiąca ton wisiał teraz piętnaście metrów nad głową Nelsona jak element roboczy ogromnego młota spadowego. Zarówno on, jak i wszyscy pozostali, pracownicy elektrowni mieliby znacznie lepsze samopoczucie, gdyby rotor już znajdował się na swoim miejscu i był sprzężony z wałem turbiny.

/Nelson odłożył notatnik i zaczął wchodzić po drabinie. I wtedy w środku geometrycznym studzienki spotkał swe przeznaczenie.

Od godziny stale rosło obciążenie sieci elektrycznej, w miarę jak granica światła przesuwiała się po kontynencie. Kiedy ostatnie promienie słońca znikły z chmur, ożyły lampy rtęciowe, oświetlające kilometry autostrad. Miliony świetlówek zapłonęły w miastach, a panie domu powłączyły kuchenki promieniowe, by przygotować wieczorny posiłek. Wskazówki megawatomierzy ruszyły w górę podziałki.

Było to normalne obciążenie, lecz na wzgórzu o pięćset kilometrów stąd pośpiesznie uruchamiano gigantyczny analizator w oczekiwaniu, wzrostu promieniowania kosmicznego w związku z odkryciem przez astronomów, zaledwie przed godziną, jeszcze jednej supernowej w gwiazdozbiorze Koziorożca. Niedługo cewki jego magnesów, z których każdy waży pięć tysięcy ton, zaczęły pobierać ogromne ilości prądu z tyratronowych konwertorów.

Półtora tysiąca kilometrów na zachód do największego na tej półkuli lotniska zbliżała się mgła. Teraz, kiedy samoloty mogły lądować za pomocą własnych radarów, nikt się nią za bardzo nie przejmował, ale zawsze przyjemniej jest coś widzieć. Wprowadzono więc do akcji gigantyczne urządzenia rozpraszające i niemal tysiąc megawatów wypro-mieniowało w noc, koagulując kropelki wody i wycinając szerokie pasy w zwałach mgły.

W elektrowni znowu podskoczyły wskazówki liczników i dyżurny inżynier musiał włączyć generatory rezerwowe. Pragnął, by jak najszybciej uruchomiono ten nowy zespół, i wówczas skończą się takie nerwowe godziny. Pomyślał, że z tym obciążeniem jeszcze sobie poradzi. Pół godziny później Biuro Meteorologiczne ogłosiło przez radio ostrzeżenie przed zbliżającym się mrozem, należało więc oczekiwać, że w ciągu sześćdziesięciu sekund zaczną działać milion grzejników elektrycznych. Wskazówki liczników nie zatrzymując się przekroczyły czerwoną kreskę.

Z potężnym trzaskiem wyskoczyły trzy ogromne bezpieczniki. Powstałe przy tym łuki zgasły pod wściekłym uderzeniem strumieni* helu. Trzy bezpieczniki zadziałały, ale czwarty zawiódł. Grube miedziane pręty powoli zabarwiały się na wiśniowo. Powietrze wypełniła gryząca woń palącej się izolacji, a roztopiony metal spadał ciężkimi kroplami na posadzkę, natychmiast krzepnąc na betonowych płytach. Odpadły końcówki linii zasilowej i przewody nagle obwisły. Rozbłysnęły i zgasły zielone łuki płonącej miedzi, gdy obwód został przerwany. Uwolnione końce ogromnych przewodów przeleciały kilka metrów, zanim uderzyły w leżące pod nimi urządzenia. W ułamku sekundy stopiły się na całej długości aż po nowy generator.

Najpotężniejsze moce, jakie udało się kiedykolwiek stworzyć człowiekowi, znalazły się w stanie wojny w uzwojeniu generatora. Prąd nie napotkał tam żadnego oporu, ale indukcyjność tych ogromnych zwojów opóźniła moment największego natężenia. Prąd rósł do maksimum w potężnym przypływie, trwającym kilka sekund. I właśnie w owej chwili Nelson dotarł do środka generatora.

Prąd stabilizował się, wściekle oscylując w coraz węższym zakresie. Jednak nigdy się nie ustalił, gdyż gdzieś zadziałały urządzenia przeciążeniowe i obwód, który nigdy nie powinien był powstać, został przerwany. W ostatnim przedśmiertnym spazmie, niemal równie silnym jak pierwszy, prąd szybko skonał. Było po wszystkim.

Kiedy włączyły się światła awaryjne, pomocnik Nelsona podszedł do otworu komory rotora. Nie wiedział, co się wydarzyło, ale musiało

to być coś poważnego. Chyba tam, piętnaście metrów niżej. Nelson też się nad tym zastanawia.

–Hej, Dick! – wykrzyknął. – Skończyłeś już? Sprawdźmy lepiej, co się stało.

Nie było żadnej odpowiedzi. Pochylił się nad ziejącym otworem i zajrzał. Bardzo słabe oświetlenie i ^ień rotora nie, pozwalały dostrzec dna. Początkowo komora wydawała się pusta, ale to niemożliwe – sam widział, jak Nelson wchodził tam kilka minut wcześniej. Zawołał jeszcze raz. ••• ', •.-'..'•'. ', •'!

–Hej, Dick! Nic ci się nie stało?

I znowu nie było żadnej odpowiedzi. Teraz już zaniepokojony, pomocnik zaczął schodzić po drabinie. Znajdował się w połowie drogi, gdy jakiś dziwny odgłos, jakby pękł balon, sprawił, że spojrzął przez ramię W dół. I wtedy dostrzegł Nelsona, który leżał w środku komory na pro-wiz.orycznej drewnianej pokrywie, osłaniającej wał turbiny! Nie poruszał ^ię1, a jego ciało było wygięte pod bardzo dziwnym k^tem.

Usłyszawszy otwierające się drzwi, naczelny fizyk. Ralph Hughes, podniósł wzrok znad swego zagraconego biurka. Po nocnych wydarzeniach wszystko powoli wracało do normy. Na szczęście awaria nie miała prawie żadnych skutków dla jego działu, gdyż generator pozostał nietknięty. Cieszył się, że nie jest naczelnym inżynierem – Murdock zapewne wciąż tonął w papierach. Myśl ta sprawiła mu sporą satysfakcję.

–Cześć, doktorze – powitał przybysza. – CQ cię tu sprowadza? Jak się czuje twój pacjent?^.

Doktor Sanderson krótko sknął głową.

–Za dzień, dwa wyjdzie ze szpitala. Właśnie o nim chciałem z tobą porozmawiać.,

–Nie znam tego faceta... Nigdy nie zbliżam się do nakładu, chyba że Zarząd prosi mnie o to na kłęczkach."Ostatecznie to. Murdock bierze pieniądze za. prowadzenie tego interesu.,

Sanderson uśmiechnął się.krzywo. Naczelny inżynier i młody błyskotliwy fizyk nie darzyli się sympatią. Mieli zbyt różne charaktery i rywalizowali ze sobą. co jest nie do uniknięcia w kontaktach mięćlzy specja-listą-teoretykiem u człowiekiem czynu.

–Uważam, że to twoje podwórko. W każdym razie nie moje. Słyszałeś, co się stało z Nelsonem?

–Był wewnątrz mojego nowego generatora, kiedy nagle pojawiła się tam napięcie, prawda?

•...

–Zgadza się. Jego pomocnik znalazł go w szoku po odcięciu dopływu prądu.

–A co ta był za szok? Mam nadzieję, że prąd go nie poraził, bo uzwojenie jest, oczywiście, izolowane. Tak czy inaczej, domyślam się, że znaleźli go w samym środku komory.

–To absolutna prawda. Nie wiemy, co się wydarzyło. Teraz już doszedł do siebie i wydaje się zupełnie normalny poza jedną rzeczą. Doktor zawahał się na moment, jakby uważnie dobierał słów.

–Mówże! Nie trzymaj mnie w niepewności!

–Odszedłem od Nelsona dopiero, gdy stwierdziłem, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo, ale po godzinie zadzwoniła przełożona pielęgniarek, że Nelson chce ze mną pilnie porozmawiać. Kiedy wróciłem do szpitala, siedział w łóżku i patrzył na gazetę z bardzo dziwnym wyrazem twarzy. Spytałem go, o co chodzi. Odparł: „Coś się ze mną stało, panie doktorze”. Powiedziałem więc: „Oczywiście, ale za parę dni pan stąd wyjdzie”. Pokręcił głową i zauważyłem w jego oczach niepokój. Podniósł gazetę i wskazując-na nią rzekł: „Nic nie mogę przeczytać”.

–Uznałem, że ma amnezję, i pomyślałem sobie: To ci dopiero kłopot! Ciekawe, czego jeszcze nie pamięta! Nelson zapewne wyczytał to z mojej twarzy, bo powiedział: „Ależ ja litery i słowa pamiętam... tylko że widzę je na odwrót! Chyba coś musiało się stać z moim wzrokiem”. Znowu podniósł gazetę do oczu. „To wygląda jak w lustrze” – rzekł. – Mogę panu przeliterować oddzielnie każde słowo. Mógłby mi pan podać lusterko? Chciałem coś sprawdzić”.

Podąłem. Przyłożył lusterko do gazety, spojrzął na jej odbicie i zaczął na głos czytać z normalną szybkością. Ale tego może nauczyć się każdy – zecerzy muszą to umieć, żeby składać czcionki –więc nie zrobiło to na mnie wrażenia. Z drugiej strony nie widziałem powodu, dla którego tak inteligentny facet jak Nelson chciałby czymś takim imponować. Postanowiłem zatem potraktować rzecz z humorem uważając^ że wskutek szoku coś mu się w głowie pokręciło. Byłem całkiem pewien, że cierpi na jakieś urojenia, choć wydawał się zupełnie normalny.

Po chwili odłożył gazetę i rzekł: „A więc, doktorze, co pan o tym sądzi?” Nie miałem pojęcia, co mu powiedzieć, aby go nie urazić, więc się wykręciłem i odparłem: „Myślę, że będę musiał przekazać pana doktorowi Humphriesowi, który jest psychologiem. To nie moja dziedzina”. Wówczas usłyszałem parę uwag o doktorze Humphriesie i jego testach na inteligencję, z czego domyśliłem się, że Nelson miał już z nim do czynienia.

–Zgadza się! – wtrącił Hughes. – Sekcja Psychologii ma'gluje

i

wszystkich kandydatów do pracy w tej firmie. Mimo wszystko to zdumiewające, kogo oni przepuszczają- dodał w zamyśleniu.

Doktor Sanderson uśmiechnął się i podjął przerwana opowieść.

–Wstawałem do wyjścia, gdy Nelson powiedział: „Och, byłbym za: pomniał. Spadłem chyba na prawe rękę; zdaje mi się, że mam paskudnie zwichnięty nadgarstek. „Obejrzymy go sobie ” – rzekłem pochylając się. „To nie ten” – zaprotestował Nelson i wyciągnął lewą rękę. Wciąż traktując go z humorem odparłem: „Niech i tak będzie, ale pan powiedział chyba prawą?” •

Nelson wyglądał na zaskoczonego. „Ó co chodzi?” -"zdziwił się. – „Przecież to moja prawa ręka. Może i mam coś dziwnego z oczami, ale to wiem na pewno. Noszę na niej obrączkę i nie mogę zdjąć tego draństwa od pięciu lat” .,

Zbaraniałem, bo, rozumiesz, on wyciągnął do mnie lewą i właśnie na niej miał obrączkę. Widziałem, że mówi prawdę: tę obrączkę trzeba by* przeciąć, żeby dała się zdjąć. Zapytałem więc: „Czy ma pan jakieś charakterystyczne blizny?” Odparł; „Nie przypominam sobie”-'. „A może jakieś plomby?” „Tak, parę by się znalazło” .

Siedzieliśmy patrząc na siebie w milczeniu, a tymczasem pielęgniarka poszła po kartę Nelsona. Patrzyliśmy na siebie, snując fantastyczne domysły, jak by napisano w powieści.' Zanin pielęgniarka wróciła, wpadłem na świetny pomysł. Był nieprawdopodobny, ale cała ta sprawa coraz bardziej przekraczała granice zdrowego rozsądku. Spytałem Nelsona, czy mógłbym zobaczyć zawartość jego' kieszeni. I oto, co mi wręczył. –

Doktor Sanderson wyjął garść monet i niewielki oprawiony w skórę kalendarzyk. Hughes natychmiast rozpoznał w nim „Kalendarzyk inżyniera elektryka” – miał taki sam w kieszeni. Wziął go od doktora i otworzył na chybił trafił, czując się trochę winny, jak każdy, kiedy wpadną mu w ręce czyjeś notatki, a szczególnie znajomego.'

A potem Ralph Hughes miał wrażenie, że świat się zachwiał w posadach. Dotychczas trochę obojętnie słuchał doktora Sandersona, zastanawiając się, po co ten cały szum. Teraz jednak miał w ręku niezaprze-, czalne do*wody, które urągały logice i wymagały skupienia.

Nie mógł bowiem odczytać ani jednego słowa z kalendarzyka Nelsona. Zarówno druk, jak i pismo były odwrócone, jakby odbite w lustrze.

Dr Hughes wstał z krzesła i kilkakrotnie szybkim krokiem okrążył pokój. Gość siedział, patrząc nań w milczeniu. Podczas czwartego okrążenia Hughes zatrzymał się przy oknie i spojrzął.na jezioro przecięte

ogromną białą ścianą zapory. Chyba widok ten go uspokoił, bo ponownie zwrócił się do doktora Sandersona.

–Chcesz, abym uwierzył, że lewa i prawa strona ciała Nelsona w jakiś sposób zamieniły się miejscami?.

–Nie chcę, żebyś w cokolwiek wierzył. Po prostu przedstawiam ci dowody. Jeżeli możesz wyciągnąć jakieś inne wnioski, z rozkoszą ich posłucham. Mogę tylko dodać, że obejrzałem sobie uzębienie Nelsona: wszystkie plomby przeniosły się na drugą stronę. Będę wdzięczny, jeśli mi to wytłumaczysz. Te monety są także bardzo interesujące. Hughes wziął je do ręki. Zobaczył wśród nich jednego z tych pięknych nowych szylingów, korony ze stopu berylowo-miedziowego, kilka pen-sówek-i półpensówkę. Przyjąłby je bez wahania, gdyby wydano mu nimi resztę. Nie bardziej spostrzegawczy od swego siedzącego obok gościa, nigdy nie zwrócił uwagi, w którą stronę zwrócony jest profil królowej na monecie. Lecz litery... Hughes wyobrażał sobie, jaką konsternację wzbudziłyby te monety w mennicy. Były tak samo odwrócone jak cały kalendarzyk.*

Z zadumy wyrwał go głos doktora Sandersona.

–Poprosiłem Nelsona, żeby nikomu o tym nie wspominał. Piszę na ten temat wyczerpujące sprawozdanie, które po opublikowaniu z pewnością wzbudzi sensację. Chcemy jednak wiedzieć, jak do tego doszło. Ponieważ jesteś projektantem nowego urządzenia, przyszedłem do ciebie po radę.

Dr Hughes wydawał się go nie słyszeć. Siedział za biurkiem z wyciągniętymi przed siebie rękami, stykając koniuszki małych palców. Po raz pierwszy w życiu zastanawiał się nad różnicą między prawą stroną a lewą.

Przez kilka dni doktor Sanderson nie wypuszczał Nelsona ze szpitala i w tym czasie dokładnie badał swojego szczególnego pacjenta, zbierając materiały do sprawozdania: Według tego, co udało mu się stwierdzić. Nelson był całkiem normalny, poza tą inwersją. Od nowa uczył się czytać i robił szybkie postępy, kiedy się oswoił z niezwykłą sytuacją.. Zapewne nigdy nie będzie używał narzędzi tak samo jak przed wypadkiem i do końca życia dla wszystkichr pozostanie leworęczny, co jednak w żaden sposób nie powinno mu przeszkadzać.

Sanderson przestał dociekać przyczyn stanu Nelsona. Prawie nie znał się na elektryczności – to dziedzina Hughesa. Był całkowicie przekonany, że fizyk znajdzie odpowiedź we właściwym czasie, co dotychczas zawsze mu się udawało. Spółka nie jest instytucją filantropijną i miała wystaf68

czające powody, by korzystać z jego usług. Nowy generator, który zostanie uruchomiony w ciągu tygodnia, to przecież jego dzieło, choć właściwie, tylko w niewielkim stopniu zajmował się szczegółami technicznymi.

Sam Hughes nie był pewien, czy znajdzie odpowiedź. Ogrom problemu przerażał go, ponieważ w przeciwieństwie do Sandersona zdawał sobie sprawę, że wchodzi tutaj w grę zupełnie nowe obszary nauki. Wiedział, że tylko w jeden sposób jakiś przedmiot może stać się swym lustrzanym odbiciem. Ale jak tu dowieść tak fantastycznej teorii?

Zebrał wszystkie dostępne informacje o błędzie, który spowodował, że w owym wielkim urządzeniu popłynął prąd. Obliczenia pozwoliły mu z grubsza określić wielkość prądu płynącego przez uzwojenie w ciągu tych kilku sekund. Ale to przypominało raczej zgadywanke; najlepiej byłoby powtórzyć doświadczenie i uzyskać dokładne dane. Murdock musiałby mieć zabawną minę, gdyby usłyszał jego pytanie: „Czy nie ma pan nic przeciwko temu, że wieczorem spowoduję całkowite spięcie na linii między generatorem pierwszym a dziesiątym?”. Nie, to zdecydowanie wykluczone.

Szczęśliwie miał jeszcze roboczy model urządzenia. Przeprowadzone na nim próby dały jakieś pojęcie o polu wytworzonym w centrum generatora, ale jego wielkości leżały w sferze domysłów. Musiały być ogromne. Uzwojenie wytrzymało tylko cudem. Prawie przez miesiąc Hughes zmagał się z obliczeniami i przemierzał te obszary fizyki atomu, które skrzętnie omijał od ukończenia uniwersytetu. Powstająca w jego umyśle teoria zaczęła powoli układać się w jedną całość. Choć miał jeszcze długo czekać na ostateczny dowód, jednak wyraźnie widział prowadzącą doń drogę. Za miesiąc dotrze do jej końca.

Tymczasem wielki generator, który pochłaniał jego myśli przez ostatni rok, wydawał mu się teraz błahy i mało ważny. Ledwie raczył przyjąć gratulacje od kolegów, kiedy urządzenie przeszło końcowe próby i zaczęło zaopatrywać sieć w miliony kilowatów. Koledzy zapewne sądzili, że nieco zdziwaczał, ale i tak zawsze uważali go za osobę trochę ekscentryczną. Tego właśnie od niego oczekiwano – spółka byłaby rozczarowana, gdyby oswojony przez nią geniusz pozbawiony był dziwactw.

Po dwóch tygodniach znów przyszedł doktor Sanderson, żeby się z nim zobaczyć. Był w grobowym nastroju.

–Nelson ponownie jest w szpitalu – oświadczył. – Myliłem się mówiąc, że nic mu nie będzie.

–Co mu jest? – spytał zaskoczony Hughes.

–Umiera z głodu! • ~.

–Umiera z głodu? Co, u diabła, chcesz przez to powiedzieć? Doktor Sanderson przysunął krzesło do biurka Hughesa i usiadł.

–Przez parę tygodni nie zwracałem ci głowy – rozpoczął – bo wiedziałem, że jesteś bardzo zajęty swoimi własnymi teoriami. Przez cały ten czas uważnie obserwowałem Nelsona i pisałem sprawozdanie. Początkowo, jak ci powiedziałem, wydawał się absolutnie normalny. Nie miałem wątpliwości, że wszystko dobrze się skończy.

Potem zauważyłem, że chudnie. Upłynął jakiś czas, póki nie nabrałem pewności. Później zaobserwowałem inne bardziej medyczne objawy. Zaczął skarżyć się na osłabienie i brak koncentracji. Wszystko wskazy-rwało na niedobór witamin. Podąłem mu specjalne koncentraty witaminowe, ale to nic nie pomogło. Przyszedłem więc tutaj, żeby znów "z tobą porozmawiać.

Z początku Hughes był zakłopotany, a potem się zirytował.

–Przecież, do cholery, to ty jesteś lekarzem!

–Tak, ale coś muszę mieć na poparcie moich domysłów. Jestem tylko nieznanym medykiem... nikt nie zechce mnie słuchać, a potem będzie za późno. Nelson naprawdę umiera, a ja sądzę, że wiem dlaczego...

Sir Robert początkowo sbę opierał, ale w końcu doktor Hughes, jak zawsze, postawił na swoim. Członkowie Zarządu wciąż jeszcze schodzili się do sali konferencyjnej, szemrząc i narzekając, że tak nagle zwołano nadzwyczajne posiedzenie plenarne. Ich zaniepokojenie znacznie wzrosło, kiedy usłyszeli, że będzie do nich» przemawiał Hughes. Wszyscy wiedzieli, kim jest fizyk i jaką' ma reputację, lecz on był uczonym, oni zaś ludźmi interesu. Co ma w zanadru sir Robert?

Doktor Hughes – przyczyna całego zamieszania – był zły na siebie, że odczuwa trewę. Członkowie zarządu nie mieli u niego najlepszej opinii, ale sir Roberta szanował, ich więc nie musiał się obawiać. Co prawda mogli go uważać za szaleńca, ale przemawiały za nim jego dotychczasowe osiągnięcia. Szalony czy nie, dla nich przedstawiał sobą wartość wielu tysięcy funtów szterlingów.

Doktor Sanderson uśmiechem dodał mu odwagi, kiedy wchodził do sali konferencyjnej. Uśmiech ten był trochę blady, ale pomógł. Sir Robert akurat kończył mówić. Uniósł okulary w swój charakterystyczny nerwowy sposób i chrząknął karcąco. Nie po raz pierwszy Hughes zastanawiał się, jak ów na. pozór nieśmiały człowiek panuje' nad tak ogromnym imperium gospodarczym,

–Pozwólcie, panowie, przedstawić sobie doktora Hugnesa. On wam

–sam... hm... wszystko wyjaśni. Prosiłem go, żeby nie wdawał się zbytnio w specjalistyczne szczegóły. Możecie mu przerwać, jeśli wzbije się w niedostępne rejony wyższej matematyki. Doktor Hughes...

Z początku powoli, a potem szybciej, kiedy zdobył zaufanie audytorium, fizyk zaczął snuć swoją opowieść. Przy kalendarzyku Nelsona obecnych aż zatkało z wrażenia, a odwrócone monety okazały się rzeczywiście fascynującymi osobliwościami. Hughes odczuwał satysfakcję widząc, że wzbudził zainteresowanie słuchaczy. Głęboko wciągnął powietrze i zrobił to, czego się tak obawiał,

–Panowie zapewne słyszeli, co się stało z Nelsonem, ale'to, co chcę wam powiedzieć, jest jeszcze bardziej zdumiewające. Proszę o chwilę skupienia.

Ze stołu konferencyjnego podniósł prostokątną kartkę papieru listowego, złożył ją po przekątnej i rozdarł wzdłuż zgięcia.

–Mamy oto dwa jednakowe trójkąty prostokątne. Kładę je na stole... o, tak.

Położył papierowe trójkąty obok siebie na stole w ten sposób, że stykały się przeciwprostokątnymi, tworząc figurę w kształcie latawca.

–Teraz, kiedy je tak ułożyłem, jeden trójkąt jest lustrzanym odbiciem drugiego. Można sobie wyobrazić, że płaszczyzna lustra przechodzi przez przeciwprostokątną. Chciałbym, żeby panowie zwrócili na to szczególną uwagę. Póki trójkąty leżą na płaszczyźnie stołu, mogę dowolnie je przesuwac, ale nigdy nie uda mi się ustawić ich tak, by dokładnie się pokrywały. Przypominają parę rękawiczek, które nie dają się zamienić, choć mają identyczne wymiary.

Przerwał, by dać słuchaczom czas na zrozumienie tego, co powiedział. Nie było żadnych uwag, mówił więc dalej.

–A teraz, kiedy podniosę jeden z trójkątów, odwrócę go w powietrzu i z powrotem*położę, trójkąty nie będą już swymi lustrzanymi odbiciami i staną się absolutnie identyczne... o, w ten sposób.

Zrobił, co zapowiedział.

–Wydaje się, że to bardzo proste, i w istocie tak jest. Ale pozwala nam zrozumieć jedną bardzo ważną rzecz. Leżące na stole trójkąty to przedmioty płaskie, a zatem dwuwymiarowe. Aby uczynić z nich lustrzane odbicia, musiałem jeden podnieść i odwrócić w trzecim wymiarze. Czy panowie rozumieją, do czego zmierzam?

Rozejrzał się wokół stołu. Jeden czy dwu dyrektorów powoli kiwało głowami, a na ich

twarzach świeciło zrozumienie.

–Podobnie dzieje się z bryłą, zatem ciałem trójwymiarowym, na

,71

przykład z człowiekiem. Jeżeli chcemy zamienić takie ciało w jego odpowiednik czy lustrzane odbicie! musimy je odwrócić w czwartym wymiarze... Powtarzam... w czwartym wymiarze.

" Zaległa pełna napięcia cisza. Ktoś kaszlnął, lecz nerwowo, nie zaś sceptycznie. i

–Geometria czterowymiarowa, jak panom wiadomo – bardzo by się zdziwił, gdyby wiedzieli – stała się jednym z głównych narzędzi matematyki jeszcze przed Einsteinem. Ale dotychczas była jedynie matematyczną-fikcją, która nie istniała w świecie fizycznym. Teraz okazuje się, że " prąd. ó jakim przedtem nikt nie słyszał, o natężeniu milionów amperów, który przez chwilę płynął w uzwojeniu naszego generatora, musiał na ułamek sekundy stworzyć jakieś przejście do czwartego wymiaru, przejście dostatecznie duże, by zmieścił się w nim człowiek.

Przeprowadziłem pewne obliczenia, z których wynika, że istotnie powstała..hiperprzestrzeń" o trzymetrowej krawędzi, a więc o objętości siedemdziesięciu metrów ośmiościennych - nie.sześciennych! Nelson znalazł się w-tej przestrzeni. Nagłe załamanie się pola. kiedy prąd przestał płynąć, spowodowało jej obrót i Nelson został odwrócony.

Muszę panów prosić o przyjęcie tej teorii, żadne inne wyjaśnienie bowiem nie znajduje potwierdzenia w faktach. Mam tutaj całą tę matematykę, gdyby panowie chcieli się z nią zapoznać.

Pomachał kartkami przed członkami Zarządu tak, żeby zauważyli imponujący szereg równań. Jak, zawsze poskutkowało. Najwyraźniej.stchórzyli. Jedynie sekretarz. McPherson ulepiony był z innej gliny. Miał wykształcenie półtechniczne r w dalszym ciągu czytywał sporo literatury popularnonaukowej, czym lubił się popisywać przy każdej sposobności. Odznaczał się jednak: inteligencją i pałał żądzą wiedzy. Często w god/inach pracy doktor Hughes dyskutował z nim o nowych teoriach naukowych.

–Mówi pan, że Nelson został odwrócony w czwartym wymiarze, ale z tego, co mi wiadomo," Einstein udowodnił, że czwarty wymiar to czas.

Hughes w duchu jęknął. Spodziewał się tej dywersji.. – Miałem na -myśli jeszcze.jeden wymiar przestrzeni – wyjaśnił cierpliwie. – Rozumiem przez to wymiar, albo kierunek,, prostopadły do naszych trzech normalnych wymiarów. Można go nazwać czwartym wymiarem. Zwykle uważamy, że przestrzeń jest trójwymiarowa, a czas zwyczajowo nazywa się czwartym wymiarem. Ale takie szufladkowanie jest.arbitralne. Ponieważ ja proponuję uznać, że przestrzeń ma'cztery wymiary, będziemy musieli czds nazwać piątym.

–Pięć wymiarów! Rany boskie!– wyrwało się komuś z końca stołu. Doktor Hughes nie mógł odmówić sobie przyjemności skorzystania z takiej okazji.

–W fizyce subatomowej często postuluje się wprowadzenie pojęcia „przestrzeni o kilku milionach wymiarów” – powiedział spokojnie.

Zaległa spowodowana oszołomieniem cisza. Nawet McPherson stracił ochotę do dyskusji.

–Teraz przejdę do drugiej części mojego wystąpienia – ciągnął doktor Hughes. – W kilka tygodni po inwersji Nelsona stwierdziliśmy, że dzieje się z nim coś niedobrego.. "Normalnie przyjmował pokarm, lecz zdawał się nie przyswajać go należycie. Wyjaśnienia dostarczył -nam doktor Sandersón i tutaj wkraczamy na teren chemii organicznej. Przepraszam, żevbędę mówił stylem podręcznikowym, ale wkrótce panowie się przekonają, jak- żywotne znaczenie ma to dla spółki. Może sprawi panom satysfakcję fakt, że nam wszystkim dziedzina ta jest w równym stopniu nie znana.

Nie było to całkowicie zgodne z prawdą, gdyż Hughes pamiętał jeszcze chemię fragmentarycznie. Ale powiedział tak, by dodać odwagi tym, co wszystko pozapominali. ' ',

–Związki organiczne zbudowane są z atomów węgla, tlenu i wodoru, połączonych z innymi pierwiastkami, i tworzą skomplikowane struktury przestrzenne. Chemicy lubią robić ich modele z drutu;i'kolorowej, pła-steliny. Są one często bardzo przyjemne dla oka i przypominają dzieła sztuki. •

Otóż może się zdarzyć, że dwa związki chemiczne o takiej samej liczbie atomów będą wzajemnie.w.obec siebie lustrzanymi odbiciami.1 Są to tak zwane'izomery przestrzenne, które bardzo powszechnie występują w cukrach. Porównując ich molekuly zauważymy, że rniają się do siebie'jak rękawiczki* z jednej pary. Toteż nazywają się izomerami prawo- i lewo-skretnymi. Mam nadzieję, że to zupełnie jasne.

Niepewnie rozejrzał się po twarzach słuchaczy. Chyba jednak zrozumieli.

–Izomery przestrzenne mają niemal tę same własności chemiczne- mówił dalej. – Istnieją między nimi jedna? pewne subtelne różrTice. Doktor Sandersón poinformował mnie, że w ciągu ostatnich kilku lat ustalono, iż własności niektórych podstawowych skfadniko\v odżywczych, łącznie, z nową klasą witamin odkrytyc/h przez profesora Yaridenburga, zależą od układu ich atomów w przestrzeni. Innymi słowy, panowie, lewoskretne związki, na przykład, mogą'być niezbędne dla życia, prawoskretne zaś mogą okazać się bez wartości. Dzieje się tak, mimo że mają ten sam wzór chemiczny.

Teraz panowie zdają sobie sprawę, dlaczego inwersja Nelsona ma o wiele poważniejsze konsekwencje, niż początkowo sądziliśmy. To nie tylko sprawa nauczania go od nowa sztuki

czytania – gdyby jedynie o to chodziło, przypadek ten można by uznać za banalny, poza jego filozoficznym aspektem. Nelson właściwie umiera z głodu wśród obfitości jedzenia, po prostu tylko dlatego, że nie przyswaja pewnych znajdujących się w pokarmie molekuł, tak jak nie sposób włożyć prawej stopy do lewego buta..

Doktor Sanderson przeprowadził pewien eksperyment, który potwierdził to przypuszczenie. Z ogromnymi trudnościami zdołał uzyskać izomery przestrzenne wielu wspomnianych witamin. Zsyntetyzował je sam profesor Yandenburg, dowiedziawszy się o naszych kłopotach. Izomery te wyraźnie poprawiły stan Nelsona.

Hughes przerwał i wyciągnął jakieś dokumenty. Postanowił dać Członkom zarządu trochę czasu na przygotowanie się do czekającego ich wstrząsu. Sytuacja ta byłaby bardzo zabawna, gdyby w grę nie wchodziło ludzkie życie. Zarząd miał otrzymać cios w najczulsze miejsce.

–Panowie zapewne zdają sobie sprawę, że Nelson' został, jeśli można to tak nazwać, poszkodowany w godzinach pracy, a więc spółka ma obowiązek pokrycia wszelkich kosztów, związanych z jego leczeniem. Wiemy już, jak można go wyleczyć. Przypuszczam, że dziwi panów, dlaczego zabrałem im tyle czasu, opowiadając o tym wszystkim. Przyczyna jest bardzo prosta: produkcja niezbędnych izomerów przestrzennych jest niemal tak trudna jak ekstrakcja radu... a w niektórych wypadkach nawet jeszcze trudniejsza. Doktor Sanderson poinformował mnie, że koszty utrzymania Nelsona przy życiu wyniosą około pięciu tysięcy funtów dziennie.

Na pół minuty zapadła cisza, a potem wszyscy zaczęli mówić jeden przez drugiego. Sir Robert uderzył w stół i wkrótce zapanował spokój. Zaczęła się narada wojenna. v

Trzy godziny później wyczerpany Hughes opuścił salę konferencyjną i udał się na poszukiwanie doktora Sandersona, którego znalazł zafrasowanego w jego gabinecie.

–No i co postanowili? – spytał lekarz.

–To, czego się najbardziej obawiałem. Chcą, żebym dokonał rein-wersji Nelsona.

–A potrafisz to zrobić?

–Szczerze mówiąc, nie wiem. Jedyne, co na pewno mogę zrobić, to tylko jak najdokładniej odtworzyć warunki, w których doszło do awarii. •

–Były jakieś inne propozycje?

–Sporo, ale przeważnie idiotyczne. Najlepszy pomysł miał McPherson: żeby wykorzystać generator do inwersji normalnej żywności, by Nelson mógł ją przyswajać. Musiałem więc zwrócić jego uwagę na fakt, że odstawienie takiego urządzenia i użycie do tego celu kosztowałyby kilka milionów rocznie i że tak czy inaczej uzwojenie wytrzymałoby zaledwie kilka takich operacji. No i propozycja ta upadła. Potem sir Robert chciał wiedzieć, czy mógłbyś zareczyć, że nie ma witamin: które być może przeoczyliśmy albo nie zostały jeszcze odkryte. Chodziło mu o to, że pomimo naszej syntetycznej żywności i tak nie będziemy mogli utrzymać Nelsona przy życiu..

–k co mu powiedziałaś? '

–Musiałem przyznać, że to możliwe. Tak więc sir Robert odbędzie rozmowę z Nelsonem. Ma nadzieję go przekonać, by podjął to ryzyko. Zaopiekują się jego rodziną, gdyby próba skończyła się niepowodzeniem.

Przez kilka chwil obaj milczeli. Pierwszy odezwał się doktor Sanderson.,

–Teraz chyba rozumiesz, jakie decyzje musi często podejmować chirurg – rzekł.

Hughes pokiwał głową., •

–Ładny gips, nie ma co. Absolutnie zdrowy człowiek, ale trzeba

, będzie wydawać miliony rocznie, żeby utrzymać go przy życiu, a i to nie

jest wcale takie pewne. Wiem, że zarząd myśli przede wszystkim o tym

swoim bezcennym bilansie, ale ja nie widzę żadnej alternatywy. Nelson

będzie musiał zaryzykować. (-

–Czy możesz najpierw przeprowadzić jakieś próby?

–Wykluczone: Wyjmowanie rotora to poważna operacja techniczna. Będziemy musieli przeprowadzić eksperyment naprędce w czasie najmniejszego poboru mocy, a potem szybko wstawimy rotor na miejsce i weźmiemy się do sprzątanego bałaganu po naszym sztucznie wywołanym krótkim spięciu. Wszystko to trzeba zakończyć przed szczytem. Biedny stary Murdock wścieka się jak diabli z tego powodu.

–Wcale mu się nie dziwię. Kiedy to się zacznie?

–Na pewno nie w najbliższych dniach. Jeśli nawet Nelson się zgodzi, muszę przygotować wszystkie swoje instrumenty,,

Nikt nigdy się nie dowie, co sir Robert powiedział Nelsonowi, w ciągu

tych godzin, które spędzili razem. Przygotowania prowadzone przez doktora Hughesa przekroczyły już półmetek, gdy zadzwonił telefon i w słuchawce zabrzmiał zmęczony głos Starego.

–Hughes? Proszę przygotować swoją aparaturę. Rozmawiałem z Murdockiem i ustaliliśmy, że eksperyment odbędzie się w nocy z wtorku na środę. Zdąży pan?

–.Tak, sir.

–Dobrze. Proszę mnie zatem informować o postępie przygotowań codziennie po południu, aż do wtorku. To wszystko.

W ogromnej hali przyciągał wzrok potężny walec rotora, wiszący na wysokości dziesięciu metrów nad błyszczącą podłogą z plastiku. Niewielka grupa ludzi w milczeniu czekała cierpliwie 'na skraju ciemnej komory. Płatanina przewodów biegła do aparatury doktora. Hughesa: uniwersalnych oscyloskopów, megawatomierzy i mikrochronometrów oraz do specjalnych przekaźników, które w odpowiedniej chwili miały zamknąć obwód,

To był największy problem. Doktor Hughes nie wiedział, kiedy go należy zamknąć: czy wówczas, gdy napięcie jest największe, czy przy jego wartości zerowej, a może w jakimś innym punkcie sinusoidy? Wybrał najprostsze, a zarazem najbezpieczniejsze rozwiązanie. Obwód zostanie zamknięty przy zerowym napięciu, a jego przerwanie będzie zależało od szybkości reakcji przełączników.

Za dziesięć minut rozpocznie się nocna przerwa w pracy dużych fabryk, zaopatrywanych w prąd przez tę elektrownię. Prognoza pogody była sprzyjająca – obciążenie sieci utrzyma się w normie do rana. Do tego czasu rotor musi wrócić na swoje miejsce, żeby generator na nowo podjął pracę. Na szczęście jego oryginalna konstrukcja ułatwiała demontaż, ale należało to robić dokładnie i nie było czasu do stracenia.

Kiedy wszedł Nelson W towarzystwie sir Roberta i doktora Sander-sona, był bardzo blady. Hughes pomyślał, że wygląda, jakby szedł na -ściecie. Myśl tę uznał jednak za cokolwiek niestosowną i pośpiesznie odsunął ją od siebie.

'- Miał jeszcze akurat tyle czasu, by po raz ostatni – całkiem zresztą niepotrzebnie – sprawdzić instrumenty. Kiedy skończył, usłyszał cichy głos sir Roberta:

–Jesteśmy gotowi, doktorze Hughes.

Hughes trochę niepewnie zbliżył się do komory. Nelson już tam wszedł i zgodnie z instrukcją stał dokładnie w samym środku z uniesioną w górę twarzą, która przypominała świecąca w dole białą plamę. Doktor

gestem dodał mu odwagi, a potem odwrócił się i przyłączył do grupki stojącej przy instrumentach. N

Włączył oscyloskop i energicznie pokręcił gałkami, póki nie uzyskał wyrównanego przebiegu fali głównej na ekranie. Potem dostroił fazy: dwa świecące punkty sunęły ku sobie wzdłuż fali, aż zlały się w jej środku geometrycznym. Rzucił krótkie spojrzenie na Murdocka, który z przejęciem wpatrywał się w megawatomierz. Inżynier skinął głową. Modląc się w duchu, Hughes przycisnął włącznik.

Przełącznik cichutko stuknął. W ułamek sekundy później, gdy trzasnęły potężne przewody w odległej o sto metrów rozdzielni, budynek jakby się zakolysał. Światła pociemniały i prawie zgasty. I już było po wszystkim. Niemal z szybkością eksplozji przełączniki wyrównały napięcie. Światła znowu pojaśniały, a wskazówki megawatomierzy wróciły do skali.

Doktor Hughes zdziwił się, gdy zobaczył, że sir Robert, mimo swych sześćdziesięciu lat, już był przy generatorze. Stał na skraju głębokiej komory, zaglądając do jej wnętrza. Fizyk z wolna ruszył w jego stronę. Nie śpieszył się, coraz bardziej ogarniały go bowiem złe przeczucia. W wyobraźni widział dziwnie pokręconego Nelsona, jak leży w środku komory i z wyrzutem patrzy na nich martwymi oczyma. Potem przyszła jeszcze okropniejsza myśl. A może pole zanikło zbyt wcześnie, zanim nastąpiła całkowita inwersja? Za chwilę dowie się najgorszego.

Największy wstrząs wywołują niespodzianki, gdyż umysł nie ma żadnych szans przygotowania obrony. Podchodząc do generatora, doktor Hughes był przygotowany prawie na wszystko. Prawie, ale niezupełnie...

Nie spodziewał się, że komora będzie absolutnie pusta.

Tego, co potem nastąpiło, nigdy nie mógł sobie dokładnie przypomnieć. Zdaje się, że Murdock przejął kierowanie operacją. Powstało ogromne zamieszanie, a później zaroilo się od mechaników na powrót montujących gigantyczny rotor. Skądś dobiegł go daleki głos sir Roberta, który wciąż powtarzał: „A tak się staraliśmy... a tak się staraliśmy”. Musiał chyba coś na to odpowiedzieć, ale wszystko było jakby za mgłą...

O szarej godzinie, tuż przed świtem, Hughes obudził się z niespokojnego snu. Przez całą noc męczyły go koszmary, pełne fantastycznych wizji wielowymiarowej geometrii przestrzennej. Śniły mu się jakieś dziwne światy o obłąkańczych kształtach, a także przecinające się płaszczyzny, wśród których szamotał się w ucieczce przed nie wiadomo czym. Widział we śnie Nelsona, jak zamknięty w pułapce owych nieprawdopodobnych wymiarów usiłuje się do niego dostać. Chwilami sam był Nelsonem

i w wyobraźni widział wszechświat znany tamtemu, dziwnie zniekształcony i oddzielony niewidzialnymi ścianami.

* Koszmary te znikły, kiedy z trudem uniósł się w łóżku. Przez chwilę siedział, trzymając się za głowę. Myślał coraz jaśniej. Wiedział, co się dzieje – nie po raz pierwszy, ni stąd, ni zowąd, wpadał nocą na właściwe rozwiązanie jakiegoś skomplikowanego problemu.

Brakowało mu tylko jednego elementu, żeby rozwiązanie, które przyszło mu do głowy, ułożyło się w jedną całość. Tylko jeden element... i nagle go znalazł. Opisując wypadek, pomocnik Nelsona coś powiedział. Wówczas wydawało się to błahostką, którą Hughes przypomniał sobie dopiero teraz.

–Kiedy zajrzałem do wnętrza generatora, zdawało mi się, że tam nikogo nie ma, więc zacząłem schodzić po drabinie...

Co za głupota! Stary McPherson miał jednak rację, przynajmniej częściowo!

Pole obróciło Nelsona w czwartym wymiarze przestrzeni, ale przy tym nastąpiło również przemieszczenie w czasie. Za pierwszym razem była to kwestia tylko kilku sekund, ale teraz warunki musiały być inne – pomimo wszystkich starań. Istniało tak wiele nieznanymi czynników, że doktor większość swych założeń oparł na domysłach.

Nelsona nie było wewnątrz generatora pod koniec eksperymentu. Ale byłby.

Hughes poczuł, że całe ciało oblewa mu zimny pot. Wyobraził sobie wirujący tysiąctonowy walec, obracany siłą pięćdziesięciu milionów koni mechanicznych. A gdyby tak nagle coś zmaterializowało się w przestrzeni, którą już zajmował...?

Hughes wyskoczył z łóżka i chwycił słuchawkę telefonu połączonego bezpośrednio z elektrownią. Nie ma czasu do stracenia – rotor musi być natychmiast usunięty. Niech tam się Murdock wścieka.

Nagle dom łagodnie się zakołysał i zatrzęsł w posadach niczym grzechotka w ręku śpiącego dziecka. Z-sufitu posypał się tynk, a ściany, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pokryła sieć pęknięć. Lampa zamigotała, rozbłysła nagle i zgasła;

Hughes odrzucił storę i spojrział na górę. U podnóża Mount Perrin nie zobaczył już elektrowni, ale widział, gdzie była: jej miejsce wyraźnie znaczył ogromny słup szczątków powoli wznoszących się ku niebu w bladym świetle poranka.

Przełożył Marek Cegiela

PASOŻYT

–Nic nie możesz dla mnie zrobić – rzekł Connolly. – Absolutnie nic. I nie musisz za mną łączyć.

Odwrócony tyłem do Pearsona, patrzył w dal'na błękitne wody, za którymi leżały Włochy. Po lewej stronie stała na kotwicy flotylla rybacka, a dalej zachodziło wspaniałe śródziemnomorskie słońce, oblewając czerwienią morze i ląd. Lecz nawet w najmniejszym stopniu żaden z mężczyzn nie zdawał sobie sprawy z otaczającego ich zewsząd piękna.

Pearson wstał, wyszedł z zacienionego ogródka małej kawiarenki i znalazł się w ukośnych promieniach słońca. Podszedł do Connolly'ego, który stał przy murku nad urwiskiem. Starał się do niego za bardzo nie zbliżyć, Connolly bowiem, choćby w najlepszym humorze, nie lubił być dotykany. A teraz, wskutek swej obsesji, cokolwiek ją spowodowało, stał się w dwójnasób drażliwy.

–Posłuchaj, Roy – nalegał Pearson.^- Przecież od dwudziestu lat jesteśmy przyjaciółmi i powinieneś wiedzieć, że tym razem cię nie zostawię. A poza tym...

–Wiem, obiecałeś Ruth.*

–A dlaczego miałbym nie obiecywać? Ostatecznie to twoja żona i ma prawo wiedzieć, co się stało.

Przerwał, uważnie dobierając słów..

–r Ona się martwi, Roy. Bardziej niż gdyby chodziło o jakąś kobietę.

Chciał dodać „znów”, ale się powstrzymał.

Connolly zdusił papierosa na niskim granitowym murku i cisnął niedopałek daleko w morze. Niewielki biały walec kręcił się w powietrzu i koziółkował, zanim wpadł do wody trzydzieści metrów niżej. Connolly zwrócił twarz do przyjaciela.

–Przykro mi, Jack- powiedział.

Wówczas Pearsonowi mignęła dobrze znana mu osoba, o której

wiedział, że tkwi gdzieś głęboko w tym obcym człowieku stojącym obok niego.

–Wiem, że pragniesz mi pomóc, i doceniam to. Ale nie chcę, żebyś za mną szedł. To tylko pogorszy sprawę.

–Przekonaj mnie, to sobie pójdę. ' Gonnolly westchnął.

–Nie mógłbym, cię bardziej przekonać niż tego psychiatrę, na którego mnie namówiłeś. Biedny Curtis! Miał tyle dobrych chęci. Przeproś go w moim imieniu, dobrze? \

–Nie. jestem psychiatrą i ż niczego nie próbuję cię wyleczyć... cokolwiek by to było. Jeśli chcesz postawić na swoim, wolna wola. Ale uważam, że powinniśmy wiedzieć, co się stało, żeby móc stosownie postępować., ' '

–I załatwić mi wariackie papiery?,

Pearson wzruszył ramionami. Zadawał sobie pytanie, czy Conrtolly przejrzał jego udawaną obojętność i domyśla się prawdziwego powodu, który tak skrętnie ukrywał. Teraz, kiedy już wszelkie próby zawiodły, ntó pozostawało mu nic innego, jak tylko machnąć na wszystko ręką.

–Nie to miałem, na myśli. Idzie o bardziej praktyczne sprawy. Chcesz tu pozostać na'zawsze? Nawet na Syrenę nie można żyć bez pieniędzy.,

–W willi CliffOrda Rawnsleya mogę przebywać tak długo, jak rni się tylko spodoba. Rozumiesz,, był przyjacielem mojego ojca. Teraz nie mieszka w niej nikt, poza służbą, a ona mi nie przeszkadza.

Connolly odwrócił się od murku, o który się opierał.

–Idę na wzgórze, zanim się ściemni – rzekł.

Słowa te wypowiedział oschłym tonem, jednak Pearson zrozumiał, że nie został-splawiony. Może "więc za nim iść,x jeśli chce; świadomość tego sprawiła mu'satisfakcję – po raz' pierwszy od momentu odnalezienia Cónnolly'ego. Było to drobne.zwycięstwo, ale bardzo mu potrzebne. t Maszerowali -pod górę w milczeniu; w istocie Pearsonowi ledwie by starczyło tchu na rozmowę. Connolly bowiem narzucił tak ostre tempo, jak gdyby świadomie chciał się zmęczyć. Pod nimi leżała wyspa: białe miasteczka w zaciemionych dolinach wyglądały niczym duchy, maleńkie łodzie rybackie po całodzienniej pracy były już w porcie. A wszystko otaczało ciemne morze.

Kiedy Pearson'dogonił przyjaciela, Connolly siedział przed kapliczką, którą pobożni wypiarze zbudowali w najwyższym punkcie Syrenę. Za dnia w miejscu tym przebywają juryści, fotografując się wzajemnie

i podziwiając szeroko reklamowane uroki' wyspy, lecz teraz było tu pusto. Connolly ciężko dyszał ze zmęczenia, ale twarz, miał spokojną i w tej chwili wyglądał, jakby nic go nie trapiło. Na moment zapomniał o kłopotach i uśmiechał się do Pearsona niemal tak zaraźliwie jak dawniej.

–On nie znosi wysiłku fizycznego, Jack. Wtedy zawsze znika.

–A co to za on? – spytał Pearson. – Nie zapominaj, za jeszcze nas nie przedstawiłeś.

Connolly uśmiechnął się na te próby żartów, a potem twarz mu nagle spochmurniała.

–Powiedz mi, Jack -^zaczął – czy ja mam wybujałą fantazję?

–Nie, całkiem przeciętną. Z pewnością ja mam więcej wyobraźni. Connolly wolno pokiwał głową- To prawda, Jack, będzie ci więc łatwiej mi uwierzyć. Widzisz, jestem pewien, że nigdy bym nie wymyślił tej istoty, co mnie prześladowa. On naprawdę istnieje. To nie żadne paranoiczne halucynacje, jak by to powiedział doktor Curtis.,> '.

–• Pamiętasz Maud White? To wszystko zaczęło się od niej. Poznałem ją na przyjęciu u Davida Treseotta, jakieś sześć, tygodni temu. Akurat pokłóciłem się z Ruth i miałem już tego' dość. Oboje byliśmy nieźle wstawieni, a ponieważ ja zostałem wmieście, pojechaliśmy do mnie.

Pearson uśmiechnął się w duchu. Biedny Roy! Zawsze to samo – chociaż najwyraźniej nie zdaje sobie, z tego sprawy. Każda przygoda była dla niego mną – ale wyłącznie dla niego. Wieczny Don Juan, ciągle szukający, stale rozczarowany, bo to, czego pragnie, można znaleźć tylko w kołysce lub w grobie; nigdy między nimi. •

–Przypuszczam, że będziesz się śmiał z tego, co mnie tak wykończyło... banalna sprawa, ale wystraszyłem się jak jeszcze nigdy w żyd u. Najzwyczajniej podszedłem do barku, żeby przygotować drinki, co robiłem ze sto razy. Dopiero kiedy podałem szklankę Maud, zorientowałem się, że napełniłem trzy. Zrobiłem to ta^k naturalnie, że w pierwszej chwili nie zdałem sobie z tego sprawy. Potem niespokojnie rozejrzałem się po pokoju w poszukiwaniu tej trzeciej osoby... ale już wtedy miałem jakąś dziwną pewność, że tam jej nie ma. No i oczywiście nie było. W ogóle nigdzie jej nie było w świecie zewnętrznym... kryła się w głębi mojego umysłu.,.

Wieczór był bardzo cichy, tylko z jakiejś kafejki w miasteczku u stóp wzgórza unosiła się w niebo cienka strużka muzyki. Światło wschodzącego księżyca połyskiwało na powierzchni morza; w górze rysowała się w ciemności sylwetka krzyża. Na horyzoncie jaśniała gwiazda przewodniczka Wenus, podążająca za słońcem na zachód;

Pearson czekał, nie ponaglaając Connolly'ego, który wyrażał się jasno i* sensownie, choć opowiadana przezeń historia była dziwna. W świetle księżyca jego twarz wyglądała na całkiem spokojną, choć mógł to być spokój, który niesie ze sobą pogodzenie się z porażką.

–Z tego, co stało się potem, pamiętam tylko«że ocknąłem się w łóżku, a Maud "wycierała mi twarz gąbką. Porządnie się wystraszyła: straciłem przytomność i padając paskudnie rozciąłem sobie czoło. Dokoła było mnóstwo krwi, ale to głupstwo. Najbardziej przerażała mnie myśl, że zwariowałem. Teraz, kiedy znacznie bardziej przeraża mnie fakt, że jestem zdrow na umyśle, może się to wydawać zabawne.

–Gdy odzyskałem przytomność, był on i od tego czasu jest ciągle. Udało mi się jakoś pozbyć Maud... nie bez trudności... i próbowałem dociec, co się stało. Powiedz mi, Jack, czy wierzysz w telepatię?

Nagle pytanie zaskoczyło Pearsona.

–Jakoś nigdy szczególnie się nad tym nie zastanawiałem, ^le to co mówisz, brzmi raczej przekonywająco. Chcesz powiedzieć, że ktoś czyta w twoich myślach?

. – - To byłoby zbyt proste. Opowiadam ci o rzeczach, które odkrywałem bardzo powoli... zwykle podczas snu albo kiedy byłem lekko wstawiony. Możesz powiedzieć, że to pozbawia dowody wszelkiej wartości, ale ja tak nie uważam. Początkowo tylko w ten sposób mogłem pokonać barierę dzielącą mnie od Omegi... później ci powiem, dlaczego tak go nazwałem. Lecz teraz nie ma żadnych przeszkód: wiem, że przez cały czas jest i czeka, aż zmyli moją czujność. W dzień i w nocy, na trzeźwo i po pijanemu, mam świadomość jego obecności. W takich chwilach jak ta jest spokojny i obserwuje mnie kątem oka. Mam tylko nadzieję, że zmęczy go to czekanie i pójdzie sobie szukać jakiejś innej ofiary.

Głos Connolly'ego, dotychczas spokojny, nagle omal się nie załamał.

–Spróbuj sobie wyobrazić, jak straszne jest takie odkrycie, kiedy dowiadujesz się, że cokolwiek robisz, wszystkie myśli czy pragnienia, jakie przemkną ci przez głowę, dzielisz z kimś innym, kto to wszystko obserwuje. Oczywiście dla mnie oznaczało to koniec normalnego życia. Musiałem opuścić Ruth i nawet nie mogłem jej powiedzieć dlaczego. Na domiar złego Maud urządziła sobie na mnie polowanie. Nie dawała mi spokoju, bombardując listami i telefonami. To było piekło. Nie mogłem walczyć z obiema, więc uciekłem. Myślałem, że na Syrenę, jak nigdzie indziej, on się czymś zainteresuje i da mi spokój.

–Teraz rozumiem – powiedział cicho Pearson. – A więc o to mu

idzie. Taki telepatyczny podglądacz... już nie wystarcza mu samo przypatrywanie się...

–Widzę, że nabijasz się ze mnie – rzekł Connolly bez urazy. – Nie mam nic przeciwko temu; jak zwykle bardzo ładnie to podsumowałeś. Upłynęło sporo czasu, nim zdałem sobie sprawę, na czym polega jego gra. Kiedy minął pierwszy szok, próbowałem logicznie przeanalizować sytuację. Przemyslałem sobie wszystko od pierwszej chwili, gdy tylko to zauważyłem, i ostatecznie doszedłem do wniosku, że to nie była nagła inwazja mojego umysłu. On tam tkwił od lat, tak dobrze ukryty, że nawet się tego nie domyślałem. Wiem, że będziesz się z tego śmiał, tak dobrze mnie znając, ale nigdy nie czułem się całkiem swobodnie w towarzystwie kobiety, nawet wówczas, gdy się z nią kochałem-, i teraz rozumiem dlaczego. Omega był zawsze obecny – dzielił moje uczucia, rozkoszował się tym, czego nie mógł przeżyć w swoim ciele.

Jedyne, co mi pozostało, żeby nie stracić jpanowania nad, sytuacją, to przeciwstawić się, wziąć się z nim za bary i zrozumieć, kim on jest. I w końcu mi się udało. Jest, bardzo daleko stąd i jego władza musi mreć jakieś granice. Do pierwszego kontaktu chyba doszło przypadkowo, chociaż nie jestem pewien.

I tak już trudno ci uwierzyć, Jack, w to, co powiedziałem dotychczas, ale to nic w porównaniu z tym, co teraz usłyszysz. Tylko pamiętaj... sam przyznałeś, że nie jestem człowiekiem obdarzonym szczególną wyobraźnią, i zobaczmy, czy coś tu zakwestionujesz w tej historii.

Nie wiem, czy kiedykolwiek czytałeś o istnieniu dowodów na niezależność telepatii od czasu. Ja wiem, że tak jest. Omega nie istnieje w naszych czasach, on jest gdzieś w przyszłości, niezmiernie daleko przed nami. Przez jakiś czas myślałem, że musi być jednym z ostatnich ludzi... dlatego nadałem mu to imię. Teraz nie jestem tego pewien; może żyje w czasach, w których istnieje wiele różnych odmian człowieka, rozproszonych po całym wszechświecie... niektóre jeszcze się rozwijają, inne chylą ku upadkowi. Jego nacja, gdziekolwiek i kiedykolwiek istnieje, osiągnęła szczyt, z które-go spadła na samo dno, niżej od zwierząt. W nim czuje się jakieś zło, Jack... prawdziwe zło, z jakim większość z nas nigdy w życiu się nie styka. Czasami jednak prawie mi go żal, ponieważ wiem, co go takim uczyniło.

Czy kiedykolwiek się zastanawiałeś, Jack, co będą robili ludzie, gdy nauka już wszystko odkryje, kiedy wszystkie planety zostaną zbadane i wszystkie gwiazdy ujawnią swe tajemnice? Jedną z odpowiedzi Jest Omega. Mam nadzieję, że nie jedyną, gdyż wówczas wszelkie nasze dążenia

byłyby daremne. Wydaje mi się, że on i jego rasa to rodzaj odizolowanego raka we wciąż zdrowym wszechświecie, ale nie jestem tego pewien.

Rozbałamucili swe ciała do tego stopnia, że stały się bezużyteczne, a zbyt późno odkryli swój błąd. Może uważali, jak niektórzy, że do życia wystarcza sam intelekt. A. może są nieśmiertelni, co musi być dla nich prawdziwym przekleństwem. Ich umysły przez wieki ulegały korozji w tych słabowitych ciałach, szukając ucieczki od nieznośnej nudy. W końcu im się to udało w jedyny dostępny dla nich sposób: poprzez sięganie umysłem wstecz., do jakichś wcześniejszych, bardziej męskich czasów, aż stali się pasożytami żerującymi na cudzych emocjach.

Ciekawe, ilu ich jest. Być może są wyjaśnieniem wszystkich znanych przypadków opętania. Jakże gwałtownie musieli grzebać w przeszłości, by zaspokoić swój głód! Wyobrażasz sobie, jak krążą niczym wrohy nad rozkładającym się Cesarstwem Rzymskim, walcząc o umysły Nerona, Kaliguli i Tyberiusza? Chyba Omedze nie udało się dostać tych lepszych kąsków. A może nie miał zbyt wielkiego wyboru i musiał zadowolić się pierwszym lepszym umysłem, z którym mógł wejść w kontakt w jakimkolwiek stuleciu, z perspektywą przeniesienia się do następnego przy pierwszej okazji.

Do tego wszystkiego dochodziłem oczywiście bardzo powoli. Moim zdaniem on odczuwa dodatkową przyjemność wiedząc, że zdaje sobie sprawę z jego obecności. Uważam, że celowo mi pomaga, ze swej strony pokonując dzielącą nas barierę, gdyż w końcu go zobaczyłem.

Connolly przerwał. Pearson rozejrzał się i spostrzegł, że nie są już sami na szczycie wzgórza. Jakaś młoda para, trzymając się za ręce, szła drogą prowadzącą do krzyża. Oboje odznaczali się tą tanią urodą, tak powszechną wśród wyspiarzy. Najwyraźniej zapomnieli, że jest noc i że ktoś może ich zobaczyć, przeszli bowiem obok, na nic nie zwracając uwagi. Z gorzkim uśmiechem na ustach Connolly patrzył za odchodzącymi.

–Chyba powinienem si[^] wstydić, bo przed chwilą pragnąłem, żeby dał mi spokój i zajął się tym chłopcem. Ale on tego nie zrobi; chpciaż odmówiłem dalszego udziału w jego grze, on pozostał, by zobaczyć, co się wydarzy.

–Właśnie miałeś zamiar opisać mi jego wygląd – rzekł Pearson, zły, że im przerwano.

Nim odpowiedział, Connolly zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

–Czy wyobrażasz sobie pokój bez ścian? On jest czymś w rodzaju pustej jajowatej przestrzeni... otoczonej błękitną mgiełką, która wydaje się nieustannie skręcać i obracać, lecz nigdy nie zmienia swej pozycji.

Nie ma wejścia ani wyjścia... ani też ciężenia, chyba że nauczył się pokonywać, bo on unosi się otoczony kołem krótkich żłobkowanych cylindrów, które z wolna obracają się w powietrzu. Myślę, że to jakieś urządzenia posłuszne jego woli. Pewnego razu obok niego wisiał duży owal, z którego wystawały kształtne ręce, idealnie podobne do ludzkich. Mógł to być tylko robot, lecz wydawało się, że ręce i palce żyją. Karmiły go i masowały, obchodząc się z nim jak z niemowlęciem. To było okropne...

Widziałeś kiedyś lemura albo wyraka upiora? On coś takiego przypomina... jakąś koszmarną trawestację człowieka o wielkich złośliwych oczach. A co dziwniejsze... wbrew naszym wyobrażeniom o dalszej ewolucji... pokrywa go cienkie futerko, niebieskie jak pokój, w którym żyje. Za każdym razem, gdy go widzę, jest ciągle w tej samej pozycji, skulony jak śpiące dziecko. Myślę, że jego nogi uległy całkowitemu zanikowi; ręce chyba też. Tylko mózg wciąż zachowuje aktywność i poluje na coraz to nowe ofiary w różnych czasach. '

Teraz już wiesz, dlaczego ani ty nie możesz nic zrobić, ani nikt inny. Twoi psychiatrzy mogliby mnie leczyć, gdybym miał chory umysł, ale nauki, która poradziłaby sobie z Omegą, jeszcze nie wymyślono.

Connolly przerwał i uśmiechnął się krzywo.

–Ponieważ nie zwariowałem, zdaję sobie sprawę, że nie mogę oczekiwać od ciebie, abyś mi wierzył. Tak więc nie mamy wspólnej płaszczyzny porozumienia.

Pearson wstał, z głazu, na którym siedział, i lekko zadrżał. Robiło się coraz chłodniej, lecz chłód nocy był niczym w porównaniu z poczuciem bezradności, które w nim narastało, w miarę jak Connolly snuł swoją opowieść.

–Będę szczery, Roy – zaczął powoli. – Oczywiście że ci nie wierzę. Ale dopóki ty sam wierzysz w Omegę, dopóty on jest dla ciebie rzeczywistością. Uznaję go jako takiego i pomogę ci z nim walczyć.

–To może być niebezpieczna gray^kąd mamy wiedzieć, co robi, jeśli zostanie przyparty do muru? ^? ^

–Zaryzykuję – odparł Pearson, rusi|\$.r\ v dół z boczem wzgórze; za nim bez oporu podążył Connolly. – Co tymczasem zamierzasz zrobić?

–Odpoczywać, unikać wrażeń, a przede wszystkim trzymać się z dala od kobiet... Ruth, Maud i całej reszty. To będzie najtrudniejsze. Niełatwo zerwać z tym, co się robiło przez całe życie/

–W to mogę uwierzyć – odpowiedział Pearson z lekką oschłym tonem. – A dotychczas jak ci się udawało?

–Doskonale. Widzisz, on sam sobie szkodzi. Jego pragnienie

sprawia, że na myśl o seksie czuję do siebie obrzydzenie i zbiera mi się na -wymioty. Mój Boże, i pomyśleć, że eale życie naśmiewałem się ze świętoszków, a teraz jestem jednym z nich.

W nagłym przebłysku intuicji Pearsonowi przyszło do głowy, że w tym tkwi wyjaśnienie. Nigdy by w to nie uwierzył, ale na Connollym zemściła się jego przeszłość. Omega nie jest niczym więcej niż tylko wyrzutem sumienia, uosobieniem winy. Kiedy Connolly to zrozumie, skończą się halucynacje. Jeśli zaś idzie o ich wyjątkowo.realistyczny charakter, jest to jeszcze jeden przykład figlów, jakie płała człowiekowi jego własny umysł, gdy próbuje sam siebie oszukać. Musi być jakiś powód, że obsesja przybrała właśnie taką formę, ale' to nie ma większego znaczenia.

Pearson wyjaśniał to Connolly'emu w miarę szczegółowo w drodze do miasteczka. Ten słuchał tak cierpliwie, aż Pearson odniósł nieprzyjemne wrażenie, że t<? jego nie traktują poważnie, zawziął się jednak i powiedział wszystko do końca. Kiedy umilkł, Connolly zaśmiał się posępnie.

–Twoja historia jest równie logiczna jak moja, ale żaden z nas nie może przekonać drugiego. Jeśli ty. masz słuszność, to z czasem może wrócić do „normalności". Ja nie mogę obalić takiej możliwości, ja po prostu w nią nie wierzę. Nie. wyobrażasz" sobie, jak rzeczywisty jest dla mnie Omega. Bardziej rzeczywisty niż ty: gdy zamknę oczy, to ciebie nie ma, a on jest. Chciałbym wiedzieć, na co czeka! Zrezygnowałem z mojego dawnego trybu życia i. nie wrócę do niego, póki będzie on – i on dobrze o tym wie: Na co więc liczy pozostając?, –

Spojrzał na Pearsona rozgorączkowanym wzrokiem.

–I właśnie to mnie przeraża na dobre, Jack. On musi znać moją przyszłość... całe moje życie musi być dla niego otwartą książką, do której może zajrzeć, kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota. Muszę więc mieć przed sobą jeszcze jakieś przeżycie, którym on chce się delektować. Czasami... czasami się zastanawiam, czy-przypadkiem nie czeka na moją śmierć.

Szli teraz między domami na skraju miasteczka- właśnie zaczynało się nocne życie Syrenę. Kiedyjuż nie byli sami, w zachowaniu Conno-lly'ego zaszła pewna zmiana. Na szczycie wzgórza, jeśli nawet nie był całkiem normalny, to przynajmniej odnosił się do przyjaciela życzliwie i zdradzał gotowość do rozmowy. Teraz, na widok szczęśliwych i beztroskich tłumów, jakby zamknął się w sobie. Pozostał w tyle za Pearsonem i wkrótce się zatrzymał.

–r-. Co się stało?" -^ spytał Pearson. – Myślałem, że zjemy razem kolację w hotelu?

Connolly pokręcił głową.

–Nie mogę T- odparł. – Za dużo tam ludzi.

Uwaga taka zdumiewała w ustach człowieka, który uwielbiał towarzystwo i przyjęcia. Świadczyła również najdobitniej, że bardzo się zmienił. Zanim Pearson zdążył pomyśleć o stosownej odpowiedzi, Connolly odwrócił się na pięcie i zniknął w bocznej uliczce. Urażony i zły, Pearson ruszył jego śladem, ale po chwili uznał to za bezcelowe.

Tego wieczora wysłał długi uspokajający telegram do Ruth. Potem, zmęczony, poszedł spać. –

Przez godzinę nie mógł jednak zasnąć. Był wyczerpany fizycznie, lecz jego mózg pozostał nadal aktywny. Leżąc obserwował sunącą po ścianie plamkę światła księżyca – odmierzała upływ czasu tak samo nieubłagane jak w odległej przyszłości, którą na krótko ujrział Connolly. Oczywiście, to czysta fantazja, jednak Pearson, wbrew swej woli, coraz bardziej uznawał Omegę za realnie istniejące niebezpieczeństwo. W pewnym sensie Omega był rzeczywisty – równie rzeczywisty jak podświadomość i jaźń.

Pearson zastanawiał się, czy Connolly jest na tyle rozsądny[^] by wrócić na Syrenę. W chwilach kryzysów emocjonalnych – przeżył ich wiele, choć żaden z nich nie był tak poważny jak ten – Connolly zawsze reagował jednakowo. Wracał na tę cudowną wyspę, gdzie jego uroczy, nieodpowiedzialni rodzice dali mu życie i gdzie spędził młodość. Pearson bardzo dobrze wiedział, że szuka teraz ukojenia, jakiego zaznał tylko w jednym okresie swego życia i"jaki na próżno starał się znaleźć w ramionach Ruth i tylu innych kobiet, które nie umiały mu się oprzeć.

Pearson nie próbował krytykować swego nieszczęsnego przyjaciela. Nigdy nikogo nie sądził – po prostu obserwował wnikliwym okiem ze współczującym zainteresowaniem, które trudno uznać za tolerancję, gdyż tolerancja zakłada łagodzenie norm, a tych nigdy nie miał...

Po nie przespanej nocy'Pearson w końcu zapadł w sen tak głęboki, że obudził się b godzinę później niż zwykle. Śniadanie zjadł w pokoju, potem zszedł do recepcji, by sprawdzić, czy.nie nadeszła odpowiedź od Ruth. W nocy ktoś przyjechał: w kącie holu stały dwie torby podróżne, niewątpliwie angielskie, czekając na tragarza. Pearson mimochodem spojrział na wizytówki, by zobaczyć, jak się nazywa jego rodak.. Zesztywniał, niespokojnie rozejrzał się dokoła i pośpieszył do recepcjonisty.

–Kiedy przyjechała ta Angielka? – spytał nerwowo.

–Przed godziną, signor, rannym statkiem.

–Czy w tej chwili jest w hotelu? Recepcjonista zawahał się.

–Nie, signor – odparł niechętnie. – Bardzo się spieszyła i tylko zapytała mnie, gdzie mogłaby znaleźć pana Connolly'ego. Więc jej powiedziałem. Chyba to nic złego?

Pearson zmełł w ustach przekleństwo. Co za nieprawdopodobny pech! Nigdy by nie przypuszczał, że należało się przed tym zabezpieczyć. Maud White była bardziej zdeterminowana, niż dał mu do zrozumienia Connolly. W jakiś sposób odkryła, dokąd, umknął, kierując się ambicją czy też pragnieniem albo i jednym, i drugim, przyjechała tutaj za nim. Fakt, że trafiła akurat do tego hotelu, nie dziwił – z reguły zatrzymywali się tu Anglicy przyjeżdżający na Syrenę.

Wspinając się drogą prowadzącą do willi Rawnśleya, Pearson walczył z rpsnącym przeświadczeniem, że wszystko jest próżne i bezcelowe. Nic miał pojęcia, co powinien zrobić, kiedy zastanie Connolly'ego z Maud. Pod wpływem jakiegoś niejasnego impulsu czuł po prostu, że jest potrzebny. Jeżeli uda mu się dogonić Maud, zanim dotrze do willi, to może ją przekona, że Connolly jest człowiekiem chorym, a jej wtrącanie się jedynie mu zaszkodzi. Ale czy to prawda? Niewykluczone, że już nastąpiło wzruszające pojednanie i żadne z nich nie pragnie jego widoku.

Kiedy Pearson przeszedł przez bramę i zatrzymał się dla nabrania tchu, rozmawiali ze sobą na wspaniałym trawniku przed domem. Connolly siedział pod palmą na ławce z kutego żelaza, Maud zaś chodziła w tę i z powrotem o parę kroków od niego. Mówiła coś bardzo szybko; Pearson nie mógł rozróżnić słów, lecz z tonu jej głosu wynikało, że najwyraźniej błaga Connolly'ego, 'Powstała kłopotliwa sytuacja. Pearson ciągle jeszcze się zastanawiał, czy iść dalej, gdy Connolly podniósł wzrok i natychmiast go zauważył. Twarz jego była całkowicie obojętną maską; nie wyrażała ani radości ani urazy.,.

Kiedy Maud gwałtownie się odwróciła, by zobaczyć, kim jest intruz, Pearson po raz pierwszy przez krótką chwilę widział jej twarz. Rozpacz i gniew tak zniekształciły rysy tej niewątpliwie pięknej kobiety, że wyglądała jak postać z greckiej tragedii. Była rozgoryczona, ponieważ ją wzgardzono, a przy tym cierpiała katusze nie wiedząc, dlaczego tak się stało...

Nadejście Pearsona musiało podziałać na jej długo powstrzymywane uczucia jak zapalnik. Raptownie odwróciła się do Connolly'ego, który wciąż patrzył na nią tępym wzrokiem. Przez chwilę Pearson nie zdawał sobie sprawy, co chciała zrobić, a potem wykrzyknął przerażony:

–. Uważaj, Roy!

Connolly skoczył ku Maud ze zdumiewającą szybkością, jakby nagle

obudził się z transu, chwycił ją za nadgarstek L po krótkiej walce zaczął się cofać, jak urzeczony wpatrując się w przedmiot', który miał w dłoni. Kobieta stała bez ruchu, sparaliżowana strachem i wstydem, przyciskając pięści do ust.

W prawej ręce Connolly trzymał pistolet i pieśczośliwie gładził go lewą. Z piersi Maud wyrwał się cichy jęk.

–Chciałam cię tylko przestraszyć, Roy' Przysięgam!

–W porządku. Jtochame – odparł półgłosem Connolly. – Wier/ę ci. Nie ma się czym przejmować.

Mówił zupełnie normalnym głosem. Spojrzał na Pearsona i posłał mu swój dawny chłopięcy uśmiech.

–On właśnie na to czekał, Jack – powiedział. – Nie sprawię mu zawodu.

–Nie! – wysapał pobladły z przerażenia Pearson. – Na miłość boską, Róy, nie rób tego!,

Lecz do Connolly'ego nie docierały błagania przyjaciela, kiedy unosił pistolet ku skroni. W tej samej chwili Pearson już wiedział z przeraźliwą jasnością.^że Omega naprawdę istnieje i będzie szukał nowej ofiary.

Nie zauważył błysku słabego wystrzału ani go riie usłyszał. Świat, który znał, zniknął mu z oczu, a w jego miejsce pojawiła się drgająca, choć nieustępliwa błękitna mgielka. Z jej wnętrza wpatrywało się weń – jak w tylu innych przedtem – dwoje ogromnych oczu bez powiek. Na chwilę błysnęło w nich spełnienie, ale tylko na chwilę.

Przełożył Marek Cegiela

KŁOPOTY Z TUBYLCAMI

Latający spodek opadał pionowo przez chmury, zawisł jakieś piętnaście metrów nad ziemią i osiadł z potężnym wstrząsem na wrzosowisku.

–Co za fatalne lądowanie – powiedział kapitan Wyxtpthll.

Oczywiście nie użył dokładnie tych słów. Dla ludzkiego ucha jego uwaga zabrzmiałaby jak gdakanie wścieklej kury. Pierwszy pilot Krtclugg odwinął swe trzy macki z przyrządów sterowniczych, rozprostował wszystkie cztery nogi i z przyjemnością się odprężył. '

–Nie moja wina, że znów nawaliła automatyka – mruknął. – Ale czego można wymagać od

statku, który powinien iść na złom pięć tysięcy lat temu? Jeśli skapstwo tych Urzędasów na Planecie-Bazie...

–Dobra, dobra! Wylądowaliśmy cało, a to i tak więcej, niż oczekiwałem. Powiedz Crysteelowi i Danstorowi, żeby tu przyszli. Chcę zamienić z nimi parę słów, zanim odejdą.

Bardzo wyraźnie było widać, że Crysteel i Danstor należeli do innego gatunku niż reszta załogi. Mieli jedynie po parze nóg i rąk, brakowało im oczu z tyłu głowy, a pozostałych braków fizycznych ich koledzy starali się nie zauważać.-Niedostatki te jednakże kwalifikowały ich do/wypełnienia tej szczególnej misji, wymagali bowiem tylko nieznaczących zabiegów maskujących, aby uchodzić za ludzi, chyba żeby dokładnie ich zbadano.

–A więc jesteście zupełnie pewni, że zrozumieliście instrukcje? – spytał kapitan.

–Oczywiście – odparł Crysteel z lekką urażony. – Nie po raz pierwszy mamy do czynienia z prymitywną rasą. Moje przygotowanie antropologiczne...

–W porządku. A język?

–No, cóż, to sprawa Danstora, ale ja też mówię całkiem płynnie. To bardzo prosty język, a poza tym przez parę lat studiowaliśmy ich programy radiowe.

–Macie jeszcze coś przed odejściem?

–Eee... tylko jedno. – Crysteel trochę się zawahał.– Z ich audycji wynika, że mają bardzo prymitywny ustrój społeczny, a powszechnym zjawiskiem są przestępstwa i bezprawie. Wielu bogatych obywateli musi korzystać z usług tak zwanych „detektywów” czy „specjalnych agentów”, by chronić swe życie i mienie. Choć wiemy, że to wbrew regulaminowi, ale czy moglibyśmy...- No, co?! '

–Otóż poczujemy się bezpiecznie, jeżeli będziemy- mogli zabrać ze sobą parę dezintegratorów trzeciej generacji. '

–Nigdy w życiu! Stanąłbym przed sądem wojskowym, gdyby dowiedzieli się o tym w Bazie. Przypuśćmy, że zabijecie paru tubylców; i od razu mam na karku Biuro Polityki Międzygwiazdnej, Radę Ochrony Autochtonów i pół tuzina innych instytucji.

–Będą takie same kłopoty, jeśli oni zabiją nas – stwierdził z przekonaniem Crysteel. – Ostatecznie ty odpowiadasz za nasze bezpieczeństwo. Pamiętasz tę sztukę w radio, o Której ci mówiłem? Opisywała typowy dom,^a w ciągu pół godziny dokonano tam dwóch morderstw!

–No, już dobrze. Weźcie, ale tylko drugiej generacji... nie chcemy; żebyście narobili zbyt dużo szkód, gdyby wynikły jakieś kłopoty.

–Wielkie dzięki! Kamień spadł mi z serca. Jak ustalono, będę się meldował co, trzydzieści minut. To potrwa tylko parę godzin.

Kapitan Wyxtpthll patrzył, jak znikali za grzbietem wzgórza. Westchnął głęboko.

–Dlaczego – rzekł – ze wszystkich na pokładzie musieli to być właśnie ci dwaj?..

–Nie było na to rady – odparł pilot. – Wszystkie te prymitywne rasy przeraża wszelka odmienność. Gdyby zobaczyli nas, wybuchłaby powszechna panika i zańimbyśmy się zorientowali, zasypaliby na bombami. Nie należy się z tym śpieszyć.

Kapitan Wyxtpthll machinalnie splótł swe macki w kocią kołyskę, tak jak to robił, kiedy miał jakieś zmartwienie.

–Oczywiście – powiedział -jeżeli nie wrócą, zawsze mogę uciec i zameldować, że ta planeta jest niebezpieczna.

Wyraźnie się.rozchmurzył. _• '

–Tak, to oszczędziłoby mnóstwa kłopotów – dodał.

**–I miałyby pójść na marne te wszystkie miesiące, które spędziliśmy na badaniach tej planety?
– spytał zgorszony pilot. •**

–Nie poszłyby na marne – odparł kapitan rozplatając macki z taką

szybkością, że żadne ludzkie oko nie mogło nadążyć za tym ruchem. – Nasz raport przydałby się następnemu statkowi badawczemu. Proponuję, żeby kolejną wizytę złożyć za... mmm... powiedzmy pięć tysięcy lat. Do tego czasu ta planeta może się ucywilizuje... choć, szczerze mówiąc, wątpię.

Samuel Higginsbotham zabierał się właśnie do przekąski złożonej z sera i wina owocowego, kiedy spostrzegł nadchodzące drogą dwie postacie. Otarł usta wierzchem dłoni, ostrożnie postawił butelkę obok narzędzi do strzyżenia żywo włosów i nieco zdziwiony patrzył na zbliżającą się parę.

–Ndobry – zagadnął pogodnie między kęsami sera.

Obcy przystanęli. Jeden z nich ukradkiem kartkował jakąś książeczkę, która, gdyby tylko Sam o tym wiedział, była pełna takich zwykłych zwrotów i wyrażeń, jak: „Zanim odczytam prognozę pogody, podaję ostrzeżenie przed silnym wiatrem”, „Ręce do góry – mam cię na muszce!” „Wzywa się wszystkie radiowozy!”. Danstor, który nie musiał korzystać z takich pomocy, odpowiedział natychmiast.

–Witaj, mój dobry człowiejcu - rzekł swym najlepszym akcentem z BBC. – Czy możesz nam wskazać drogę do najbliższej osady, wsi, miasteczka albo innej cywilizowanej miejscowości?

–Hę? – mruknął Sam.

Przyglądał się obcym podejrzliwie i dopiero teraz zauważył, że byli bardzo dziwnie ubrani. Niejasno zdał sobie sprawę, że zazwyczaj nie wkłada się golfa do garnituru w prążki, jaki noszą dżentelmeni z miasta. A ten facet, który wciąż jeszcze grzebał w swej książeczce, miał na sobie właściwie kompletny strój wieczorowy, który byłby beż zarzutu, gdyby nie tragiczny czerwono-zielony krawat, nabijane ćwiekami buty i sukienna czapka. Crysteel i Danstór starali się, jak mogli, lecz zbyt często oglądali teatr telewizji. Jeżeli weźmie się pod uwagę fakt, że nie mieli innego źródła informacji, odchylenia w ich ubiorze stają się co najmniej zrozumiałe.

Sam poskrobał się w głowę. • Zagraniczniki – pomyślał. – Nawet miastowi tak się nie odstrajają.

Pokazał im drogę i udzielił szczegółowych wskazówek gwarą, z której osoby nie mieszkające w zasięgu zachodniej rozgłośni lokalnej BBC rozumiałyby zaledwie co trzecie słowo. Znacznie mniej zrozumieli Crysteel i Danstor, których ojczysta planeta znajdowała się tak daleko, że

pierwsze sygnały wysyłane przez Marconiego chyba jeszcze do niej nie dotarły. Udało im się jednak pojąć ogólny sens informacji Sama i odeszli we właściwym kierunku, zastanawiając się, czy ich znajomość angielskiego jest rzeczywiście tak dobra, jak sądzą.

Tak oto zaczął się i skończył pierwszy kontakt ludzkości z istotami z kosmosu.

–On chyba by nam nie wystarczył – rzekł zamyślony Danstor, lecz bez większego przekonania. Ale to by nam oszczędziło mnóstwa kłopotów.

–Obawiam się, że nie. Sądząc po jego ubiorze i rodzaju pracy, którą najwyraźniej się, zajmował, nie jest zbyt inteligentnym czy wartościowym obywatelem. Nawet wątpię, czy zrozumiał, kim jesteśmy.

–Jest następny! – powiedział Danstor wskazując przed siebie.

–Nie rób gwałtownych ruchów, bo się spłoszy. Idź normalnym krokiem i niech on odezwie się pierwszy.

Człowiek ten szedł zdecydowanie w ich stronę, lecz nie okazał im najmniejszego zainteresowania i zanim się ocknęli, zniknął już w oddali. No i popatrz!

–Nie szkodzi – odparł filozoficznie Crysteel. – Prawdopodobnie i tak nie mielibyśmy z niego pożytku.

–Ate co za maniery!

Z niejakim oburzeniem patrzył za oddalającym się profesorem Fitz-simmonsem, który w swym najstarszym stroju wycieczkowym zniknął w perspektywie drogi, pochłonięty jakimś trudnym problemem teorii atomowej. Po raz pierwszy Crysteel zaczął się obawiać, że wbrew jego optymistycznym oczekiwaniom nawiązanie kontaktu może okazać się niezbyt proste.

Little Milton było typowym angielskim miasteczkiem, leżącym u podnóża wzgórz, których wyższe szczyty kryły teraz jak niezwykłą tajemnicę. Tego letniego poranka tylko niewielu mieszkańców krążyło po miasteczku, mężczyźni bowiem byli już w pracy, kobiety zaś sprzątały, strudzone wyprawianiem swych panów i władców." Crysteel i Danstor dotarli więc niemal do środka miasteczka, zanim napotkali pierwszą osobę, którą okazał się miejscowy listonosz, wracający rowerem na pocztę po skończonym objeździe. Był w bardzo kiepskim humorze, gdyż musiał dostarczyć pocztówkę za jednego ^ensa Dogsonowi na farmę położoną o kilka kilometrów od jego normalnej trasy. Poza tym paczka z brudną bielizną, którą co tydzień Gunner Evans wysyłał do domu swej wciąż zakochanej w synku matce, ważyła więcej niż zwykle, czemu nie należy się dziwić, jako że zawierała cztery skradzione z kuchni puszki wołowiny.

–Przepraszam – powiedział grzecznie Danstor.

–Bardzo się śpieszę- – odparł listonosz, nie będący w nastroju do przypadkowych rozmów. – Mam jeszcze jedną rundę. A potem zniknął.

–To naprawdę przekracza wszelkie granice? – zaprotestował Danstor. – Czy oni wszyscy są tacy?

–Musisz po prostu być cierpliwy – rzekł Crysteel. – Nie zapominaj, że ich obyczaje są zupełnie inne niż nasze. Może upłynąć trochę czasu, zanim zdobędziemy ich zaufanie. Miewałem już podobne kłopoty z prymitywnymi rasami. Każdy antropolog musi-do tego przywyknąć.

–Hm – mruknął Danstor. – Proponuję, żebyśmy weszli do jakiegoś domu. Wówczas nie będą mogli uciec.

–No... dobrze – z powątpiewaniem zgodził się Crysteel. – Trzeba tylko uważać, żeby nie trafić na jakąś świątynię, bo będziemy mieli kłopoty.

Nawet najbardziej niedoświadczonemu badaczowi trudno byłoby uznać za taki obiekt dom starej wdowy Tomkins, ufundowany jej przez gminę. Starszą panią ogarnęło przyjemne podniecenie na widok dwóch dżentelmenów stojących u progu i w. ogóle nie zauważyła nic dziwnego w ich ubiorze. Oczyma duszy widziała już jakiś niespodziewany spadek ^Ibo dziennikarzy dopytujących się ojej setne urodziny (w rzeczywistości miała zaledwie dziewięćdziesiąt pięć lat, ale udało jej się to zataić). Zdjęła ze ściany tabliczkę wiszącą przy drzwiach i radośnie w'yszła na powitanie gości...

- Będą panowie musieli wszystko napisać – wdzięczyła się wyciągając tabliczkę. – W zeszłym roku minęło dwadzieścia lat, jak jestem głucha. '.."•

Crysteel i DanstG^f popatrzyli na siebie, z przerażeniem. To była całkiem nieoczekiwana przeszkoda, jedyne bowiem pisane litery, z jakimi kiedykolwiek się zetknęli, znali z reklam telewizyjnych, a tych nigdy nie udało im się do końca odcyfrować. Lecz Dansttfr, który miał prawie fotograficzną pamięć, stanął na wysokości zadania. Niezgrabnie trzymając w palcach kredę, pisał zdanie, które według jego nie pozbawionych podstaw 'przypuszczeń było powszechnie używane przy tego rodzaju przerwach w łączności.

Kiedy jej 'tajemniczy goście ze smutkiem odeszli, zawiedziona pani Tomkins wpatrywała się z zakłopotaniem w tabliczkę. Upłynęło trochę czasu, nim odczytała wypisane na niej słowa – Danstor zrobił kilka błędów – ale nawet wówczas nie była o wiele mądrzejsza. •

**PSZEPRASZAMY ZA ÓSTERKI – ZA
HWILĘ DALSZY CIĄK PROGRAMU.**

Było to wszystko, na co Danstor mógł się zdobyć, lecz staruszka nigdy tego nie zgłębiła.

W następnym domu mieli nieco więcej szczęścia. Otworzyła im jakaś młoda kobieta, której słownik składał się głównie z chichotów i która w końcu po prostu wybuchnęła śmiechem, zatrzasując im drzwi przed nosem. Słyszając jej stłumiony histeryczny śmiech, zaczęli z przerażeniem podejrzewać, że ich przebranie, wbrew oczekiwaniom, niezbyt skutecznie udaje strój normalnych istot ludzkich.

Pod numerem 3 natomiast pani Smith mówiła bardzo chętnie – z szybkością stu dwudziestu słów na minutę, i to gwarą tak samo niezrozumiałą jak język Higginsbdtharna. Danstor przeprosił ją, gdy tylko dała mu dojść do słowa, i ruszyli dalej.

–Czy nikt nie mówi tu tym samym językiem, co w radio? – lamentował. – Jak mogą zrozumieć własne audycje, jeśli wszyscy tak mówią?

–Chyba wylądowaliśmy w złym miejscu – rzekł Crysteel.

Nawet jego zaczął opuszczać optymizm. Opuścił go prawie zupełnie, kiedy w krótkim czasie omyłkowo wzięto go kolejno za ankietera Instytutu Gallupa, kandydata Partii Konserwatywnej w zbliżających się, wyborach, komiwojażera sprzedającego odkurzacze i czarnorynkowego kombinatora.

Przy szóstej czy siódmej, próbie skończyły się panie domu. Drzwi otworzył chudy jak tyka wyrośnięty młodzian o niezgrabnych ruchach, ściskający w wilgotnej łapie przedmiot, który natychmiast zahipnotyzował gości. Było to jakieś czasopismo z ogromną rakieta na okładce, startującą z usianej kraterami planety, która z pewnością nie była Ziemią. Na tym tle widniał napis: „Oszalamiające historie pseudonaukowe. Cena 25 centów”. Crysteel popatrzył na Danstora, jałc gdyby chciał zapytać „Czy widzisz to samo, co ja?”, a tamten odpowiedział mu identycznym spojrzeniem. Nareszcie znaleźli kogoś, kto zapewne ich zrozumie. Podniesiony na duchu Danstor przemówił do młodzieńca.

–Sądzę, że możesz nam pomóc – powiedział uprzejmie. – Tutaj nikt nas nie rozumie. Widzisz, właśnie przybyliśmy z kosmosu, wylądowaliśmy na tej planecie i pragniemy skontaktować się z waszym rządem.

–Aha – odparł Jimmy Williams, który jeszcze nie całkiem zdążył wrócić na Ziemię po namiastkach przygód między zewnętrznymi księżycami Saturna. – A gdzie jest wasz statek?

-Tam, wśród wzgórz, nie chcieliśmy nikogo przestraszyć.

-Czy to rakietą?

–Skądże znowu. Od tysięcy lat rakiety są przestarzałe. •

--No to jak się porusza? Używacie napędu atomowego?

–Chyba tak – rzekł Danstor, który był bardzo słaby z fizyki. – A czy są inne rodzaje napędu?

–W ten sposób do niczego nie dojdziemy – odezwał się Crysteel, przynajmniej raz zniecierpliwiony. – To my musimy zadawać mu pytania. Spróbuj dowiedzieć się, gdzie są jakieś osoby oficjalne, z którymi moglibyśmy się spotkać.

Nim Danstor. zdążył odpowiedzieć, w, głębi domu usłyszeli jakiś stentorowy głos..

–Jimmy! Kto to!

–Dwaj... ludzie – odparł Jimmy z lekkim wahaniem, – r- Przynajmniej wyglądają na ludzi. Są z Marsa. Zawsze mówiłem, że muszą kiedyś przylecieć.

Dało się słyszeć ciężkie stąpanie i z mroku wyłoniła się dama o kształtach słonia i / groźną miną. Rzuciła obcym wściekle spojrzenie, popatrzyła na pismo w ręku JimmyVgo i podsumowała sytuację.

–Powinniście się wstydzić! – wykrzyknęła atakując Crysteela i Danstora. – Nie dość, że mam w domu syna nicponia, który traci czas na czytanie tych bzdur, to jeszcze mi przychodzą tu dorośli faceci nabijając mu głowę nowymi głupstwami. Ludzie z Marsa, patrzcie ich! Na pewno przylecieliście latającym spodkiem!.

–Ale ja nawet nie wspomniałem o Marsie – nrefjownie zaprotestował Danstor. '◁"•

. Trzasnęły drzwi. Dochodziły zza nich odgłosy gwałtownej sprzeczki, nieomylny dźwięk dartego papieru i bolesne pojękiwania. I to było wszystko..•'•.-'•.

–No i co teraz? – odezwał się w końcu Danstor. – A w ogóle, dlaczego ona powiedziała, że przylecieliśmy z Marsa? To nawet nie jest najbliższa planeta, jeśli dobrze pamiętam.

–Nie wiem – odparł Crysteel. – Choć moim zdaniem to zupełnie normalne, że uważają nas za przybyszów z jakiejś pobliskiej planety. To będzie dla nich szok. jak^się dowiedzą prawdy. Ale z Marsa? Też coś! Według'raportów, które widziałem, tam jest nawet gorzej,niz tutaj.

Wyraźnie zaczynał tracić swój naukowy obiektywizm.

–Na razie flajmy sobie spokój z domami – rzekł Danstor. – Na dworze też: muszą być jacyś ludzie.

Słowa te wkrótce się sprawdziły, nie odeszli bowiem zbyt daleko.

kiedy otoczyła ich grupka małych chłopców, którzy robili jakieś niezro-zumiałe^choć najwyraźniej obraźliwe uwagi.

–Czy nie powinniśmy zjednać ich sobie podarkami? – spytał z niepokojem Danstor. – To zazwyczaj skutkuje w wypadku ras opóźnionych w rozwoju.

–Może. A zabrałeś jakieś podarki?

–Nie. Myślałem, że ty...

Nim skończył, ich dręczyciele rozpierzchli się i zniknęli w bocznej uliczce. Drogą nadchodziła majestatyczna postać w granatowym mundurze.

Crysteelowi zabłysły oczy.

–Policjant! – rzekł. – Prawdopodobnie prowadzi śledztwo w sprawie jakiegoś morderstwa. Ale chyba poświęci nam chwilę – dodał prawie bez nadziei.

Posterunkowy Hinks przyjrzał się obcym z niejakim zdziwieniem, lecz udało mu się ukryć to wrażenie, gdyż głos jego zabrzmiał normalnie.

–Dzień dobry. Czy panowie czegoś szukają?

–Prawdę mówiąc tak – odparł Danstor najbardziej przyjaznym i uspokajającym tonem, na jaki mógł się zdobyć. – Może pan będzie w stanie nam pomóc. Widzi pan, właśnie wylądowaliśmy na tej planecie i chcemy skontaktować się z władzami.

–Hę? – zdziwił się zaskoczony Hinks.

Nastąpiła długa przerwa, chociaż nie nazbyt długa, gdyż Hinks, jako bystry młody człowiek, nie miał zamiaru pozostać posterunkowym do końca życia.

–A więc dopiero co wylądowaliście, tak? Statkiem kosmicznym, jak sądzę?».

–Tak jest – rzekł Danstor z ogromną ulgą, jego oświadczenie bowiem nie spotkało się z niedowierzaniem ani nawet z gwałtowną reakcją, jaką często wywoływało na co bardziej prymitywnych planetach.

–Proszę, proszę! – powiedział posterunkowy Hinks tonem, który miał wzbudzić zaufanie i sympatię. (Nawet nie chodziło o to, że mogą okazać się agresywni – wyglądali na dość słabych).
– Proszę mi tylko powiedzieć, czego panowie sobie życzą, i zobaczymy, co się da zrobić.

–Jakże się cieszę – rzekł Danstor. – Widzi pan, wylądowaliśmy w tym dość ustronnym miejscu,

ponieważ nie chcieliśmy wywoływać paniki. Najlepiej będzie, jeśli o naszej obecności dowie się jak najmniej ludzi, póki nie skontaktujemy się z waszym rządem.

–Doskonale panów rozumiem – odpowiedział posterunkowy'

7 – Gwiazda 97

Hinks, rozglądając się nerwowo w poszukiwaniu osoby, która mogłaby zawiadomić o wszystkim sierżanta. – A zatem, co panowie proponują?

–Obawiam się, że nie mogę mówić o nas/ej długofalowej polityce wobec Ziemi – ostrożnie rzekł Danstor. – Mogę jedynie powiedzieć, że prowadzimy badania w tym rejonie wszechświata i że ma on wszelkie dane, aby się rozwinąć, u my możemy wam pomóc w wielu dziedzinach.

–To bardzo pięknie z waszej strony – skwapliwie skwitował t«"» Hinks. – Myślę, że najlepiej panowie zrobią idąc ze mną do komisariatu, skąd będziemy mogli połączyć się z premierem.

–Bardzo panu dziękujemy – powiedział pełen wdzięczności Danstor.

Z ufnością szli obok posterunkowego Hinksa, który jednak wolał trzymać się nieco z tyłu, aż dotarli do miejscowego komisariatu.

–Proszę tędy, panowie – rzekł.Hinks, uprzejmie wprowadzając ich do pokoju raczej słabo oświetlonego i całkiem skromnie umeblowanego, nawet jak na warunki, których mogli się spodziewać. Nim /dążyli się zorientować, gdzie są, trzasnął zamek i stwierdzili, że od przewodnika dzielą ich duże drzwi z żelaznych prętów.

–Nic martwcie się – uspokajał ich posterunkowy Hinks. – Ws/y-stko będzie dobrze. Zaraz wracam.

Crysteel i Danstor patrzyli na siebie wzrokiem pełnym domysłów, które szybko przerodziły się w strasliwą pewność.

–Jesteśmy zamknięci!

–: To areszt!

–No i co teraz zrobimy?

–Nie wiem, czy koledzy znają angielski – odezwał się w mroku jakiś senny głos – ale dalibyście człowiekowi spokojnie się wyspać.

Dopiero teraz dwaj aresztanci spostrzegli, że nie są sami. W kącie celi na pryczy leżał młody człowiek w oplakany stanie, lypiąc na nich z urazą kaprawym okiem.

–O, Boż«! – powiedział zaniepokojony Danstor. – Czy sądzisz, że on jest niebezpiecznym

kryminalistą?

–W tej chwili nie wygląda na niebezpiecznego – odparł Crysteel. nie domyślając się nawet, jak trafna była jego ocena.

–Za co was zamknęli? – spytał obcy, siadając niepewnie. – Wyglądacie, jakbyście wyszli z balu kostiumowego. O, moja biedna głowa! Ponownie zwafił się na prycze.

–Dziwne, że zamyka się kogoś tak chorego! – odezwał się Danstor, który miał dobre serce, a dalej mówił już po angielsku. – Nie wiem.

dlaczego się tutaj znaleźliśmy. Po prostu powiedziałem policjantowi, kim jesteśmy f skąd przybywamy, no i proszę, co się stało.

–A kim jesteście?

–Właśnie wylądowaliśmy...

–Och, nie ma sensu znowu o tym opowiadać – przerwał mu Crysteel. – I tak nikt nam nigdy nie uwierzy.

–Hej! – wtrącił się obcy, na powrót siadając. – Co to za język, którego używacie? Znam kilka, ale takiego jeszcze nie'słyszałem.

–A niech tam – rzekł Crysteel do Danstora. – Możesz mu powiedzieć. Tak czy owak, nie mamy-nic innego do roboty, póki ten policjant nie wróci.

W tym czasie posterunkowy Hinks zdążył już połączyć się z 1 miejscowym szpitalem psychiatrycznym i odbywał poważną rozmowę z ordynatorem, który z uporem twierdził, że nie brak mu ani jednego pacjenta. Obiecał jednak, że jeszcze raz wszystko dokładnie sprawdzi i później zadzwoni.

Zastanawiając się, czy ta cała sprawa to nie jakiś kawał, posterunkowy Hinks odłożył słuchawkę i cichutko wrócił w pobliże celi. Trzej uresztunci zdawali się prowadzić przyjacielską pogawędkę, więc niepostrzeżenie odszedł na palcach. Bardzo dobrze im zrobi, jeśli trochę ochłoną. Przetarł delikatnie oczy, przypomniawszy sobie, jaką walkę musiał stoczyć nad ranem, żeby wsadzić cło celi Grahama.

Młody człowiek był już w miarę trzeźwy po całonocnym świętowaniu, którego „w najmniejszym stopniu nie żałował. Mimo wszystko jest co oblewać, jeśli ktoś dostaje dyplom / wyróżnieniem*, podczas gdy spodziewał się, że ledwo zda egzaminy. Zaczął się jednak obawiać, że wciąż jest pod wpływem alkoholu, kiedy nie licząc na zrozumienie, Danstor opowiedział mu swoją historię.

W tej sytuacji Graham uznał, że w miarę możliwości należy zachowywać się rzeczowo, póki halucynacje same nie ustąpią.

–Jeśli naprawdę macie statek kosmiczny na wzgórzach – zauważył – z pewnością możecie się z nim skontaktować i poprosić kogoś, żeby was wyratował.

–Chcemy sobie poradzić z tym sami – odparł z godnością Crysteel. – A poza tym nie zna pan naszego kapitana.

Graham pomyślał, że brzmi to bardzo przekonująco. Ta cała historia najwyraźniej trzyma

się kupy. A jednak...

–Trochę trudno mi uwierzyć, że potraficie budować statki międzygwiazdne, a nie możecie się wydostać / nędznego prowincjonalnego komisariatu.

Danstor spojrział na Crysteela, który w zakłopotaniu przestępował z nogi na nogę.

–Bardzo łatwo moglibyśmy się stąd wydostać – powiedział antropolog. – Nie chcemy jednak używać drastycznych środków, o ile to nie jest absolutnie konieczne. Nie ma pan pojęcia, jakie to pociąga za sobą kłopoty, a do tego jeszcze te szczegółowe raporty, które dodatkowo musielibyśmy pisać. Poza tym^gdybyśmy się stąd wydostali, to przypuszczam, że wasza lotna brygada schwyta nas, zanim zdążymy powrócić na statek.

–Nie w Little Milton – roześmiał się Graham. – Szczególnie jeśli szczęśliwie dotrzemy do baru, „Pod Białym Sercem” po drugiej stronie ulicy. Mam tam samochód.

–Ach, tak – rzekł Danstor, w którego wstąpił nowy duch.

Odwrócił się do swego towarzysza i zaczął z nim, żywo dyskutować. Następnie z wewnętrznej kieszeni bardzo ostrożnie wyjął niewielki czarny walec; obchodził się z nim jak nerwowa stara panna, która po raz pierwszy w życiu trzyma w ręku naładowany pistolet. Równocześnie Crysteel dość pośpiesznie wycofał się do przeciwległego kąta celi.

I w tej samej chwili Graham był już absolutnie pewien, że jest całkiem trzeźwy i że historia, którą usłyszał, nie mija się z prawdą.

Nie było słyhać żadnych nieprzyjemnych dźwięków, nie błysnął żaden snop iskier elektrycznych czy kolorowych promieni -. po prostu kawałek grubej na metr ściany bezszelestnie zamienił się w piasek, który utworzył niewielki kopczyk. Do celi wpadł strumień światła słonecznego i Danstor z głębokim westchnieniem ulgi schował swą tajemniczą broń.

–No, szybciej – przynaglał Grahama. – Czekamy na pana.

Nikt ich nie ścigał, gdyż posterunkowy Hinks wciąż tłumaczył coś przez telefon i miało upłynąć jeszcze kilka minut, zanim ten bystry młody człowiek powróci do cel, gdzie spotka go największy wstrząs w jego karierze. W barze „Pod Białym Sercem” nikt się szczególnie nie zdziwił ponownie widząc Grahama – wszyscy wiedzieli, gdzie i jak spędził noc, i wyrażali nadzieję, że miejscowa ława przysięgłych potraktuje go łagodnie, kiedy stanie przed sądem.

Z bardzo złymi przeczuciami Crysteel i Danstor gramolili się na tylne siedzenie okropnie rozklekotanego bentleya, którego Graham nazywał pieszczotliwie Różyczką. Ale pod przerdzewiałą maską bentley miał dobry silnik i wkrótce dało się słyszeć jego wycie, kiedy opuszczali Little Milton pędząc dziewięćdziesiątką. Jazda samochodem dostarczyła niezbitego

dowodu na to, jak względna jest szybkość; Crysteel i Danstor, którzy przez ostatnie kilka lat podróżowali w kosmosie z prędkością paru milionów kilometrów na sekundę, jeszcze nigdy w życiu tak się nie bali'. Kiedy Crysteel trochę się uspokoił, wyjął mały przenośny nadajnik i wezwał statek. v '

–Wracamy – powiedział przekrzykując szum wiatru. – Mamy ze sobą dość inteligentnego człowieka. Możecie się nas spodziewać... uup!... przepraszam... właśnie* przejechaliśmy most... za jakieś dziesięć minut. Jak było? Nie, oczywiście, że nie. Nie mieliśmy najmniejszych kłopotów. Wszystko poszło idealnie gładko. Do widzenia.

Graham obejrzał się tylko raz, żeby zobaczyć, jak się jedzie pasażerem. Widok był raczej wstrząsający, gdyż podpadały im niezbyt mocno przyklejone uszy i włosy, zaczęli więc wracać do swego normalnego wyglądu. Graham doznał niemiłego wrażenia, że nie mają również nosów. Ale cóż... z czasem do wszystkiego można się przyzwyczaić. W ciągu najbliższych kilku lat miało go spotkać jeszcze wiele takich niespodzianek.'

Resztę oczywiście znacie, choć szczegółów pierwszego lądowania na Ziemi i niezwyklej okoliczności, w jakich ambasador Graham został przedstawicielem rodu ludzkiego w wolnym wszechświecie, nigdy dotychczas nie ujawniono. Wydobyliśmy je po długich perswazjach od samych Crysteela i Danstora, kiedy pracowaliśmy w Ministerstwie Spraw Pozaziemskich.

Całkiem zrozumiałe, że ze względu na sukcesy odniesione na Ziemi przełożeni zlecili im nawiązanie pierwszych kontaktów z naszymi tajemniczymi i zakonspirowanymi sąsiadami z Marsa. W świetle opisanych wydarzeń równie zrozumiała była ich niechęć do podjęcia się tej misji i naprawdę nie bardzo nas dziwi, że od tego czasu wszelki słuch po nich zaginął.

Przełożył Marek Cegiela

ARESZT PREWENCYJNY

Mówi się, że w obecnej epoce taśm montażowych i produkcji masowej nie ma miejsca dla indywidualnych rzemieślników, artystów pracujących w drewnie czy metalu, którzy zrobili tyle wspaniałych rzecz/y w przeszłości. Jak większość uogólnień, to po prostu nieprawda. Rzemieślników jest w naszych czasach mniej, ale z pewnością całkiem nie wyginęli. Bywa, że muszą zmienić zawód, na swój skromny sposób wciąż jednak prosperują. Można ich znaleźć na wyspie Manhattan, jeśli się wie, gdzie należy szukać. Ich maleńkie zagracone warsztaty kryją się w suterrenach domów mieszkalnych czy na antresolach zaniedbanych sklepów tam, gdzie czynsze są niskie i gdzie nie zwraca się uwagi na przepisy przeciwpożarowe. Być może już nie robią skrzypiec, zegarów z kukułką czy pozytywek, lecz ich jak zawsze wysokie umiejętności sprawiają, że wykonane przez nich dwa takie sanie przedmioty nigdy nie są identyczne. Nie gardzą mechanizacją: w bałaganie na ich stołach tu i ówdzie widać elektryczne narzędzia. Idą z

duchem czasu – zawsze gdzieś w pobliżu znajdzie się jakaś złota rączka – lecz jeśli tworzą wiekopomne dzieło sztuki, to nigdy nie zdają sobie z tego sprawy.

Warsztat Hansa Mullera zajmował duże pomieszczenie na zapleczu opuszczonego składu o silny rzut kamieniem od mostu Queensborough. Prawie wszystkie okna były pozabijane deskami, budynek ten bowiem czekał na rozbiórkę i wcześniej czy później Hans będzie musiał się wynieść. Jedyne wejście prowadziło z zachwaszczonego podwórka, za dnia używanego jako parking, wieczorami zaś uczęszczanego przez zanedbaną młodzież. Ci młodzi ludzie nie sprawiali mu kłopotu, nie był bowiem taki głupi, żeby współpracować z policją, kiedy czasem zadawała mu pytania na ten temat. Policjanci całkowicie rozumieli jego szczególną sytuację i za bardzo go nie naciskali, tak więc Hans żył ze wszystkimi w zgodzie.

To, co teraz robił, niesłychanie zdumiałoby jego bawarskich przodków. Dziesięć lat temu nawet on sam by się zdziwił. A wszystko zaczęło

się od tego, że pewien zbankrutowany klient zapłacił mu za usługę odbiornikiem telewizyjnym...

Hans niechętnie na to przystał, lecz nie dlatego, że był staromodny i nie lubił telewizji, tylko po prostu nie miał czasu na jej oglądanie. Pomyślał sobie jednak, że zawsze może sprzedać odbiornik za pięćdziesiąt dolarów, ale zanim się na to zdecydował, postanowił zobaczyć, jak wygląda program.

Włączył telewizor: ekran wypełniły poruszające się postacie i Hans zupełnie stracił głowę, jak tyle milionów Judzi przed nim. Wszedł w świat, o którym nie wiedział, że w ogóle istnieje – świat walczących statków kosmicznych, egzotycznych roślin i dziwnych istot – właściwie świat kapitana Zippa, dowódcy Legionu Kosmicznego.

Czar prysł dopiero wówczas, gdy po nudnej prezentacji zalet Crunche, rośliny o cudownych właściwościach, pokazano mecz bokszerski między dwoma umięśnionymi facetami, którzy walczyli, jakby podpisali pakt o nieagresji. Hans, był człowiekiem prostym. Zawsze bardzo lubił bajki, a to było współczesną bajką zawierającą rzeczy, o których braciom Grimm nawet się nie śniło. No i Hans nie sprzedał telewizora.

Po kilku tygodniach minęło początkowo naiwne i bezkrytyczne oczarowanie. Pierwsze, co zaczęło irytować Hansa, to meble i ogólny wystrój świata przyszłości. Jak już wspomniano, był artystą i nie mógł uwierzyć, że za sto lat gust tak się zmieni na gorsze, jak to sobie wyobrażają ci, co finansowali program o tej cudownej roślinie.

Trochę się też zastanawiał nad bronią używaną przez kapitana Zippa i jego przeciwników. Co prawda Hans nie udawał, że rozumie zasadę działania dezintegratora protonowego, ale w każdym razie nie musiał być tak nieporęczny. Ubiory oraz wnętrza statków kosmicznych też po prostu nie były przekonujące. Skąd to wiedział? Zawsze miał wysoko rozwinięte poczucie celowości przedmiotów, co odnosiło się również do tej nowej dziedziny. Wspominaliśmy już, że Hans był człowiekiem prostym. Był też wnikliwym obserwatorem, a ponieważ słyszał, że telewizja ma pieniądze, zabrał się więc do projektowania.

Jeśli nawet kierownik produkcji „Kapitana Zippa” nie stracił jeszcze cierpliwości do swego dekoratora, to i tak pomysły Hansa Mullera zmuszą go do zastanowienia. Były bowiem pełne autentyczności i realizmu, co sprawiało, że się wyróżniały -całkowicie pozbawione tej sztuczności, która zaczynała razić nawet najmłodszych wielbicieli kapitana Zippa. Hansa z miejsca zaangażowano.

Postawił jednak pewne warunki. Wszystko robił głównie dla wewnętrznej satysfakcji, pomijając fakt, że nowe zajęcie przynosiło mu większe dochody niż cokolwiek w przeszłości. Pracował zupełnie sam i wyłącznie w swoim niewielkim warsztacie. Chciał wykonywać jedynie prototypy, podstawowe wzory. Masowa produkcja mogła odbywać się gdzie indziej – on był rzemieślnikiem, a nie fdbryką.

Układ ten funkcjonował bardzo dobrze. W ciągu sześciu miesięcy kapitan Zipp uległ metamorfozie i obecnie doprowadzał do rozpaczy autorów konkurencyjnych programów kosmicznych. Widzowie uważali, że nie jest to serial o przyszłości, lecz sama przyszłość – nie było co do tego żadnych wątpliwości. Nowe otoczenie zdawało się inspirować nawet aktorów: poza planem zachowywali się chwilami jak podróżujący w czasie ludzie XX wieku, którzy nagle znaleźli się w epoce wiktoriańskiej i są wściekli, że już nie mogą korzystać z urządzeń stanowiących nieodłączny element ich dotychczasowego życia.

Ale Hans o tym nie wiedział. Szczęśliwy, ciężko pracował, odmawiając widywania kogokolwiek poza kierownikiem produkcji i załatwiając wszystkie sprawy przez telefon, a potem oglądał końcowy efekt na ekranie telewizora i sprawdzał, czy czegoś nie przeinaczono. O jego kontaktach z nieco fantastycznym światem telewizji komercyjnej świadczyła jedynie skrzynka Cruncha stojąca w kącie warsztatu. Kiedyś spróbował tego daru wdzięcznego producenta i dziękował Bogu, że to nie jemu płacono za jedzenie takiego paskudztwa.

–Właśnie pracował w późny sobotni wieczór, kończąc nowy model kosmicznego hełmu, gdy nagle uświadomił sobie, że nie jest już sam. Powoli odwrócił się od warsztatu i spojrzał w stronę drzwi. Były zamknięte na klucz – w jaki sposób tak cicho dały się otworzyć? Przy wejściu stało dwóch ludzi, którzy na niego patrzyli. Hans poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła, lecz zebrał się na odwagę, żeby im stawić czoło. Pomyślał, że na szczęście w warsztacie ma niewiele pieniędzy. Z drugiej strony zastanawiał się, czy to naprawdę dobrze, bo przecież mogło to ich rozwścieczyć...

–Kim jesteście? – spytał. – Co tu robicie?

Jeden z nich ruszył ku niemu, drugi natomiast uważnie obserwował Hansa spod drzwi. Obaj mieli na sobie płaszcz, a kapelusze tak-głęboko nasunięte na oczy, że nie widział ich twarzy. Byli zbyt dobrze ubrani. uznał więc, że nie są zwykłymi rabusiami.

–Proszę się nie denerwować, panie Muller – odparł ten bliższy.

bez trudu czytając w jego myślach. – To nie napad. Przybyliśmy tu służbowo. Jesteśmy z... bezpieczeństwa.,

–Nie rozumiem.

Drugi sięgnął do aktówki, którą miał pod płaszczem, i wyjął plik fotografii1. Przez phwilę je wertował, aż znalazł tę, której szukał.

–Przyprawił nas pan o niezły ból głowy, panie Muller. Dwa tygodnie pana szukaliśmy... pańscy pracodawcy trzymali wszystko w głębokiej tajemnicy. Niewątpliwie chcieli pana ukryć przed konkurentami. Mimo wszystko jednak dotarliśmy tutaj i chciałbym, żeby odpowiedział pan na kilka pytań.

–Nie jestem szpiegiem! – wykrzyknął oburzony Hans, kiedy zrozumiał znaczenie tych słów. – Nie wolno wam tego zrobić! Jestem lojalnym obywatelem Stanów Zjednoczonych!

Ten drugi nie zareagował na jego wybuch i podał mu fotografię.

–Czy pan to poznaje? – zapytał.

–Tak. To wnętrze statku kosmicznego kapitana Zippa.

–Pan je projektował?»

–^.

Pytający wyjął z teczki następną fotografię.

–A to co przedstawia?

–Widok z góry na marsjańskie miasto Poldar.

–Pański własny pomysł?

–Oczywiście – odparł Hans, zbyt oburzony, żeby zachować ostrożność.

–A to?

–Ach, to pistolet protonowy. Byłem z niego dość zadowolony.

–Proszę nam powiedzieć, panie Muller... czy to pańskie własne pomysły?

–Nikommu ich nie ukradłem.

Pytający podszedł do swego towarzysza i rozmawiał z nim przez kilka minut, zbyt jednak cicho, aby Hans mógł cokolwiek usłyszeć. Widocznie doszli do porozumienia, przestali bowiem konferować, zanim Hans zdążył wyciągnąć rękę do telefonu.

–Przykro mi – mówił dalej intruz – ale nastąpił poważny przeciek informacji. Być może stało się to... hm... przypadkowo albo nawet nieświadomie, to jednak nie ma nic do rzeczy. Będziemy musieli pana przesłuchać. Proszę z nami.

Ton jego głosu był tak zdecydowany i pełen autorytetu, że Hans

bez szemrania zaczął wkładać płaszcz. Jakoś już nie wątpił w pełnomocnictwo swych gości i nie przyszło mu do głowy pytać ich o legitymacje. Wprawdzie się zaniepokoił, ale nie wpadał w panikę. Wiedział oczywiście, co się stało. Przypomnił sobie, że kiedyś słyszał o pewnym literacie, co zajmował się fantastyką naukową, który w czasiej wojny opisał bombę atomową z niepokojącą dokładnością. Zastanawiał się, co takiego mógł zdradzić.

W drzwiach obejrzał się za siebie, by popatrzeć na swój warsztat i na idących za nim ludzi.

–To idiotyczna pomyłka – powiedział. – Jeśli nawet zdradziłem jakąś tajemnicę w telewizji, to zupełnie przypadkowo. Nigdy nie robiłem niczego, co mogłoby niepokoić FBI.

I wtedy odc/wał się w końcu ten drugi, bardzo złą angielszczyzną i najprzedziwniejszym z akcentów.

–A co to FBI? – spytał. \

Lecz Hans go nie słyszał, właśnie bowiem dostrzegł ich statek kosmiczny.

Przełożył Marek Cegiela

KAMPANIA REKLAMOWA

Jeszcze nie przebrzmiały odgłosy wybuchu ostatniej bomby atomowej, gdy ponownie zapłonęły światła. Przez dłuższy czas nikt się nie poruszał. Po chwili asystent kierownika produkcji spytał niewinnie:

–No i co o tym sądzisz, R.B.?

R.B. dźwignął się z fotela, a tymczasem członkowie jego świty czekali, aż się okaże, w którą stronę powieje wiatr. I wtedy zauważyli, że zgasło mu cygaro. Coś takiego! To się nie wydarzyło nawet w czasie zamkniętego pokazu przed prapremierą „G.W.T.W.”!

–Chłopcy – powiedział z zachwytem – ależ to bomba! Mówisz, że ile to kosztowało. Mikę?

–Sześć i pół miliona, R.B.

–Grosze. Oświadczam wam, że zjem każdy metr tej taśmy, jeżeli wpływami nie pobije Quo vadis..

Z szybkością, na jaką pozwalała mu tusza, odwrócił się w stronę drobnego mężczyzny, skulonego w fotelu pod ścianą kabiny projekcyjnej.

–Obudź się, Joe! Ziemia uratowana! Widziałeś te wszystkie filmy kosmiczne. Jak ten wygląda

w porównaniu z poprzednikami?-Joe z wyraźnym trudem wracał do rzeczywistości.

–Nie ma porównania – rzekł. – Trzyma w napięciu jak *The Thing*, ale nie rozczarowuje jak z tym pomysłem pod koniec, kiedy potwór okazuje się człowiekiem. Jedyne film, który może dorasta mu do pięt, to *Wojna światów*. Pewne efekty ma prawie tak dobre jak nasze, ale George Pal nie dysponował techniką trójwymiarową. I na tym z pewnością polega różnica. Kiedy walił się most Golden Gate, myślałem, że przeszło spadnie mi na głowę.

–A mnie – wtrącił Tony Auerbach z reklamy – najbardziej

podobało się, gdy Empire State Building pękał na' dwoje w samym środku. Chyba z tego powodu właściciele nie wytoczą nam procesu?

–Jasne, że nie. Chyba nikt nie może się spodziewać, że jakikolwiek budynek mógłby przetrwać wybuch... jak oni to nazywają w scenariuszu?... bomby-mamuta burzącej całe miasto. A poza tym starliśmy z powierzchni ziemi całą resztę Nowego Jorku. Ach^ta scena w Tunelu Holenderskim,, kiedy wszystko się wali! Następnym razem skorzystam z promu!

–Tak, to bardzo dobre... niemal za dobre. Ale tym, co najbardziej mnie wzięło, były te stwory z kosmosu. Doskonała animacja. Jak to zrobiłeś. Mikę?

–Tajemnica zawodowa – odparł z dumą kierownik produkcji. – Ale powiem ci w sekrecie, że wiele z tych ujęć to sceny autentyczne.

–Co?!

–Nie zrozum mnie źle. Nie robiliśmy plenerów na Syriuszu B. Ale w Kalifornii zbudowali mikrokamerę, której użyliśmy do filmowania pajaków w akcji. Wmontowaliśmy najlepsze ujęcia i uważam, że musiałbyś doTze się napracować, żeby odróżnić zdjęcia mikro od studyjnych. Teraz rozumiesz, dlaczego chciałem, żeby przybysze byli owadami, a nie ośmiornicami, jak początkowo przewidywał scenariusz.

–To da się wykorzystać do reklamy – rzekł Tony. – Ale jedno mnie martwi. Ta scena, kiedy potwory porwają Głorię. Nie sądzisz, że cenzura... Mam na myśli sposób, w jaki to pokazaliśmy... wygląda to prawie jak...

–E tam, nie martw się! Ludzie tak właśnie mają pomyśleć! W następnym filmie wyjaśnimy, że chcieli jej zrobić sekcję, i wszystko będzie grało!

–Ale sobie użyjemy! – rozkoszował się R.B., patrząc w dal rozgorączkowanym wzrokiem, jakby już słyszał szelest dolarów płynących potokiem do kasy. – Słuchajcie... dołożymy jeszcze milion na reklamę! Już widzę te plakaty... notuj wszystko, Tony. UWAGA NA NIEBO! SYRIUSZ ATAKUJE! Wyprodukujemy tysiące mechanicznych kukieł... Czy wyobrażacie sobie, jak się rozłożą na tych swoich włochatych nogach?! Ludzie uwielbiają się bać, więc ich postraszymy. Jak skończymy, każdemu, kto spojrzy^ w niebo, ciarki przejdą po plecach! Pozostawiam to wam, chłopcy... ten film przejdzie do historii!

Miał rację. W dwa miesiące później Potwory z kosmosu spodobały się- publiczności. W ciągu tygodnia od równoczesnych premier

w Londynie i Nowym Jorku na zachodniej półkuli nie było takiego człowieka, co by nie widział plakatów wrzeszczących STRZEŻ SIĘ, ZIEMIO! albo nie zadrżał, patrząc na fotosy przedstawiające włochate straszysła, które na swych cienkich wieloczłonowych nogach skradają się opustoszałą Piątą Aleją. Małe sterowce, zmyślnie upozorowane na statki kosmiczne, krążyły po niebie, wprawiając w osłupienie pilotów, którzy napotykali je na swej drodze, a mechaniczne kukły obcych najeźdźców pojawiały się wszędzie, strasząc starsze panie, które traciły zmysły z przerażenia.

Kampania reklamowa odniosła sukces i film bez wątpienia miesiącami nie schodziłby z ekranów, gdyby nie pewien zbieg okoliczności, równie katastrofalny, co nie dający się przewidzieć. Kiedy Liczba widzów mdlejących na każdym seansie wciąż jeszcze wzbudzała sensację, na ziemskim niebie, ni stąd, ni zowąd, ukazały się długie, wąskie smugi, błyskawicznie przebijające chmury...

Książę Zervashni był z natury dobroduszny, choć miał skłonność do wybuchów – znana wada jego rasy. Nie istniał żaden powód, by przypuszczać, że obecna jego misja, podjęta z myślą o nawiązaniu pokojowych kontaktów z planetą Ziemią, nastreczy jakieś szczególne trudności. Służącą temu celowi bezbłądną technikę wypracowano w ciągu wielu tysięcy lat, w miarę jak III Imperium Galaktyczne powoli rozszerzało swe granice, wchłaniając planetę za planetą, słońce po słońcu. Rzadko miewano z tym jakiegokolwiek kłopoty: prawdziwie inteligentne rasy zawsze gotowe są współpracować, ochłonawszy z pierwszego wstrząsu na wieść o tym, że nie są same we wszechświecie.

Z prymitywnego okresu wojen ludzkość co prawda wyrosła dopiero w ostatnim pokoleniu, jednakże fakt ten nie martwił Sigisninra II, profesora astropolityki i głównego doradcy księcia Zervashniego.

–To absolutnie typowa kultura klasy E – powiedział profesor. – Technicznie rozwinięta, moralnie raczej zacofana. Aczkolwiek nie jest im obca idea lotów kosmicznych i wkrótce zaczną nas traktować normalnie. Wystarczą zwykle środki ostrożności, póki nie zdobędziemy ich zaufania.,

–Doskonale – rzekł książę. – Każ posłom niezwłocznie wyruszać.

Na nieszczęście „zwykle środki ostrożności” nie uwzględniały kampanii reklamowej Tony'ego Auerbacha, która obecnie sięgała szczytów

międzyplanetarnej ksenofobii. Posłowie wylądowali w nowojorskim Central Parku tego samego dnia, kiedy to pewien bardzo cierpiący na brak gotówki i stąd łatwo ulegający wpływom, choć wybitny astronom ogłosił w szeroko publikowanym wywiadzie, że ewentualni goście z kosmosu przybędą prawdopodobnie z wrogimi zamiarami.

W drodze do gmachu Organizacji Narodów Zjednoczonych pechowi posłowie dotarli aż do 60 ulicy, gdzie napotkali tłum. Potyczka miała charakter jednostronny i naukowcy z Muzeum Przyrodniczego byli niepokieszeni, że tak niewiele zostało do badań.

Książę Zervashni dokonał jeszcze jednej próby, po drugiej stronie planety, ale wiadomość o przybyszach dotarła tam pierwsza. Teraz posłowie mieli broń i walczyli z honorem, lecz ulegli po prostu przeważającym siłom. Mimo to książę zachował spokój i dopiero wówczas, gdy zaatakowano jego flotę raketami bojowymi, stracił panowanie nad sobą i postanowił użyć drastycznych środków.

Wszystko trwało dwadzieścia minut i odbyło się naprawdę zupełnie bezboleśnie. Wówczas książę zwrócił się do swego doradcy bardzo eufemistycznie:

...–Wydaje się, że mamy już to za sobą. A teraz... czy możesz mi powiedzieć, dlaczego właściwie tak się stało?

Sigisnin II nerwowo splatał tuzin swych elastycznych palców w bolesnej udręce. I to nie tylko z rozpaczy nad obrazem starannie zdezynfekowanej Ziemi, chociaż zniszczenie tak pięknego gatunku jest zawsze wielką tragedią dla uczonego. Co najmniej w równym stopniu zmartwił go fakt, że legły w gruzach jego teorie, a wraz z nimi jego reputacja.

–Ja po prostu tego nie rozumiem! – lamentował. – To oczywiste, że rasy na tym poziomie kultury są często podejrzliwe i nerwowe przy pierwszym spotkaniu. Ale oni przedtem nigdy nie mieli gości z kosmosu, nie było* więc podstaw do wrogich zachowań.

–Wrogich! Zachowywali się jak szatani! Moim zdaniem wszyscy byli chorzy psychicznie.

Książę zwrócił się teraz do swego kapitana, trójnogiej istoty, która przypominała kłębek wełny stojący na trzech drutach.

–Czy flota się zebrała?

–Tak jest, książę.

–Wracamy zatem do Bazy z optymalną prędkością. Ta planeta działa na mnie przygnębiająco.

Z tysięcy plotek na martwej Ziemi, którą spowijała śmiertelna cisza, plakaty wciąż wykrzykiwały swe ostrzeżenia. Przedstawione na nich

spadające z nieba wrogie, podobne owadom postacie w niczym nie przypominały księcia Zervashniego, który miał czworo oczu, a poza tym przez pomyłkę można go było wziąć na pandę o purpurowym futrze... no i przybył z Rigela, a nie z Syriusza.

Lecz teraz było, rzecz jasna, o wiele za późno, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Przełożył Marek Cegiela

"JEŚLI ZAPOMNĘ CIĘ, ZIEMIO..."

Kiedy Marvin skończył dziesięć lat, ojciec poprowadził go długimi dudniącymi korytarzami przez biura i siłownie, aż dotarli do najwyższych poziomów i znaleźli się na polach uprawnych wśród szybko rosnących pnączy. Marvinowi podobało się tam: wielką radość sprawiał mu widok długich, wiotkich roślin, wspinających się z niemal dostrzegalnym pragnieniem ku światłu słonecznemu, które wychodziło im naprzeciw, sącząc się przez plastikowe kopuły. Wszędzie pachniało życiem, co budziło niewyraźne tęsknoty w jego sercu; już nie wdychał suchego, chłodnego powietrza piętter mieszkalnych, oczyszczonego z wszelkich woni poza delikatnym zapachem ozonu. Chętnie zostałby tam trochę dłużej, ale ojciec mu nie pozwolił. Potem doszli do obserwatorium, w którym jeszcze nigdy nie był, lecz się zatrzymali i Marvin już wiedział z rosnącym podnieceniem, że mógł pozostać tylko jeden cel: po raz pierwszy w życiu miał znaleźć się na zewnątrz.

W dużej hali obsługi technicznej zobaczył kilkanaście pojazdów terenowych z kabinami ciśnieniowymi i na szerokich oponach balonowych. Zapewne oczekiwano tam jego ojca, natychmiast bowiem zaprowadzono ich do małego pojazdu zwiadowczego, który stał przed wielką okrągłą bramą śluzy powietrznej. Podniecony perspektywą wyjazdu Marvin usadowił się w ciasnej kabinie, a tymczasem ojciec włączył silnik i sprawdzał układ sterowania. Wewnętrzna brama śluzy rozsunęła się, a potem zamknęła za nimi; powoli cichł ryk potężnych sprężarek, w miarę jak ciśnienie zbliżało

* Tytuł nawia/uje do następującego fragmentu psalmu..Nad r/ckami Babilonu – pieśń wygnańców" (psalm 137, Pismo Święte, nowy przekład, str. 692. Brytyjskie i Zagraniczne Towarzystwo Biblijne. Wars/awa 1987). ' '

Jeśli zapomnę cię. Jeruzalem.

Niech uschnie prawica moja!

Niech przylgnie język mój do podniebienia.

Jeślibym nie pamiętał o tobie.

się do zera. Potem zabłysnął napis „Próżnia”, rozwarła się brama zewnętrzna i przed Marvinem leżała kraina, w której nigdy jeszcze nie był.

Widział ją oczywiście na fotografiach i oglądał w telewizji setki razy. Teraz jednak otaczała go ze wszystkich stron, prażona ostrym słońcem, które tak wolno pełzło po czarnym jak smoła niebie. Odwracając się od oślepiającego blasku, spojrział na zachód, gdzie, jak słyszał, były gwiazdy, choć zawsze trochę w to wątpił. Wpatrywał się w nie przez dłuższy czas nie pojmując, że coś może być tak jasne, a równocześnie tak maleńkie. Silnie kontrastowały z niebem i wcale się nie skrzyły. Nagle przypomniał sobie pewien wierszyk, jaki znalazł niegdyś w jednej z książek ojca:

Migocz, gwiazdko, tam na niebie. Jakże chciałbym poznać ciebie.

Hm, wiedział przecież, czym są gwiazdy. Ktokolwiek to napisał, musiał być bardzo głupi. I co ma znaczyć to „migocz”? Na pierwszy rzut oka widać, że gwiazdy świecą stałym, równym światłem. Zrezygnował z rozwiązania tej zagadki i zainteresował się otaczającym go krajobrazem.

Pędzili płaską równiną ponad sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę i wielkie opony wyrzucały smugi pyłu. Nie widział już Kolonii: w ciągu tych kilku minut, kiedy patrzył w gwiazdy, jej kopyły i maszty radiowe zniknęły za horyzontem. Wciąż jednak zauważało się obecność człowieka, około półtora kilometra przed sobą zobaczył bowiem konstrukcje o dziwnych kształtach, skupione wokół wyrobiska kopalni. Co jakiś czas z nisko zalegającego dymu wydobywała się chmurka pary, by natychmiast zniknąć.

Po chwili minęli kopalnię: ojciec prowadził pojazd brawurowo, jak szalony, tak jakby chciał od czegoś uciec – aż dziwne, że taka myśl przyszła do głowy dziecku. Po kilku minutach dotarli do skraju płaskowyżu, na którym zbudowano Kolonię. Grunt opadał tutaj raptownie stromym skokiem, którego dolna część ginęła w cieniu. Na wprost jak okiem sięgnąć rozciągało się jałowe pustkowie pełne kraterów, łańcuchów górskich i wąwozów. Szczyty gór w niskim słońcu przypominały płonące wyspy ognia na morzu ciemności, a w górze świeciły gwiazdy jasno jak zawsze.

Wydawało się, że dalej nie ma już drogi, a jednak była. Marvin z emocji zacisnął palce, kiedy pojazd przejechał przez krawędź i rozpoczął długi

S - Gwiazda

zjazd. Ożyły podwójne reflektory, rzucając niebieskobiałe snopy światła na skały, więc prawie nie trzeba było zmniejszać szybkości. Godzinami jechali przez doliny u stóp gór, których szczyty zdawały się dosięgać gwiazd; czasem zalewało ich słońce, kiedy pokonywali wyższewzniesienia.

Teraz po prawej stronie leżała falista równina pokryta pyłem, po lewej zaś kilometrami wałów i tarasów wznosiła się w niebo ściana gór, których szczyty ginęły z oczu za horyzontem. Nic nie wskazywało, że człowiek kiedykolwiek badał ten rejon, lecz w pewnej chwili minęli wrak rozbitej rakiety, a nie opodal kamienny kopczyk zwieńczony metalowym krzyżem.

Marwinowi wydawało się, że góry te są bezkresne, ostatecznie jednak, wiele godzin później, skończyły się wysoką, stromą skałą, wyrastającą pionowo z grupki niewielkich wzgórz,. Wjechali w płytką dolinę, która ogromnym łukiem przechodziła*na drugą stronę gór, i wówczas z wolna dotarło do świadomości Marvina, że coś bardzo dziwnego dzieje się 7 krajobrazem przed nimi.

Słońce zasłaniały teraz wzgórza po prawej stronie, a zatem w dolinie powinno być całkiem ciemno. Tymczasem zalewała ją zimna biała poświata, dobywająca się spoza urwistych skał, pod którymi jechali. Potem nagle znaleźli się na otwartej równinie i ujrzeli źródło tej poświaty w całej okazałości.

W maleńkiej kabinie zaległa cisza, kiedy silnik się zatrzymał. Słysząc było jedynie syk wtłaczanego tlenu i sporadyczne trzeszczenie ścian pojazdu wypromieniowujących ciepło. W ogóle żadnego ciepła nie dawał bowiem wielki srebrzysty półksiężyc, który wisiał nisko nad odległym horyzontem i zalewał cały krajobraz perłowym światłem. Błyszczał tak silnie, że upłynęło wiele minut, zanim do jego blasku przywykły oczy Marvina, który w końcu mógł rozróżnić zarys kontynentów, mglistą granicę atmosfery i białe wyspy chmur. Nawet z tej odległości widział, jak w świetle słońca lśni polarny lód.

TQ było piękne i przemawiało mu do serca poprzez otchłań kosmosu. Tam, na tym lśniącym półksiężycu, były wszystkie cuda, których nigdy nie poznał: barwy nieba o zachodzie słońca, lament morza na kamienistych plażach, stukot kropel deszczu, niespiesznie padający śnieg. Wszystkie te cuda i tysiące innych powinny przypaść mu w udziale jako należne dziedzictwo, ale znał je tylko z książek i starych archiwów; myśl ta napełniła go udręką wygnania.

Dlaczego nie mogą tam wrócić? Taki spokój panował pod tamtymi

chmurami. Wówczas Marvin spostrzegł: - blask już go nie raził – że ta część tarczy, która powinna być ciemna, migotała blado żółtą fosforescencją – i wtedy wszystko sobie przypomniał. Patrzył na stos pogrzebowy planety... na to, co zostało po Armageddonie*. Z odległości niemal czterystu tysięcy kilometrów wciąż jeszcze było widać poświatę rozpadających się atomów, wieczną pamiątkę zrujnowanej przeszłości. Miną całe wieki, zanim w skałach wygaśnie ów śmiertelny blask i życie będzie mogło powrócić na tę cichą opustoszałą planetę.

I wówczas odezwał się ojciec. Opowiedział Marvinowi historię, która dotychczas była dla niego jedynie bajką zasłyszaną w dzieciństwie. Wielu rzeczy nie potrafił zrozumieć: nie umiał sobie wyobrazić promiennej wielobarwności życia na tej planecie, której nigdy nie widział. Nie mógł też pojąć sił, jakie ją w końcu zniszczyły, pozostawiając przy życiu jedynie Kolonię, która przetrwała dzięki oddaleniu. Zdolny był jednak dzielić ból tych ostatnich dni, kiedy Kolonia dowiedziała się w końcu, że nie przylecą już statki dostawcze z prezentami z domu, strzelając w dół płomieniami z silników. Kolejno milkły radiostacje, światła miast spowitego mrokiem globu pociemniały i zgasły i ostatecznie pozostali sami, dźwigając na swych barkach przyszłość rodu ludzkiego.

Potem przyszły lata rozpacz i długotrwałej walki o przetrwanie. Mało brakowało, by przegrali tę walkę: ich niewielka oaza zabezpieczała przed najgorszym, czym groziła natura. Gdyby jednak nie było celu, żadnej przyszłości, dla której by mogli pracować, koloniści straciliby wolę życia i wówczas nic by ich nie uratowało: ani maszyny, ani umiejętności, ani nauka.

Tak więc Marvin w końcu zrozumiał cel tej pielgrzymki. Nigdy nie przejdzie się brzegiem żadnej rzeki na tej utraconej legendarnej planecie i nie usłyszy grzmotu przetaczającego się nad jej łagodnymi wzgórzami. Lecz pewnego dnia – w jak odległej przyszłości? – jego wnuki wrócą po należną im spuściznę. Wiatr z deszczem oczyści wypalone lądy z tłu-cizn i splucze je do morza, w którego głębinach zaczną tracić swą jadowitą moc, aż przestaną być groźne dla żywych istot. Wówczas owe wielkie statki, ciągle tutaj czekające na cichych pokrytych pyłem równinach, znowu uniosą się w kosmos i ruszą w powrotną drogę do domu.

To tylko marzenie, lecz kiedyś, pomyślał Marvin w nagłym olśnieniu,

* Armageddon – w Biblii, miejsce, gdzie odbędzie się ostatnia wielka bitwa między dobrem i złem. gdzie przed Dniem Sądu Ostatecznego królowie Ziemi przegrają wojnę z Bogiem (Słownik mitów i tradycji kultury. PIW 1985).

przekáže je swemu synowi tutaj, w tym samym miejscu, gdzie za plecami ma góry, a na twarz pada mu srebrzyste światło z nieba.

Nie obejrzał się, kiedy rozpoczęli podróż do domu. Powracając do skazanych na długotrwałe wygnanie ziomków, nie zniósłby widoku blednącej na pobliskich skałach zimnej poświaty półksiężyca Ziemi.

Przełożył Marek Cegiela

POWTÓRKA Z HISTORII

–Już idą – rzekł Eris-unosząc się na przednich kończynach i odwracając, by spojrzeć w długą dolinę.

Na chwilę odeszły go bolesne i gorzkie myśli, co ledwie zauważyła nawet Jeryl, a przecież ona miała umysł najlepiej ze wszystkich dostrojony do jego umysłu. Wyczuła nawet pewną łagodność, nieodparcie przypominającą Erisa, jakiego знаła sprzed Wojny – dawnego Erisa, który teraz wydawał się taki daleki i tak dla niej stracony, jakby leżał z tymi wszystkimi, co na zawsze pozostali tam, na równinie.

W dolinę wlewała się ciemna fala w osobliwie niezdecydowany sposób: to dziwnie przystając, to znów ruszając do przodu krótkimi zrywami. Po bokach błyszczła złotem – to nieliczni atheleńscy strażnicy, których jest tak przerażająco niewiele wobec czarnej masy jeńców. Ale ich liczba wystarczała – w istocie potrzebni byli jedynie do prowadzenia tej pozbawionej celu rzeki po jej niepewnej drodze. A mimo to na widok tylu tysięcy nieprzyjaciół Jeryl zadrżała, instynktownie przysunęła się do towarzysza i oparła swe srebrne futro o jego złote. Eris niczym, nie dał poznać po sobie, że rozumiał ani nawet że zauważył ten gest.

Strach ustąpił, gdy Jeryl spostrzegła, jak wolno ciemna fala posuwa się do przodu. Uprzedzono ją, czego należało się spodziewać, ale rzeczywistość przekraczała jej wyobrażenia. Kiedy jeńcy podeszli bliżej, opuściła ją cała nienawiść i rozgoryczenie, ustępując miejsca przyprawiającemu o mdłości współczuciu. Nikt z jej rasy nie musiał już obawiać się tej pozbawionej celu hordy idiotów, pędzonych przełączką w dolinę, której nigdy nie opuszczą.

Strażnicy właściwie tylko ponaglali jeńców do szybszego marszu, wydając nieartykułowane okrzyki jak niańki wołające dzieci, które są jeszcze za małe, by odbierać ich myśli. Mimo starań Jeryl nie udało się wykryć nawet śladu rozumu w żadnym z owych tysięcy umysłów przechodzących tak blisko niej. Miała dostatecznie czuły umysł, by uchwycić

pierwsze nieśmiałe myśli dzieci na progu świadomości. Pokonani wrogowie byli już nawet nie dziećmi, lecz niemowlętami w ciałach dorosłych.

Fala mijała ich teraz o kilka metrów. Po raz pierwszy Jeryl uświadomiła sobie, o ile więksi od jej ziomków, są Mithranie i jak pięknie na ich ciemnych atlasowych ciałach połyskiwało światło bliźniaczych słońc. W pewnej chwili jakiś wspaniały okpż, o całą głowę wyższy od Erisa, wyrwał się z tłumu, chwiejnie ruszył ku nim i przystanął w odległości kilku kroków. Potem przypadł skulony do ziemi niczym zagubione i przerażone dziecko, niepewnie wyciągając wspaniałą głowę w różne strony, jakby nie wiedział, czego szuka. Wtem puste spojrzenie wielkich oczu padło wprost na twarz Jeryl. Wiedziała, że jest piękna zarówno dla Mithranów, jak i dla własnej rasy, lecz jego pozbawionych wyrazu rysów nie ożywiła nawet maleńka iskierka emocji, a głowa ani na moment nie zatrzymała się w swym bezcelowym ruchu. Wówczas jakiś zdenerwowany strażnik pognął jeńca z powrotem do szeregu. N

–Chodźmy stąd – poprosiła Jeryl. – Nie chcę już na to patrzeć. Po co mnie tutaj w ogóle przyprowadziłeś? – dodała z wyrzutem.

Eris puścił się wielkimi susami po trawiastym stoku i Jeryl nie miała nadziei go dogonić, ale równocześnie przesyłał jej swe myśli. Były one. wciąż łagodne, lecz pod nimi tkwił ból zbyt głęboki, by dał się ukryć.

— Chciałem, żeby wszyscy, łącznie z tobą, zobaczyli, co musieliśmy zrobić, aby zwyciężyć w tej wojnie. Może dzięki temu nie będziemy mieli więcej wojen za naszego życia.

Czekał na nią u szczytu wzgórza, nie zmęczony szaloną wspinaczką. Rzeka więźniów płynęła dołem, zbyt daleko, by mogli widzieć szczegóły ich wstrząsającego marszu. Jeryl pochyliła się obok Erisa i zaczęte skubać rzadką roślinność, jakby wygnaną z żyznej doliny. Powoli przychodziła do siebie po doznanym szoku.

–Ale co z nimi będzie? – spytała, wciąż pod wrażeniem widoku wspaniałego bezmyślnego olbrzyma, idącego do niewoli, której nigdy nie zrozumie.

–Nauczą się jeść – rzekł Eris. – W tej dolinie wystarczy pożywienia na pół roku, a potem przeniesiemy ich gdzie indziej. Będą poważnym obciążeniem dla naszych zasobów, ale to nasze moralne zobowiązanie, a poza tym przewiduje to traktat pokojowy.

–y Nigdy się nie wyleczą?

–Nie. Ich umysły są całkowicie zniszczone. Pozostaną tacy aż do śmierci.

Na dłuższy czas zapadło milczenie. Jeryl błędziła spojrzeniem po

wzgórzach łagodnie opadających ku brzegowi oceanu. W przerwie między nimi dostrzegła błękitną kreskę dalekiego morza – tajemniczego morza nie do przebycia. Wkrótce jego błękit pociemnieje – zachodziło bowiem białe palące słońce – i pozostanie tylko czerwona tarcza jego znacznie słabiej świecącego, chociaż stokrotnie odeń większego towarzysza.

–Przypuszczam, że musieliśmy to zrobić – powiedziała w końcu Jeryl, kierując myśli właściwie do siebie, choć pozwoliła im umknąć i Eris je przechwycił.

–Widziałas ich – odparł krótko. – Są więksi i silniejsi od nas. Chociaż nas było więcej, powstała sytuacja bez wyjścia. Myślę, że w końcu by zwyciężyli. Robiąc to, co się stało, ocaliliśmy tysiące od śmierci... albo kalectwa.

Gorycz na powrót wypełniła jego myśli i Jeryl nie miała odwagi nań spojrzeć. Zamknął przed nią najgłębsze obszary swego umysłu, lecz wiedziała, że rozpamiętuje strzaskany kikut z kości słoniowej na swym czole. Podczas wojny, z wyjątkiem jej końca, używano tylko dwóch rodzajów broni: ostrych jak brzytwa kopyt małych, prawie bezużytecznych kończyn przednich, oraz pojedynczych rogów niczym u jednoroźca. Swoim Eris już nigdy nie będzie mógł walczyć i owa strata była przyczyną wynikającej z rozgoryczenia szorstkości, którą czasem boleśnie ranił nawet tych, co go kochali.

* Eris na kogoś czekał, jednak Jeryl nie domyślała się, kim była ta osoba. Wiedziała, że w takim nastroju lepiej mu nie przerywać myśli; zachowała więc milczenie, pozostając u jego boku. Ich długie połączone ze sobą cienie kładły się na grzbiecie wzgórza.

Jeryl i Eris pochodzili z rasy, która zrządzeniem natury miała na ogół więcej szczęścia od innych, a mimo to jeden / największych skarbów nie przypadł jej w udziale. Mieli silne ciała, prężne umysły i mieszkali na żyznej planecie o umiarkowanym klimacie. Człowiekowi mogliby wydawać się dziwni, ale w żadnym wypadku odpychający. Ich lśniące, pokryte futrem ciała przechodziły w jedną potężną tylną kończynę, która pozwalała im wykonywać dziesięciometrowe susy. Dwie przednie kończyny były znacznie mniejsze i zwykle służyły do podpierania się i utrzymywania równowagi. Zaopatrzone w ostre spiczaste kopyta mogły w walce zadawać śmiertelne ciosy, ale poza tym nie miały żadnego zastosowania.

Zarówno Atheleńczycy, jak ich kuzyni Mithranie, mieli sprawne umysły, które pozwoliły im osiągnąć bardzo wysoki poziom w rozwoju matematyki i filozofii, ale zupełnie nie panowali nad światem fizycznym. Domy, narzędzia, ubranie – wszelkiego rodzaju przedmioty materialne

•119

były im zupełnie obce. Istoty, które mają ręce, macki czy inne organy chwytne, mogłyby, uznać ich kulturę za niewiarygodnie ograniczoną, ale tak to jest z adaptacją mózgu i siłą przyzwyczajenia, że Atheleńczycy nie zdawali sobie sprawy ze swego upośledzenia i nte

wyobrażali sobie innego życia. Było dla nich rzeczą naturalną, że dużymi stadami wędrowali po żyznych równinach, zatrzymując się tam, gdzie znajdowali obfitość pożywienia, a gdy się wyczerpało, ruszali dalej. To wędrowne życie pozostawiało im dość wolnego czasu na filozofię, a nawet na zajmowanie się pewnymi dziedzinami sztuki. Zdolności telepatyczne jeszcze nie pozbawiły ich głosu, mogli więc rozwinąć urozmaiconą wokalistykę, nie mówiąc o choreografii. Najbardziej byli jednak dumni ze swych zdolności intelektualnych: od tysięcy pokoleń ich umysły penetrowały mgliste nieskończoności metafizyki. O fizyce, a w istocie o wszystkich naukach o materii, nie wiedzieli nic – nawet że w ogóle istnieją.

–Ktoś się zbliża – powiedziała nagle Jeryl. – Kto to?

–Aretenon. Umówiłem się z nim tutaj.

–Jakże się cieszę. Kiedyś byliście w wielkiej przyjaźni. Zmartwiło mnie, że się pokłóciliście.

Eris zaczął nerwowo rozgrzebywać darni. Jak zawsze, kiedy był zły czy zakłopotany.

–Pogniewałem się na niego, gdy opuścił mnie w czasie piątej bitwy o równinę. Wtedy oczywiście nie wiedziałem, cjac/ego musiał odejść.*

Jeryl ze zdziwienia zrobiła wielkie oczy. gdyż nagle wszystko zrozumiała.

–Chcesz powiedzieć, że... miał coś wspólnego z Obląkaniem i zakończeniem wojny?

–Tak. Tylko bardzo niewiele osób poznało mózg lepiej od niego. Nie wiem, jaką odegrał rolę, ale na pewno ważną. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek mógł nam powiedzieć coś więcej na ten temat.

Wciąż jeszcze w znacznej odległości Aretenon sunął zygzakiem w górę po stoku wielkimi susami. Wkrótce dotarł do nich i odruchowo pochylił głowę, by zetknąć się z Erisem rogami w powszechnie przyjętym geście powitania. I wtedy cofnął głowę, ogromnie zakłopotany. Zapadło krępujące milczenie, póki Jeryl nie przyszła im z pomocą, rzucając parę konwencjonalnych uwag.

Kiedy Eris zaczął mówić, Jeryl z ulgą wyczuła, że ponowne spotkanie przyjaciela, po raz pierwszy od rozstania w złości w kulminacyjnej fazie wojny, sprawia mu wyraźną przyjemność. Ona sama nie widziała Arcte-nona znacznie dłużej i ze zdumieniem stwierdziła, że bardzo się zmienił.

Był znacznie młodszy od Erisa, lecz teraz nikt by się tego nie domyślił. Jego niegdyś złote futro pociemniało z wiekiem i Eris, w przebłysku dawnego humoru, zażartował, że wkrótce nikt nie będzie mógł odróżnić go od Mithranina.

Aretenon uśmiechnął się.

–r- Bardzo by mi się to przydało w ciągu ostatnich paru tygodni. Akurat byłem w ich kraju i pomagałem spędzać Wędrowców. Jak się domyślacie, nie cieszymy się tam zbyt wielką popularnością. Gdyby wiedzieli, kim jestem, nie sądzę, że bym uszedł z życiem... bez względu na zawieszenie broni.

–Ale to chyba nie ty kierowałeś Obląkaniem, prawda? – spytała Jeryl, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

Przez chwilę miała wrażenie, jakby myśli Aretenona okryła nagle gęsta obronna mgła, osłaniając je przed zewnętrznym światem. Potem otrzymała odpowiedź jakoś dziwnie przytłumioną i jak gdyby z daleka, co w kontaktach telepatycznych bardzo rzadko się zdarza.,

–Nie, nie ja. Ale między mną a... górą były tylko dwie osoby.

–Ja, oczywiście – odezwał się Eris nieco urażonym tonem – jestem tylko zwykłym żołnierzem i nie rozumiem takich rzeczy. Ale chciałbym jednak wiedzieć po prostu, jak tego dokonaliście. Naturalnie – dodał – ani Jeryl, ani ja nikomu o tym nie powiemy.

I znów ta sama zasłona zdawała się opadać na myśli Aretenona. Po chwili uniosła się trochę.

–Bardzo niewiele wolno mi powiedzieć. Jak dobrze wiesz, Erisie, zawsze interesowałem się mózgiem i jego funkcjonowaniem. Pamiętasz nasze zabawy, kiedy próbowałem odgadnąć twoje myśli, a ty starałaś się do tego nie dopuścić? Albo jak czasem zmuszałem cię do czegoś wbrew twojej woli?

–Dalej uważam, że z kimś obcym by ci się nie udało – powiedział Eris – i że w rzeczywistość[^] podświadomie z tobą współpracowałem.

–Wówczas tak było, ale nie teraz. Dowody są w dolinie.

Gestem wskazał ostatnich maruderów, poganianych przez strażników. Ciemna fala już prawie przepłynęła i wkrótce wejście do doliny zostanie zamknięte.

–Kiedy dorosłem – ciągnął Aretenon – coraz więcej czasu poświęcałem badaniom nad działaniem mózgu, próbując ustalić, dlaczego niektórzy z nas tak łatwo przekazują swe myśli, podczas gdy innym nigdy się to nie udaje i muszą pozostawać w izolacji i osamotnieniu, z konieczności porozumiewając się za pomocą dźwięków czy gestykulacji. Zaczęły

mnie fascynować te rzadkie przypadki całkowicie rozstrojonych mózgów u osób, które są mniej niż dziećmi.

Musiałem porzucić te studia, gdy zaczęła się Wojna. Potem, jak wiecie, pewnego dnia podczas piątej bitwy wezwali mnie. Nawet dziś nie jestem całkiem pewien, kto na to wpadł. Zabrano mnie w miejsce położone daleko stąd, gdzie spotkałem grupę myślicieli, z których wielu już znałem.

Plan był prosty, a jednocześnie przerażający. Od zarania naszej rasy wiadomo, że kiedy dwa czy trzy mózgi połączą swe myśli, to można nimi sterować w sposób, którego użyłem wobec ciebie, jakimś innym umysłem, jeśli on tego chce. Od najdawniejszych czasów korzystaliśmy z tej energii, by leczyć, a teraz mieliśmy zamiar użyć jej do niszczenia.

Były dwie główne przeszkody. Jedna wiązała się właśnie z tym dziwnym ograniczeniem naszych zdolności telepatycznych, które sprawia, że poza wyjątkowymi przypadkami, na odległość możemy porozumiewać się jedynie z kimś, kogo już znamy, natomiast z obcymi właściwie tylko w ich obecności.

Drugi, znacznie większy problem stanowiła potrzeba połączenia energii wielu mózgów, dawniej bowiem nie można było skojarzyć więcej niż dwa lub trzy. Jak nam się to udało, pozostanie naszym największym sekretem, a kiedy już tego dokonaliśmy, wydaje się to łatwe, jak zresztą wszystko. W praktyce okazało się jeszcze łatwiejsze – ponad wszelkie oczekiwania. Energia dwóch mózgów jest przeszło dwukrotnie silniejsza • niż, jednego, trzy zaś dają razem o wiele więcej energii od trzech mózgów z osobna. Ta dokładnie wyliczona zależność matematyczna jest bardzo interesująca. Wiecie, jak szybko rośnie liczba możliwych kombinacji przedmiotów w grupie wraz ze wzrostem ich liczby? Otóż podobną zależność występuje i w tym wypadku.

W końcu więc osiągnęliśmy ten nasz Zespolony Mózg. Początkowo był niestabilny i dał się utrzymać zaledwie przez kilka sekund. Wciąż nas to ogromnie wyczerpuje psychicznie i nawet obecnie możemy go utrzymać tylko przez... hm, wystarczająco długo.

Oczywiście wszystkie te eksperymenty prowadzono w wielkiej tajemnicy. Jeśli myśmy potrafili tego dokonać, mogliby to zrobić także Mith-ranie, gdyż ich mózgi są równie sprawne jak nasze. Mieliśmy pewną liczbę mithrańskich jeńców i na nich prowadziliśmy doświadczenia.

Zasłona okrywająca głębsze myśli Aretenona jakby drgnęła i zaczęła rzednąć, lecz natychmiast odzyskał nad nią panowanie.

To było najgorsze. Samo zsyłanie obłądu na daleki kraj jest już

wystarczająco straszne, ale nieskończenie straszniejsze jest na własne oczy widzieć skutki tego, co się zrobiło.

Po udoskonaleniu naszej techniki przeprowadziliśmy pierwszą próbę na dużą odległość. Ofiarą była osoba tak dobrze znana jednemu z naszych jeńców, którego umysł przejęliśmy, że bezbłędnie dała się zidentyfikować i odległość nie stanowiła żadnej przeszkody. Doświadczenie zakończyło się powodzeniem i oczywiście nikt nas nie podejrzewał.

Nie zaczęliśmy działać, póki nie nabraliśmy pewności, że nasz atak będzie na tyle druzgocący, by zakończyć wojnę. W umysłach naszych jeńców zidentyfikowaliśmy pewną liczbę Mithranów – ich- przyjaciół i krewnych – tak szczegółowo, że mogliśmy ich'wyłowić i zniszczyć. Każdy umysł, który był celem naszego ataku, dostarczał nam danych o innych osobach i w ten sposób rozszerzał się zakres naszego działania. Mogliśmy spowodować znacznie większe straty, lecz wybieraliśmy tylko osobniki płci męskiej.

–Uważacie to za wielką łaskę? – spytała Jeryl z goryczą.

–Może i nie, ale należy pamiętać, że to dobrze o nas świadczy. Natychmiast wszystko wstrzymaliśmy, gdy tylko nieprzyjaciel poprosił o pokój, a ponieważ jedynie my wiedzieliśmy, co się stało, weszliśmy do ich kraju, by naprawić wszelkie szkody. Były one stosunkowo niewielkie.

Zapadło dłuższe.milczenie. Dolina już opustoszała i zaszło białe słońce. Na wzgórzach.dął zimny wiatr, pędząc tam, gdzie nikt nie mógł za nim podążyć: nad puste morze, po którym jeszcze nikt nie podróżował. Wówczas odezwał się Eris, a jego myśli były niemal szeptem w mózgu Arete-nona.

–Nie przyszedłeś tu jedynie po to, żetiy mi o tym opowiadać, prawda? Chyba masz mi coś więcej do przekazania?

Zabrzmiało to raczej jak stwierdzenie niż pytanie.

–Tak – odparł Aretenon. – Mam dla ciebie wiadomość... wiadomość, która bardzo cię zaskoczy. Od Therodimusa.

–Od Therodimusa?! Myślałem...

–Myślałeś, że zginął, albo, co gorsza, że jest zdrajcą. Ani jedno, ani drugie, choć od dwudziestu lat mieszka na terytorium nieprzyjaciela. Mithranie traktowali go jak my i dawali mu wszystko, czego potrzebował. Jego umysł cieszy się tam uznaniem i nawet w czasie wojny go nie tknęli... Teraz chciałby się znowu z tobą zobaczyć.

Cokolwiek Eris odczuwał na wieść o swym dawnym nauczycielu, nie dał tego po sobie poznać. Może wspominał młodość pamiętając, że

Therodimus odegrał największą rolę w kształtowaniu jego umysłu. Lecz dla Aretenona, a nawet dla Jeryl, myśli jego były niedostępne.

–Co robił przez cały ten czas? – spytał w końcu Eris. – I dlaczego teraz chce się ze mną zobaczyć?

–To długa i skomplikowana historia – odparł Aretenon. – Therodimus dokonał równie doniosłego odkrycia jak nasze, i to może nawet o jeszcze poważniejszych następstwach.,

–Odkrycia? Jakiego odkrycia?

Aretenon zawahał się, w zamyśleniu spoglądając w dolinę. Wracali strażnicy, pozostawiwszy jedynie kilku potrzebnych do odnajdywania zabłąkanych jeńców.

–Znasz, Erisie, nćiszą historię tak samo jak ja – zaczął. – Około miliona pokoleń pracowało na obecny poziom naszego rozwoju. A to ogromny kawał czasu! Osiągnięty postęp zawdzięczamy niemal całkowicie naszym zdolnościom telepatycznym; bez nich niewiele byśmy się różnili od tych wszystkich zwierząt, które tak zdumiewająco nas przypominają. Bardzo się szcycimy naszą filozofią i matematyką, naszą muzyką i tańcem, ale czy kiedykolwiek pomyślałeś, Erisie, że mogą istnieć inne kierunki rozwoju kulturalnego, o których nigdy nawet nie śniliśmy? Że poza potęgą umysłu mogą istnieć jeszcze inne siły we wszechświecie?

–Nie wiem, o co ci chodzi – rzekł bez entuzjazmu Eris.

–Trudno to wytłumaczyć i nawet nie będę próbował, coś ci jednak powiem. Czy zdajesz-sobie sprawę, jak żałośnie mizerna jest nasza władza nad światem zewnętrznym, jak naprawdę bezużyteczne są te nasze kończyny? Nie... bo nie widziałeś tego, co ja. Ale to, co ci opowiem, pomoże ci chyba wiele zrozumieć.

Myśli Aretenona przeszły nagle w tonację minorową.

–Pamiętam, że kiedyś natknąłem się na kępę pięknych kwiatów o dziwnie złożonej budowie. Chciałem zobaczyć, jakie są w środku. Próbowałem więc otworzyć jeden z nich za pomocą zębów, przytrzymując go kopytami. I nie udało mi się to mimo wielokrotnych prób. W końcu, na pół oszalały z wściekłości, wdeptałem wszystkie kwiaty w ziemię..

Jeryl wyczuwała zamęt w myślach Erisa, lecz spostrzegła jego zainteresowanie i chęć dowiedzenia się czegoś więcej.

–Ja też przeżyłem coś podobnego – przyznał. – Ale cóż można poradzić? Ostatecznie czy to naprawdę takie ważne? We wszechświecie jest wiele rzeczy, które mogą nam się nie podobać.

Aretenon uśmiechnął się.

–To prawda. Ale Therodimus znalazł sposób, żeby coś z tym zrobić. No więc, wybierzesz się do niego?

–To na pewno długa podróż.

–Stąd około dwudziestu dni i będziemy musieli przejść przez rzekę.

Jeryl zauważyła, że Eris lekko zadrżał. Atheleńcy nie znosili wody z bardzo prostego i uzasadnionego powodu: zbyt ciężko zbudowani, by pływać, natychmiast tonęli.

–To jest na terytorium nieprzyjaciół i mogą im się nic spodobać.

–Oni cię szanują, dobrze byś zrobił, okazując im taki przyjacielski gest.

–Ale ja jestem potrzebny tutaj.

–Uwierz mi na słowo, że nic, co tu robisz, nie jest aż tak ważne jak to, co Therodimus ma do przekazania tobie i całemu światu,

Eris na chwilę przysłonił swe myśli, a potem szybko je odkrył.

–Zastanowię się nad tym – rzekł.

Zdumiewające, jak niewiele Aretenon powiedział w czasie ich wielodniowej podróży. Siłom broniącym dostępu do jego myśli Eris rzucał od czasu do czasu wyzwania, półżartem przypuszczając ataki odpierane jednak skutecznie i bez żadnego wysiłku. Aretenon nie chciał nic powiedzieć o broni, która ostatecznie położyła kres Wojnie, lecz Eris wiedział, że ci, co nią władali, jeszcze się nie rozeszli i w dalszym ciągu przebywają razem w swej sekretnej kryjówce. O przeszłości Aretenon nie chciał mówić, często jednak opowiadał o przyszłości z przesadnym zapalem'kogoś, kto pomaga ją kształtować i nie jest pewien, czy słusznie postępuje. Podobnie jak wielu innym przedstawicielom jego rasy, nie dawała mu spokoju myśl o tym, co zrobił, i czasami przytłaczało go poczucie winy. Często wygłaszał uwagi, które wówczas były dla Erisa zagadką, lecz miały pozostać w jego pamięci na długie lata. –

–Doszliśmy do punktu zwrotnego w naszej historii, Erisie. Odkryte przez nas moce wkrótce znajdą się w posiadaniu Mithranów, a następna wojna oznaczałaby zagładę tak samo dla nas, jak i dla nich. Przez całe życie pracowałem nad rozwojem wiedzy o mózgu, lecz obecnie zastanawiam się, czy nie wydałem na świat czegoś, co jest zbyt potężne, zbyt niebezpieczne, żebyśmy mogli się tym posługiwać. Jednak w tej chwili jest już za późno, aby dało się to cofnąć. Wcześniej czy później nasza kultura musiała dojść do tego punktu i dokonać tego samego odkrycia.

To straszny dylemat i jest tylko jedno wyjście. Nie możemy się cofnąć.

a jeśli pójdziemy dalej, prawdopodobnie spotka nas katastrofa. Musimy więc zmienić samą istotę naszej cywilizacji i całkowicie zerwać z tradycją miliona pokoleń, które były przed nami. Z pewnością nie masz pojęcia, jak tego dokonać. Ja też nie miałem, póki nie spotkałem Therodimusa, który mi opowiedział o swym marzeniu.

Umysł to cudowna rzecz, Erisie, ale sam jest bezradny we wszechświecie materii. Obecnie wiemy, jak pomnożyć moc naszych mózgów do kolosalnej potęgi, może i umiemy rozwiązywać wielkie problemy matematyczne, z- którymi borykaliśmy się od wieków. Jednak ani nasze niczym nie wspomagane mózgi, ani mózg zespolony, jaki teraz stworzyliśmy, nie mogą w najmniejszym stopniu zmienić faktu, który przez całą historię prowadził do konfliktów z Mithranami: że podaż żywności jest wielkością stałą, a nasze populacje nie.

Jeryl jedynie ich obserwowała, prawie nie włączając się do wymiany myśli, kiedy roztrząsali tę sprawę. Dyskusje toczyły się przeważnie w czasie popasów, wszystkim bowiem dużym przeżuwaczom znaczną część dnia zajmuje poszukiwanie jedzenia. Na szczęście na ziemi, przez które podróżowali, były niezwykle żyzne i właśnie to stało się jedną z przyczyn Wojny. Jeryl z zadowoleniem stwierdziła, że Eris znów zaczyna przypominać dawnego siebie. Poczucie frustrującego rozgoryczenia, które wypełniało jego myśli od wielu miesięcy, jeszcze całkowicie nie ustąpiło, ale już nie dominowało jak przedtem.

Dwudziestego dnia podróży dotarli do krańca rozległej niziny. Od dłuższego czasu przemierzali terytoria mithrańskie, ale tych kilku niedawnych przeciwników, których widzieli po drodze, okazywało im raczej zainteresowanie niż wrogość. Teraz kończyły się stepy i przed sobą ujrzeli puszcę z jej odwiecznymi zagrożeniami.

–W tej okolicy żyje tylko jeden drapieżnik i z naszą trójką nie ma żadnych szans – pocieszał ich Aretenon. – Przejście lasu zajmie nam dzień i noc. '

–Noc... w lesie! – wykrztusiła Jeryl, sztywniejąc ze strachu na samą myśl o tym.

Aretenonowi zrobiło się najwyraźniej głupio.

–Wcześniej nie chciałem o tym wspominać – usprawiedliwił się – ale naprawdę nie ma żadnego niebezpieczeństwa. Kilka razy pokonywałem tę drogę samotnie. Poza wszystkim nie ma już tych wielkich mięsożernych drapieżników, które istniały w dawnych czasach... i nie będzie tak całkiem ciemno, nawet w lesie, bo czerwone słońce jeszcze nie zajdzie.

Jeryl wciąż lekko drżała. Pochodziła z rasy, która od tysięcy pokoleń żyła na wysokich wzgórzach i rozległych nizinach, gdzie szybka ucieczka pozwalała umknąć przed niebezpieczeństwem. Na myśl o znalezieniu się wśród drzew, szczególnie w czerwonym półmroku, kiedy główne słońce nie świeciło, wpadła w popłoch. A przy tym, na wypadek walki, z całej trójki jedynie Aretenon miał róg, który nie był, zdaniem Jeryl, ani tak długi, ani tak ostry jak utracona broń Erisa.

W dalszym ciągu czuła się nieswojo, chociaż dzień spędzony w puszczy upłynął im całkowicie bez wydarzeń. Jedynymi zwierzętami, jakie widzieli, były niewielkie długógoniaste stworzenia, które biegały po drzewach z zadziwiającą zwinnością, wydając nterozumiałe dźwięki na widok przechodzących intruzów. Obserwowanie ich było świetną rozrywką, ale Jeryl obawiała się, że las nie jest tak zabawny nocą.

Miała uzasadnione obawy; kiedy ostre białe słońce schowało się za drzewami, a czerwony olbrzym rzucał wszędzie szkarłatne cienie, cały świat jakby się zmienił. W lesie szybko zapadła cisza, którą nagle przerwał jakiś bardzo daleki skowyt. Cała trójka odruchowo zwróciła się w jego stronę, ostrzeżona instynktem odziedziczonym po przodkach.

–Co to? – wykrztusiła Jeryl.

Aretenon miał przyśpieszony oddech, ale w jego odpowiedzi był spokój.

–Nie bój się – rzekł. – To bardzo daleko stąd. Nie wiem, co-to było...

Kolejno trzymali straż i noc powoli upływała. Od czasu do czasu Jeryl budziła się z niespokojnego snu, by znaleźć się w koszarnej, groźnej rzeczywistości, pełnej dziwnie powykręcanych drzew. Stojąc na warcie, w pewnej chwili usłyszała, jak gdyby coś ciężkiego przedzierało się przez las w oddali, ale ponieważ odgłosy te się nie zbliżyły, nie chciała niepokoić swych towarzyszy. W końcu niebo zaczęła wypełniać tak długo oczekiwana jasność białego słońca i znów nastał dzień.

Jeryl zauważyła, że Aretenon odczuł większą ulgę, niż dał po sobie poznać. Zachowywał się niemal jak mały chłopiec: brykał w świetle porannego słońca, w przelocie zajadając liście, które całymi pękami zrywał ze zwisających gałęzi.

–Teraz pozostało nam już tylko pół dnia drogi – odezwał się radośnie. – Do południa wyjdziemy z lasu.

Jeryl zaintrygowała jakaś nuta przekory w jego myślach. Aretenon chyba wciąż coś przed nimi ukrywał i ciekawa była, jakie jeszcze przeszkody będą musieli pokonać. Zanim nadeszło południe, już wszystko wie-x

działa, gdyż drogę zagroziła im wielka rzeka, płynąca tak wolno, jakby jej się nie śpieszyło na spotkanie z morzem.

Eris popatrzył na rzekę trochę zafrasowany, mierząc ją doświadczonym okiem.

– Jest o wiele za głęboka, żeby dała się tu przejść. Czeka nas długa droga w górę jej biegu, nim znajdziemy bród. Aretenon uśmiechnął się.

– Wręcz przeciwnie – powiedział wesoło. – Pójdziemy w dół rzeki. Eris i Jeryl spojrzeli nań zdziwieni.

– Zwariowałaś?! – wykrzyknął Eris.

– Zaraz zobaczysz. Wcale nie musimy daleko chodzić... jakoś udało wam się przejść taki kawał drogi, chyba więc możecie zaufać mi do końca.

Rzeka stawała się powoli coraz szersza i głębsza. O ile przedtem wydawała się nie\ do przebycia, to tym bardziej teraz. Eris wiedział, że czasem udaje się pokonać strumień, przechodząc po pniu obalonego drzewa, chociaż to bardzo ryzykowne. Ale ta rzeka była szeroka – jej brzegów nie połączyłoby nawet wiele drzew – i w ogóle się nie zwężała.

– Już niedaleko – rzekł w końcu Aretenon. – Poznaję to miejsce. Lada moment ktoś powinien wyjść z tamtego lasu.

Wskazał rogiem na drzewa rosnące po drugiej stronie rzeki i niemal w tej samej chwili wyskoczyły susami na brzeg trzy postacie. Jeryl zauważyła, że dwie z nich to Atheleńczycy, trzecia zaś była Mithranką.

Zbliżyli się teraz do wielkiego drzewa, stojącego nad samą wodą, ale Jeryl prawie nie zwróciła na to uwagi, gdyż bardziej interesowały ją postacie na odległym brzegu; zastanawiała się, co zamierzają zrobić. Toteż, kiedy zaskoczenie Erisa zabrzmiało niczym grzmot w jej własnych myślach, przez chwilę była zbyt oszołomiona, by uświadomić sobie jego źródło. Potem odwróciła się w stronę drzewa i spostrzegła, co zobaczył Eris/ •

Dla pewnych ras i umysłów nie ma chyba rzeczy bardziej naturalnej niż zawieszona między drzewami gruba lina, unosząca się na wodzie w poprzek rzeki. Jednak u Jeryl i Erisa widok ten wywołał strach przed nieznanym, a Jeryl przeżyła okropną chwilę myśląc, że to jakiś ogromny wąż. Zaraz się jednak zreflektowała, lecz obawy pozostały. Był to bowiem pierwszy sztuczny przedmiot, jaki kiedykolwiek widziała.

– Teraz się nie zastanawiajcie, co to jest i skąd się tu wzięło – radził im Aretenon. – Przeniesie was na drugą stronę, a w tej chwili idzie tylko o to. Spójrzcie! Ktoś się przeprawia.

Jedna z postaci na drugim brzegu zeszła do wody i zaczęła przesu128

wać się po linie za pomocą przednich kończyn. Kiedy się zbliżyła – a była to Mithranka – Jeryl spostrzegła, że do górnej części ciała ma przymocowaną drugą, znacznie cieńszą linę.

Z wprawą świadczącą o długiej praktyce nieznajoma przepawiła się przez rzekę po pływającej linie i wyszła na brzeg ociekając wodą. Wyglądało na to, że zna Aretenona, ale Jeryl nie mogła przechwycić ich myśli.

–Mógłbym przejść rzekę bez niczyjej pomocy – powiedział Are-tenon – lecz pokażę wam łatwiejszy sposób.

Załóżył pętlę pod ramiona i, skoczywszy do wody, zawiesił się przednimi kończynami na linie. Po chwili dwie pozostałe osoby szybko przeciągnęły go na drugi brzeg, gdzie wkrótce, po wielkich emocjach, dołączyli doń Eris i Jeryl.

Nie był to wprawdzie most, jakiego należałoby oczekiwać od rasy, która z łatwością mogła obliczyć wytrzymałość łuku ze zbrojonego betonu – gdyby w ogóle przyszło jej to do głowy. Jednakże spełniał swoje zadanie, a skoro go wykonano, był w każdej chwili do dyspozycji.

Skoro go wykonano. Ale... kto go wykonał?

Kiedy ich ociekający wodą przewodnicy ponownie przyłączyli się do nich, Aretenon przestrzegł swych przyjaciół.

–Obawiam się, że podczas waszego pobytu tutaj nieraz będziecie zaskoczeni. Zobaczycie pewne bardzo dziwne rzeczy, lecz kiedy wszystko pojmiecie, w ogóle przestaną was dziwić. I wkrótce rzeczywiście staną się dla was normalne.

Jeden z nieznajomych, którego myśli nie udało się pochwycić ani Erisowi, ani Jeryl, przekazał Aretenonowi jakąś wiadomość.

–Therodimus oczekuje nas – rzekł. – Bardzo pragnie was zobaczyć.

–Próbowałem nawiązać z nim kontakt, ale bez powodzenia – skarżył się Eris.

Aretenon sprawiał wrażenie trochę zakłopotanego.

–Przyznasz mi rację, że się zmienił – powiedział. – Mimo wszystko, nie widzieliście się tyle lat. Może trochę potrwać, nim nawiążesz-z nim taki kontakt jak dawniej.

Szli krętą drogą przez las, ód której co jakiś czas odchodziły w różnych kierunkach dziwne wąskie ścieżki. Eris pomyślał, że Therodimus chyba naprawdę się zmienił, jeśli na stałe zamieszkał wśród drzew. Wkrótce droga wyszła na dużą półkolistą polanę, którą przecinała niska, świecąca

białą ścianą. U jej podnóża znajdowało się kilka ciemnych otworów różnej wielkości – zapewne wejścia do jaskiń.

Zarówno Eris, jak i Jeryl mieli po raz pierwszy w życiu wejść do jaskini i nie bardzo im się to uśmiechało. Odetchnęli, gdy Aretenon kazał im zaczekać na zewnątrz, a sam ruszył ku zagadkowemu złotemu światłu, / jaśniejącemu w głębi. Po chwili w mózgu Erisa zapulsowały jakieś niewyraźne wspomnienia – wiedział, że zbliża się jego dawny nauczyciel, choć nie mógł jeszcze w pełni nawiązać z nim kontaktu myślowego.

Coś poruszyło się w mroku, a potem w świetle słońca ukazał się Therodimus. Na jego widok Jeryl wykrzyknęła z wrażenia i wtuliła głowę w grzywę Erisa, który stanął jak wryjy, chociaż cały drżący, co dotychczas nigdy mu się nie zdarzało, nawet przed bitwą. Therodimus olśniewał bowiem przepychem, jakiego nie znała jego rasa od początku swej historii. Na szyi miał wstęgę z jakimiś błyskotkami, które mieniły się w słońcu krociem kolorów, a jego ciało okrywał gruby wielobarwny materiał, cicho szeleszczący, gdy Therodimus się poruszał. Jego róg nie miał już żółtawego odcienia kości słoniowej – w cudowny sposób zmienił barwę na przepiękną purpurę, jakiej Jeryl jeszcze nie widziała.

Therodimus przez chwilę stał bez ruchu, napawając się ich osłupieniem. Potem jego gromki śmiech odbił się echem w ich myślach. I wtedy

stanął dęba – barwna szata opadła z szelestem na ziemię, a zrzucony

ruchem głowy świecący naszyjnik poleciał niczym tęcza w kąt jaskini.

Lecz róg pozostał purpurowy.

Eris miał wrażenie, że stoi na skraju głębokiej przepaści, a Therodimus wzywa go z przeciwległego brzegu. Usiłowali porozumieć się myślami, lecz nie mogli nawiązać kontaktu. Dzielili ich otchłań połowy życia, wielu bitew i niezliczonych tak różnych przeżyć: ślub Erisa z Jeryl i pamięć o ich utraconych dzieciach oraz lata spędzone przez Therodimusa w tym dziwnym kraju. Stali twarzą w twarz o kilka metrów od siebie, ale ich myśli nie mogły się połączyć.

Wówczas całą mocą swych niezrównanych umiejętności Therodimus uczynił z jego umysłem coś, czego Eris nigdy nie potrafił sobie dokładnie przypomnieć. Wiedział tylko, że te długie lata jakby się cofnęły, że oto znowu jest chętnym i gorliwym uczniem i że może rozmawiać z Therodimusem jak dawniej.

Dziwnie spało się pod ziemią, lecz nie było to tak nieprzyjemne jak noc spędzona w lesie ze świadomością jego nieznanego niebezpieczeństwa.

Zapatrzona w karmazynowy półmrok, pogłębiający się przed wejściem do niewielkiej groty, Jeryl próbowała pozbierać rozproszone myśli. Niewiele rozumiała z tego, co zaszło między Erisem a Therodimusem, ale wiedziała, że dzieje się coś niewiarygodnego. Wystarczy świadectwo jej własnych oczu: widziała dziś takie rzeczy, na które brakowało słów.

Wiele również słyszała. Kiedy mijali wejście do jednej z jaskiń, do jej uszu dotarł jakiś dziwny rytmiczny warkot, niepodobny do dźwięków wydawanych przez jakiekolwiek znane jej zwierzę. Warkot ów nie ustawał ani na chwilę, póki dał się słyszeć, a nawet jeszcze teraz miała w uszach jego niespieszny rytm. Aretenon chyba też go zauważył, ale nie okazał zdziwienia, Eris natomiast był za bardzo pochłonięty Therodimusem.

Stary filozof mówił niewiele; wolał raczej, jak sam stwierdził, pokazać im swoje królestwo, kiedy dobrze się wyśpią. Rozmowa niemal w całości dotyczyła wydarzeń w ich kraju z ostatnich kilku lat, co dla Jeryl było trochę nudne. Tylko jedno ją zainteresowało i chciała się temu lepiej przyjrzeć: ów łańcuch przepięknych kolorowych kryształów, który Therodimus miał na szyi. Nie wiedziała, z czego i jak powstał, ale zazdrościła go starcowi. Zасыpiając uświadomiła sobie, że na próżno, choć niemal całkiem serio, pomyślała, co to byłaby za sensacja, gdyby powróciła do swoich z takim cudem błyszczącym na futrze. Na niej kryształy wyglądałyby znacznie lepiej niż na starym Therodimucie.

Aretenon i Therodimus spotkali się z nimi przed jaskinią o świcie. Tym razem filozof zrezygnował ze swych regaliów, które poprzedniego dnia włożył* najwyraźniej w tym celu, by zrobić wrażenie na gościach, a jego róg wrócił do swej normalnej żółtawej barwy. To jedno było dla Jeryl zrozumiałe, zetknęła się już bowiem z owocami, których sok powodował zmianę koloru,

Therodimus usadowił się przy wejściu do groty. Zaczął swą opowieść bez żadnych wstępów i Eris domyślił się, że musiał ją już wielokrotnie powtarzać wcześniejszym gościom.

–Przybyłem tutaj, Erisie, w jakieś pięć lat po opuszczeniu naszej ziemi. Jak wiesz, zawsze interesowałem się dziwnymi krajami, a wśród Mithranów krążyły pogłoski, które bardzo mnie zaintrygowały. W jaki sposób dotarłem do ich źródła, to długa historia, a w tej chwili nic o to idzie. Tę rzekę przeszedłem latem, daleko stąd, w górnym jej biegu, kiedy stan wody był bardzo niski. Można to zrobić tylko w jednym miejscu i wyłącznie w najbardziej suchych latach. Jeszcze wyżej rzeka płynie przez góry, które, jak przypuszczam, są nie do przebycia. Jest to więc prawdziwa wyspa, niemal całkowicie odcięta od terytoriów mithrańskich.

To wyspa, ale nie bezludna. Jej mieszkańcy, Philenowie, mają bard/o rozwiniętą kulturę, zupełnie inną niż nasza. Niektóre z wytworów tej kultury już widzieliście.

Jak wam wiadomo, na naszej planecie żyje sporo różnych ras i wiele z nich ma rozwiniętą inteligencję, lecz dzieli je od nas przepaść. O ile wiemy, tylko my jesteśmy zdolni do

abstrakcyjnego myślenia i złożonego logicznego rozumowania.

Philenowie to rasa znacznie młodsza od naszej, stanowiąca ogniwo pośrednie między resztą zwierząt a nami. Zamieszkują tę dość dużą wyspę od kilku tysięcy pokoleń, jednak tempo ich rozwoju jest o wiele, wiele szybsze od naszego. Nie mają i nie pojmują naszych zdolności telepatycznych, ale posiadają coś. czego możemy im pozazdrościć i co zadecydowało o tak niewiarygodnie szybkim rozwoju ich cywilizacji pod każdym względem,

Therodimus przerwał i wstał.

–Pozwólcie za mną – rzekł. – Pokażę wam Philenów.

Zaprowadził ich do jaskiń, z których wyszedł poprzedniego wieczoru w towarzystwie Aretenona, i zatrzymał się tam, skąd dochodził ów dziwny rytmiczny warkot. Dźwięk ten był teraz głośniejszy i Jeryl słyszała go wyraźniej. Spostrzegła, że Eris zachowuje się tak, jakby zauważył go dopiero w tej chwili. Wówczas Therodimus ostro gwizdnął i natychmiast warkot zaczął cichnąć, opadając kolejnymi oktawami coraz niżej, aż w końcu zupełnie ustał. Po chwili z półmroku wyłonił się jakiś cień.

Było to niewielkie stworzenie, wzrostem sięgające im zaledwie do pasa; nie skakało jak oni, lecz chodziło na dwóch cienkich, słabych kończynach, zaopatrzonych w stawy. Na swej dużej kulistej głowie rniało troje ogromnych, szeroko rozstawionych oczu, które poruszały się niezależnie od siebie. Nawet mimo najlepszych chęci Jeryl nie mogłaby uznać jego wyglądu za atrakcyjny.

Therodimus ponownie zagwizdał i stworzenie wyciągnęło do nich swe przednie kończyny.

–Patrzcie uważnie – powiedział bardzo cicho – a znajdziecie odpowiedź na wiele swoich pytań.

Dopiero teraz Jeryl zauważyła, że przednie kończyny stworzenia są pozbawione kopyt i naprawdę w niczym nie przypominają nóg czy łap znanych jej dotychczas zwierząt. Na końcach przechodziły w co najmniej tuzin cienkich, giętkich macek i dwa haczykowate pazury.

–Podejdź doń, Jeryl – rzekł Therodimus. – Ma coś dla ciebie. Jeryl z wahaniem ruszyła naprzód. Zauważyła na ciele stworzenia

dwa skrzyżowane pasy z jakiegoś ciemnego materiału, na których wisiały trudne do rozpoznania przedmioty. Stworzenie sięgnęło do jednego z nich i uniosło klapę przykrywającą wydrążenie, w którym coś połyskiwało. Niewielkie macki schwyciły cudowny kryształowy naszyjnik, który Philen tak zręcznie narzucił Jeryl na szyję, że niemal tego nie spostrzegła.

Therodimus udał, że nie widzi jej wzruszenia i wdzięczności, ale w głębi swego bystrego umysłu był bardzo zadowolony. Teraz, bez względu na to, co zamierza zrobić, będzie miał w Jeryl sojusznika. Jednak z Erisem nie pójdzie mu równie łatwo; tu nie wystarczy zwykła logika. Jego dawny uczeń tak bardzo się zmienił i przeszłość zadała mu tak głębokie rany, że Therodimus nie mógł być pewny powodzenia. Lecz powziął pewien plan, który miał nawet i to obrócić na jego korzyść.

Znowu zagwizdał, na co Philen dziwnie poruszył rękami i zniknął w jaskini. Po chwili na nowo usłyszeli ten zagadkowy warkot, ale obecnie ciekawość Jeryl przyćmiewał zachwyt nad jej nowym nabytkiem.

–Pójdziemy przez las do najbliższego osiedla – odezwał się Therodimus. – To niedaleko stąd. Philenowie nie żyją na otwartej przestrzeni jak my. Właściwie różnią się od nas prawie pod każdym względem. Obawiam się nawet – dodał ze smutkiem – że mają lepszy charakter niż my, i wierzę, że kiedyś będą od nas inteligentniejsi. Przede wszystkim jednak pozwólcie, że wam powiem, czego się o nich dowiedziałem, abyście mogli zrozumieć moje zamierzenia.

Ewolucja umysłowa każdej rasy jest chyba najbardziej uwarunkowana czynnikami fizycznymi, które dana rasa traktuje jako coś zwykłego, jako część naturalnego porządku rzeczy. Cudownie wrażliwe ręce pozwoliły Philenom ustalić pewne fakty w wyniku prób i doświadczeń dziesiątki tysięcy razy szybciej niż jedynemu inteligentnemu gatunkowi, żyjącemu na tej planecie, który dochodził do tego samego drogą dedukcji. W dość wczesnym okresie swej historii Philenowie wynaleźli proste narzędzia. Od tego przeszli do tkanin, garncarstwa i wykorzystania ognia. Kiedy dotarł do nich Therodimus, używali już tokarki i koła garncarskiego, a niebawem wkroczyli w swą pierwszą epokę metalu, ze wszystkimi jej konsekwencjami.

W sferze czysto umysłowej nie robili tak szybkich postępów. Byli mądrzy i zdolni, lecz nie lubili abstrakcyjnego myślenia, a ich matematyka miała charakter czysto empiryczny. Wiedzieli, na przykład, że trójkąt

r33

o stosunku boków jak trzy do czterech i pięciu jest trójkątem prostokątnym, ale nie podejrzewali, że to tylko szczególny przypadek ogólniejszego prawa. Ich wiedza miała mnóstwo takich ogromnych luk. z których wypełnieniem nie śpieszyli się mimo pomocy Therodimusa i jego kilkudziesięciu uczniów.

Therodimusa czcili jak boga i przez całe dwa pokolenia swej krótko-wiecznej rasy byli mu we wszystkińi posłuszni, zaopatrując go we wszelkie potrzebne wytwory swego talentu. Wykonywali też nowe narzędzia i urządzenia, które sam wymyślił. Współdziałanie to okazało się niesłychanie płodne, obie bowiem rasy jak gdyby nagie wyzwoliły się z krępują-cych je więzów. Duża sprawność manualna w połączeniu z wielkimi zdolnościami umysłowymi dała owocny związek, prawdopodobnie unikalny w całym wszechświecie, i w ciągu niespełna dziesięciu lat dokonano postępu, który w zwykłych warunkach wymagałby tysiącleci.

Choć Eris i Jeryl zobaczyli wiele cudów, to jednak Arelenon miał rację mówiąc, że widok małych phileńskich rzemieślników przy pracy i ich ozdobnych czy użytkowych wytworów, wyczarowywanych z naturalnych surowców za pomocą rąk, pozwoli im zrozumieć wszystko, z czym się spotkają. Nawet owe maleńkie miasteczka i prymitywne gospodarstwa rolne wkrótce straciły dla nich swą niezwykłość i stały się częścią normalnego porządku rzeczy.

Therodimus pozwolił im napatrzeć się do woli. kiedy zapoznawali się z przejawami tej dziwnie wyrafinowanej kultury z epoki kamiennej. Ponieważ nie mieli punktu odniesienia, nie znajdowali nic niezwykłego w widoku phileńskiego garncarza, który choć ledwie potrafił zlic/yć do dziesięciu, to pod kiertfnkiem młodego matematyka mithrańskiego nadawał właściwy kształt złożonym płaszczyznom. Jak wszyscy pi.zedsta-wiciele swej rasy, Eris miał wspaniałą wyobraźnię, ale dopiero teraz uświadomił sobie, o ile łatwiejsza jest geometria, jeśli widzi się rozpatrywane formy. Choć nawet się tego nie domyślał, pewnego dnia właśnie to miało dać początek idei języka pisanego.

Jeryl najbardziej zafascynował widok maleńkich Philenek. tkających na prymitywnych krosnach. Potrafiła godzinami patrzeć na śmigające czółenka zazdroszcząc, że sama nie może tego robić. Wszystko na oko wydaje się tak proste i oczywiste – i tak całkowicie niedostępne dla niezręcznych, bezużytecznych kończyn jej ziomków.

Bardzo polubili Philenów. którzy chętnie spełniali ich życzenia i byli wzruszająco dumni ze swych' zdolności manualnych. W tym innym i osobliwym otoczeniu,.codziennie spotykając coraz to nowsze cuda. Eris wyda134

wał się dochodzić do siebie po ranach, które Wojna zadała jego psychice. Jednak Jeryl wiedziała, że w dalszym ciągu wiele pozostawało do naprawienia. Czasami w głębi jego umysłu napotykała wciąż jeszcze świeże i piekące rany, nim zdołał je ukryć, i obawiała się, że wiele z nich -jak choćby sprawa utraconego rogu – nigdy się nie zablizni. Eris nienawidził Wojny, a sposób, w jaki się skończyła, ciągle go prześladował. Poza tym Jeryl wiedziała o nie dającej mu spokoju obawie, że Wojna znów może wybuchnąć.

O tych kłopotach często rozmawiała z Therodimusem, którego już zdążyła bardzo polubić. Ciągle nie rozumiała, dlaczego ich tutaj sprowadził i co zamierzali zrobić jego zwolennicy. Therodimus nie śpieszył się z wyjaśnieniami, pragnął bowiem, żeby Jeryl i Eris sami wyciągnęli jak najwięcej wniosków. Ostatecznie jednak, piątego dnia pobytu, wezwał ich do swej groty.

–Zobaczyliście już – rozpoczął – większość tego, co mamy wam tutaj do pokazania. Wiecie, co robią Philenowie, i chyba już pomyśleliście o tym, jak bardzo wzbogaci się nasze życie, jeśli będziemy mogli skorzystać z wytworów ich umiejętności. To była moja pierwsza myśl, kiedy tu dotarłem tyle lat temu.

Był to pomysł oczywisty i poniekąd naiwny, lecz prowadził do znacznie ważniejszego wniosku. Kiedy lepiej poznałem Philenów i zorientowałem się, jak nadzwyczaj szybko postępuje ich rozwój umysłowy, uświadomiłem sobie, w jak bardzo niekorzystnej sytuacji musiała zawsze pracować nasza własna rasa. Zacząłem się zastanawiać, o ile dalej byśmy zaszli mając takie możliwości jak Philenowie. To nie tylko kwestia wygody czy umiejętności wykonywania różnych pięknych rzeczy, jak choćby ten twój naszyjnik, Jeryl, ale sprawa o wiele głębsza. To różnica między ignorancją a wiedzą, między słabością a siłą.

Rozwijamy nasze umysły i tylko umysły, aż dojdziemy do miejsca, z którego dalej nie ruszymy. Jak wam powiedział Aretenon, stoimy wobec niebezpieczeństwa zagrażającego całej naszej rasie. Grpźby broni, przed którą nie ma obrony.

A rozwiązanie tego problemu znajduje się dosłownie w rękach Philenów. Musimy Wykorzystać ich umiejętności, by przekształcić nasz świat i w ten sposób usunąć przyczynę wszystkich wojen. Musimy zacząć od nowa i przebudować fundamenty naszej kultury. Nie będzie ona jednakże wyłącznie naszą własnością'- będziemy ją dzielić z Philenami. Oni dadzą ręce – my mózgi. Och, jakże marzę o świecie, który dopiero nadejdzie za setki lat, a w którym nawet owe cuda, jakie widzicie wokół siebie.

będą uważane za dziecinne zabawki! Lecz filozofów jest niewielu, a ja potrzebuję argumentu konkretniejszego niż marzenia. Być może znalazłem taki ostateczny argument, ale nie jestem pewien.

–Zaprosiłem cię tutaj, Erisie, częściowo dlatego, że pragnąłem odnowić naszą starą przyjaźń, a po części z tego powodu, że twoje słowo znaczy teraz o wiele więcej od mojego. Jesteś wśród swoich bohaterem, a i Mithranie będą cię słuchali. Chcę, żebyś powrócił, zabrawszy ze sobą kilku Philenów oraz niektóre ich wyroby. Pokażesz wszystko swoim i poprosisz ich o przysłanie nam tutaj młodych ludzi do pomocy w pracy.

Nastąpiła przerwa, podczas której Jeryl nie udało się przechwycić myśli Erisa. Ten zaś po chwili odezwał się z wahaniem:

–Ale ja wciąż nie rozumiem. Rzeczy wytwarzane przez Philenów są bardzo piękne, a niektóre z nich i bardzo przydatne. Lecz w jaki sposób zdołają nas tak głęboko zmienić, jak ty wydajesz się sądzić?

Therodimus westchnął. Eris nie potrafił wyrwać się z terażniejszości i spojrzeć daleko w przyszłość. W przeciwieństwie do Therodimusa nie dostrzegął obietnicy ukrytej w narzędziach i pracowitych rękach Philenów – rysujących si*ę możliwości zbudowania pierwszej maszyny. Może tego nigdy nie zrozumie, ale niewykluczone, że da się jeszcze przekonać.

Ukrywając swe najgłębsze myśli Therodimus mówił dalej:

–Zapewne niektóre z tych rzeczy są zabawkami, Erisie... lecz mogą okazać się potężniejsze, niż myślisz. Wiem, że Jeryl niechętnie rozstałaby się ze swoją... i chyba znajdę coś, co przekona i ciebie.

Eris potraktował to sceptycznie, a Jeryl zauważyła, że był w jednym ze swych najgorszych nastrojów.

–Bardzo wątpię – rzekł.

–No, cóż, ja jednak spróbuję.

Therodimus zagwizdał i przybiegł jakiś Philen. Przez chwilę ze sobą rozmawiali.

–Zechcesz mi towarzyszyć, Erisie? To trochę potrwa.

Jeryl i Aretenon pozostali na miejscu na prośbę Therodimusa; Eris ruszył za nim. Wyszli z dużej groty i udali się w stronę mniejszych jaskiń, używanych przez Philenów do różnych zajęć.

Uszy Erisa wypełnił głośny warkot, a ponieważ światło lamp olejnych było zbyt słabe dla jego

oczu, przez pewien czas nie mógł zobaczyć źródła tego dziwnego dźwięku. Po chwili dostrzegł jakiegoś Philena pochylonego nad drewnianym stołem, na którym coś szybko się obracało, napędzane pedałem naciskany przez drugie z tych małych stworzeń. Widział już garncarzy używających podobnego urządzenia. Obrabiało drewno, nie

glinę, a palce garncarza zastępował ostry metalowy nóż, z którego w fascynujących spiralach sphywały długie, cienkie wionf. Philenowie, którzy nie lubili bezpośredniego światła słonecznego, swymi ogromnymi oczyma doskonale widzieli w półmroku, ale nim Erią zorientował się, co oni tam robią, upłynęło sporo czasu. Potem nagle zrozumiał

–Aretenonie – odezwała się Jeryl, kiedy tamci odeszli – dlaczego Philenowie mieliby to wszystko dla nas robić? Oni są chyba i tak całkiem szczęśliwi?

Aretenon pomyślał, że to pytanie, typowe dla JeryJ, z ust Erisa nigdy by nie padło.

–Zrobią wszystko, co im powie Therodimus – odparł. – Ale nawet Niezależnie od tego, my też możemy dać im wiele. Kiedy zastanowimy się nad ich problemami, znajdziemy rozwiązania, które im nigdy by nie przyszły do głowy. Bardzo chętnie się uczą i chyba już przyśpieszyliśmy rozwój ich k'ultury o setki pokoleń. Są przy tym bardzo słabi fizycznie. Chociaż nie jesteśmy tak zręczni jak oni, nasza siła umożliwia im to, o co bez niej nawet by się nie pokusili.

Spacerując bez celu, doszli do brzegu rzeki, gdzie na chwilę się'zatrzymali, by popatrzeć na jej wody niespiesznie płynące do morza. Jeryl ruszyła w górę rzeki, lecz Aretenon ją powstrzymał.

–Therodimus na razie nie życzy sobie, żebyśmy tam chodzili – wyjaśnił. – To jeszcze jeden z tych jego małych sekretów. Bardzo nie lubi ujawniać swych projektów przed ich realizacją.

Z lekka dotknięta, choć wyraźnie zaciekawiona Jeryl posłusznie się cofnęła. Oczywiście pójdzie tam, gdy tylko w pobliżu nie będzie nikogo.

Było tu bardzo spokojnie i ciepło wśród drzew. Jeryl prawie zupełnie przestała bać się lasu, chociaż zdawała sobie sprawę, że nigdy nie będzie czuła się w nim zbyt dobrze.

Aretenon wyglądał na bardzo zadumanego, ale Jeryl wiedziała, że chce coś powiedzieć i tylko porządkuje myśli. Wkrótce zaczął mówić w ten swobodny sposób, możliwy jedynie między osobami, które się lubią, lecz nie są związane ze sobą uczuciowo.

–Wiesz, Jeryl – zaczął – to bardzo trudno tak odwrócić się tyłem do dzieła całego życia. Niegdyś miałem nadzieję, że te nowe potężne siły, które odkryliśmy, dadzą się używać bezpiecznie; teraz wiem, że to niemożliwe, przynajmniej przez wiele stuleci. Therodimus miał rację: samymi mózgami niczego więcej nie dokonamy. Nasza kultura jest beznadziejnie

jednostronna, choć nie z naszej winy. Nie rozwiążemy podstawowego problemu wojny i pokoju bez takiej władzy nad światem fizycznym, jaką mają Philenowie... i jaką mamy nadzieję od nich zapożyczyć.

Być może nasze umysły czekają tutaj inne wielkie przygody, które sprawią, że zapomnimy o tym, czego będziemy musieli zaniechać. W końcu będziemy mogli nauczyć się czegoś od Natury. Jaka jest różnica między ogniem a wodą, między drewnem i kamieniem? Czym są nasze słońca i te miliony białych światełek, jakie widzimy na niebie, kiedy oba zachodzą? Może odpowiedzi na te wszystkie pytania znajdziemy na końcu tej nowej drogi, którą musimy pójść.

Przerwał.

–Nowa wiedza... nowa mądrość... w dziedzinach, jakie dotychczas nigdy nam się nie śniły. Może to odwróci od nas niebezpieczeństwa, z jakimi się zetknęliśmy, gdyż z całą pewnością nic, czego nauczymy się od Natury, nigdy nie będzie tak wielkim zagrożeniem jak to, które odkryliśmy w naszych własnych umysłach.

Co'ś nagle przerwało tok myśli Aretetiona.

–Sądzę, że Eris chce się z tobą widzieć – rzekł po chwili.

Jeryl zastanowiło, dlaczego Eris nie przekazał tego bezpośrednio jej. Zaintrygował ją również cień rozbawienia – a może było to coś innego? – w myślach Aretenona.

Nie widzieli nawet śladu Erisa, kiedy zbliżali się do jaskiń, ale czekał na nich i wypadł susami na słońce, zanim dotarli do wejścia. A później, gdy podszedł, Jeryl wydała mimowolny okrzyk i aż cofnęła się parę kroków.

Erisowi bowiem niczego nie brakowało. Z jego czoła zniknął potrząskany kikut: zamiast niego błyszczał nowy róg, nie mniej wspaniały od tego, który stracił.

W spóźnionym geście powitania Eris zetknął się rogami z Arete-nonem. Potem z radości popędził w las wielkimi susami – zdążył tylko połączyć się w myślach z JeryU co po Wojnie rzadko mu się zdarzało.

–Zostawcie go – łagodnie powiedział Therodimus. – Chce być sam. Zdaje mi się, że kiedy wróci, dostrzeżecie w nim... zmianę. Zaśmiał się cicho i dodał:

–Zdolni są ci Philenowie, prawda? Może teraz Eris będzie bardziej cenił ich „zabawki”.

–Wiem, że się niecierpliwię – rzekł Therodimus – ale jestem już bardzo stary i chcę zobaczyć początek zmian, zanim umrę. Dlatego

imam się tylu przedsięwzięć w nadziei, że przynajmniej niektóre z nich zakończą się powodzeniem. Ale w tym jednym pokładam największą wiarę.

Na chwilę zatopił się w myślach. Nawet co setny spośród jego własnych ziomków nie mógł w pełni dzielić z nim tego marzenia. Choćby sam Eris: mimo że teraz w nie wierzył, to jednak kierował się raczej sercem niż rozumem. Może jego realność dostrzegał Aretenon – ten błyskotliwy i subtelny Aretenon. tak rozpaczliwie pragnący unieszkodliwić moce, które dał światu. Lecz jego myśli były spośród wszystkich najbardziej nieprzeniknione, chyba że sam chciał je odkryć.

–Wiecie równie dobrze jak ja – ciągnął Therodimus, kiedy podążali w górę rzeki – że nasze wojny miały tylko jedną przyczynę: brak żywności. Na tym kontynencie razem z Mithranami znajdujemy się w pułapce jej ograniczonych ilości, których w żaden sposób nie umiemy zwiększyć. Zawsze wisiało nati nami widmo głodu, a choć chępnymi się inteligencją, nie potrafimy nic na to poradzić. O. tak. kopytami naszych przednich kończyn mozolnie wygrzebaliliśmy parę kanałów nawadniających, lecz nie na wiele się zdały!

Philcnowie odkryli sposób uprawy, który wielokrotnie zwiększa urodzajność ziemi. Wierzę, że możemy zrobić to samo. o ile przystosujemy ich narzędzia do naszych potrzeb. To pierwsze i najważniejsze zadanie, ale nie tego najbardziej pragnę. Ostatecznym rozwiązaniem naszego problemu, Erisie, musi być odkrycie nowych dziewiczych terenów, dokąd wyemigruje cały nasz lud.

Uśmiechnął się widząc ich zdumienie.

–Nie. nie sądzcie, że oszalałem. Jestem pewien, że takie tereny naprawdę istnieją. Kiedyś stałem na brzegu oceanu i obserwowałem wielkie stado ptaków przylatujących skądś zza morza. Widziałem też, jak odlatują, a robiły to tak zdecydowanie, że w moim przekonaniu musiały lecieć do jakiegoś innego kraju. Myślami podążyłem za nimi.

–Nawet jeśli twoje przypuszczenia odpowiadają prawdzie, a zapewne tak jest – odezwał się Eris – to co nam z tego przyjdzie? Wskazał na płynącą obok rzekę.

–W wodzie toniemy – ciągnął – a ty nie skonstruujesz liny. na której moglibyśmy... – Jego myśl rozplynęła się nagle w chaosie pomysłów.

Therodimus uśmiechnął się.

–A więc odgadłeś, co mam nadzieję zrobić. Otóż zaraz się przekonasz, czy masz rację.

Dotarli do płaskiego odcinka brzegu, na którym, pod nadzorem kilku pomocników Therodimusa, zawzięcie pracowała grupa Philenów. Nad wodą leżała jakaś dziwna konstrukcja, w której Eris rozpoznał powiązane linami pnie drzew.

Zafascynowani obserwowali metodyczną krzątanie, osiągającą właśnie punkt kulminacyjny. Silnie ciągnięta i pchana tratwa ciężko zsunęła się do rzeki z potężnym pluskiem. Jeszcze nie opadły rozbryzgi, a już jakiś młody Mithranin skoczył z brzegu i uszczęśliwiony zaczął tańczyć po balach, które teraz szarpały się na cumach, jakby chciały je zerwać i popłynąć wraz z rzeką do morza. Wkrótce dołączyli do niego pozostali ciesząc się, że panują nad nowym żywiołem. Nieduzi Philenowie, którzy nie mogli wykonać tak długiego skoku, stali cierpliwie na brzegu, przyglądając się swym rozradowanym panom.

Scenę tę przepajało radosne podniecenie, które każdemu rzucało się w oczy, ale chyba niewielu z obecnych zdawało sobie sprawę, że to punkt zwrotny w historii. Jedynie Therodimus stał nieco z boku, zatopiony we własnych myślach. Wiedział, że ta prymitywna tratwa to tylko początek. Należy ją jeszcze wypróbować na rzece, a potem na przybrzeżnych wodach oceanu. Potrwa to całe lata i on prawdopodobnie nigdy nie zobaczy pierwszych podróżników, powracających z tych wspaniałych krajów, których istnienie było wciąż zaledwie domysłem. Ale zaczętego dzieła dokończą inni.

Nad lasem przeleciało stado ptaków. Therodimus patrzył, jak odlatują, i zazdrościł im swobody w poruszaniu się nad lądem i morzem. Dla dobra swej rasy rozpoczął już podbój wody, lecz nawet on nie wyobrażał sobie, że pewnego dnia również niebo może do nich należeć.

Aretenon i Jeryl wraz z całą wyprawą byli już na drugiej stronie rzeki, gdy Eris żegnał się z Therodimusem. Tym razem podczas przeprawy nie zmoczyła ich nawet jedna kropla wody. tratwę bowiem splanowano w dół rzeki, gdzie oddawała cenne usługi jako prom. Budowano już nowy, znacznie ulepszony model, ponieważ z przykrością stwierdzono, że prototyp nie ma dostatecznej dzielności morskiej. Te początkowe trudności miały zostać szybko pokonane przez projektantów, którzy wprawdzie byli zmuszeni używać narzędzi z epoki kamiennej, lecz z łatwością posługiwali się matematycznymi formułami stateczności, pływalności i hydrodynamiki.

–Czeka cię niełatwe zadanie – rzekł Therodimus – bo nie możesz

pokazać swoim tego wszystkiego, co tu zobaczyłeś. Początkowo musi ci wystarczyć zasianie nasienia – żeby wzbudzić zainteresowanie i ciekawość, szczególnie u młodych, którzy przybędą tutaj na dalszą naukę. Możesz natrafić -na opory; spodziewam się tego. Lecz za każdym twoim powrotem do nas pokażemy ci nowe rzeczy, które zwiększą siłę twojej argumentacji.

Zetknęli się rogami, a potem Eris odszedł, zabierając ze sobą wiedzę, która miała zmieniać świat – z początku powoli, a później coraz szybciej. Kiedy już przełamał się pierwsze bariery, a Mithranie i Atheleńczycy otrzymają, proste narzędzia, które przymocują do swych kończyn przednich, by używać ich bez niczyjej pomocy, wówczas postęp nabierze rozmachu. Tymczasem jednak muszą we wszystkim zdać się na Philenów. tych zaś jest tak niewielu.

Thcrodimus odczuwał uzasadnione zadowolenie. Rozczarował się tylko pod jednym względem: oczekiwał, że Eris, który zawsze był jego ulubieńcem, może zostanie również jego następcą. Ten Eris, który obecnie wracał do swoich, pozbył się już goryczy i obsesyjnych myśli o sobie, ponieważ miał misję do spełnienia i nadzieję na przyszłość. Brakowało mu jednak 'ostrego, dalekowzrocznego widzenia, niezbędnego następcy; to Aretenon będzie musiał kontynuować zapoczątkowane dzieło. The-rodimus nic na to nie poradzi, a tymczasem o tych sprawach może nie myśleć. Był bardzo stary, lecz wiedział, że jeszcze wielokrotnie spotka się z Erisem tutaj nad rzeką, u wejścia do swej ziemi.

Promu już nie było, a choć Eris o tym wiedział, stanął zdumiony rozpiętością mostu nieznacznie kołyszącego się na wietrze. Wykonaniem odbiegał nieco od projektu – sporo skomplikowanych obliczeń pochłonęło jego paraboliczne zawieszenie – niemniej jednak był pierwszym w historii wielkim dziełem techniki. Aczkolwiek zbudowano go całkowicie z drewna i lin. swym kształtem zapowiadał przyszłe giganty z metalu.

Eris zatrzymał się w połowie mostu. Widział dym unoszący się ze stoczni położonych nad oceanem i zdawało mu się, że dostrzega mas/ty kilku nowych statków, budowanych dla potrzeb żeglugi przybrzeżnej. Aż trudno uwierzyć, że po raz pierwszy przeprowadził się przez tę rzekę, zawieszony na linie, po której przeciągnięto go na drugą stronę.

Aretenon oczekiwał ich na drugim brzegu. Poruszał się już jakby wolniej, lecz jego oczy wciąż jaśniały dawną żywą inteligencją. Serdecznie przywitał Erisa.

–Jcstcm rad, K zjawileś się właśnie tera/. Akurat w samą porę. Eris wiedział, że to mogło oznaczać tylko jedno.

–Statki wróciły?

–Prawie. Dostrzeżono je na horyzoncie godzinę temu. Powinny tu być łąda chwila i wtedy nareszcie poznamy prawdę, po tylu latach. Szkoda tylko...

Jego myśl zanikła, lecz Eris mógł sam ja dokończyć. Podeszli do kamiennej piramidy z prochami Therodimusa – Therodimusa, który inspirował wszystko, co widzieli, ale nigdy się nie dowie, czy ziściło się jego najbardziej wypieszczone marzenie, czy też nie.

Znad oceanu zbliżała się burza, więc pośpieszyli nową drogą, która biegła brzegiem rzeki. Od czasu do czasu mijaly ich niewielkie łodzie, dotąd nie znane Erisowi, a płynący nimi Atheleńcy albo Mithranie używali wiosł z drewna, przymocowanych paskami do przednich kończyn. Erisowi zawsze wielką przyjemność sprawiał widok tego rodzaju nowych podbojów, nowych przejawów wyzwalań się jego ludu z odwiecznych okowów. Jednak czasem jego pobratymcy przypominali mu puszczone wolno dzieci, które nagle znalazły się w jakimś cudownym nowym świecie, pełnym pasjonujących i ciekawych rzeczy do zrobienia bez względu na to, czy są one pożyteczne czy nie. Ale wszystko, co mogło z nich uczynić lepszych żeglarzy, było bardziej niż pożyteczne. W ciągu minionych dziesięciu lat Eris odkrył, że inteligencja to nie wszystko – w zdobywaniu pewnych umiejętności nie pomoże nawet największy wysiłek umysłowy. Choć jego ziomkom na ogół udało się pokonać strach przed wodą, to jednak wobec oceanu w dalszym ciągu byli bezradni: Philenowie zatem stali się pierwszymi w świecie nawigatorami.

Jeryl zaczęła się niespokojnie rozglądać, gdy po morzu przetoczył się pierwszy grzmot. Wciąż nosiła naszyjnik, tak dawno temu otrzymany od Therodimusa, ale teraz nie była to, już jedyna jej ozdoba.

–Mam nadzieję, że statkom nic nic grozi – odezwała się z troską.

–Wiatr nie jest zbyt silny, a one wytrzymają o wiele gorszy sztorm – pocieszał ją Aretenon, kiedy wchodzili do jego groty.

Eris i Jeryl rozglądali się z żywym zainteresowaniem w poszukiwaniu cudów zrobionych przez Philenów podczas ich nieobecności, lecz jeśli nawet coś było, to jak zwykle pozostanie w ukryciu, póki 'Aretenon nie będzie gotów tego pokazać. Wciąż bowiem lubił, trochę jak dziecko, bawić się w takie małe niespodzianki i tajemnice.

Spotkaniu towarzyszyła atmosfera roztargnienia, która zaintrygowałaby postronnego obserwatora, nie znającego jej przyczyny. Kiedy

Eris mówił o zachodzących w świecie zmianach, o powodzeniu nowych osiedli phileńskich i o stałym wzroście kultury rolnej, Aretenon słuchał jednym uchem, podobnie jak jego przyjaciele. Myślami bowiem był daleko na morzu, wychodził na spotkanie statkom, które zbliżały się, kto wie, może z najważniejszą wiadomością, jaką kiedykolwiek otrzymali.

Gdy Eris zakończył swoje sprawozdanie, Aretenon wstał i zaczął niespokojnie krążyć po izbie.

–Dokonałiście więcej, niż początkowo mogliśmy oczekiwać w naszych najśmielszych założeniach. Przynajmniej przez jedno pokolenie uniknęliśmy wojny i po raz pierwszy w dziejach zaopatrzenie w żywność, dzięki naszej nowej technice uprawy roli, przekroczyło potrzeby ludności.

Aretenon popatrzył na sprzęty w swojej izbie, z trudem przypominając sobie fakt, że w czasach jego młodości wszystko, co widział, wydawało mu się niemożliwe albo niezrozumiałe. Wtedy nie istniały nawet najprostsze narzędzia, a przynajmniej był to dopiero początek

–Mam wielką satysfakcję – rzekł. – Tak jak planowaliśmy, udało nam się zmienić kierunek rozwoju całej naszej cywilizacji, unikając grożących nam niebezpieczeństw. Moc, która wywołała Oblęd, wkrótce pójdzie w niepamięć, a nasze tajemnice zabierzemy ze sobą. Być może, kiedy nasi potomkowie ponownie je odkryją, będą na tyle mądrzy, by użyć jej właściwie. Ale odkryliśmy tak wiele cudownych rzeczy, że minie chyba niejedno pokolenie, zanim znów sięgniemy w głąb naszych umysłów, by wykorzystać drzemiące tam siły.

Wtem błyskawica rozświetliła wejście do jaskini. Burza była coraz bliżej, choć dzieliło ją od nich jeszcze kilka kilometrów. Zaczął padać deszcz i z ołowianego nieba polały się duże, wściekle bijące krople.

–Zanim przyplyną statki – rzekł całkiem nieoczekiwanie Aretenon – pójdziemy do jaskini obok zobaczyć parę nowych rzeczy, które powstały od czasu waszej ostatniej wizyty.

Była to dziwna kolekcja: na warsztacie leżały obok siebie narzędzia i wynalazki, tyóre w innych cywilizacjach dzielą tysiące lat. Skończyła się epoka kamienna, nadeszła epoka brązu i żelaza; a oto już zbudowano pierwsze prymitywne przyrządy do badań naukowych, które odsuną granice nieznanego. Prymitywna retorta świadczyła o początkach chemii, a tuż obok pierwsze soczewki oczekiwały odkrycia nowych światów, nieskończenie wielkich i nieskończenie małych.

Burza już do nich dotarła, kiedy Aretenon prezentował ostatnie z najnowszych cudów. Od czasu do czasu rzucał nerwowe spojrzenie ku

wejściu do jaskini, jakby spodziewał się posłańca z portu, ale nic im nie zakłócało spokoju poza sporadycznymi uderzeniami piorunów.

–Najważniejsze już wam pokazałem – rzekł – ale mam tutaj coś, co może wam skrócić czas oczekiwania. Jak już powiedziałem, wysłaliśmy wszędzie ekspedycje w celu zebrania i sklasyfikowania wszystkich możliwych skał w nadziei, że znajdziemy jakieś minerały, które dadzą się wykorzystać.

Zgasił światło i w jaskini zrobiło się zupełnie ciemno,

–Zaraz wasze oczy się przyzwyczają i będziecie mogli to zobaczyć -.zapewnił ich Aretenon. – Patrzcie tylko w tamten kąt.

Eris wytężał wzrok w ciemności. Z początku nie widział nic, a potem z wolna pojawiła się ledwie dostrzegalna blada niebieskawa poświata. Była tak mglista i rozproszona, że nie mógł skoncentrować na niej wzroku i machinalnie ruszył w jej stronę.

–Ja bym za blisko nie podchodził – przestrzegł go Aretenon. – Sprawia wrażenie najwykleszego minerału, ale Philenowie, którzy to znaleźli i przynieśli tutaj, mają bardzo dziwne oparzenia, chociaż w dotyku to coś jest całkiem zimne. Pewnego dnia poznamy jego tajemnicę, nie sądzę jednak, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Światło potężnej błyskawicy zalało niebo i jej blask na moment wypełnił jaskinię, rzucając na ściany niesamowite cienie. W tej samej chwili u wejścia dostrzegli jakiegoś słaniającego się Philena, który wykrzyknął coś do Aretenona swym cienkim, piskliwym głosem. Aretenon wydał gromki okrzyk triumfu, niczym jego przodkowie na polu walki w dawnych czasach, a zaraz potem strumień jego myśli zalał mózg Erisa.

–Ziemia! Znaleźli ziemię... cały nowy kontynent na nas czeka!

Erisa wypełniło uczucie triumfu i świadomość wielkiego zwycięstwa. Wyraźnie rysowała się przed nim nowa droga w przyszłość, wspaniała droga, którą pójda ich dzieci, zdobywając świat i poznając wszystkie jego sekrety. Nareszcie ujrzał jasny obraz genialnej wizji Therodimusa.

Teraz myśli swe skierował ku Jeryl, żeby podzielić się z nią tą radością, lecz jej umysł był przed nim zamknięty. Pochylając się nad nią w ciemności wyczuł, że wciąż patrzy w głąb jaskini, jakby w ogóle nie słyszała tej cudownej wieści i nie mogła oderwać oczu od owej tajemniczej poświaty.

Ciszę nocy rozdarł przewalający się po niebie grzmot spóźnionego pioruna. Eris poczuł, że Jeryl drży, próbował więc dodać jej otuchy myślami.

–Nie bój się piorunów – przemówił do niej łagodnie. – Czy jest się czego bać?

–Nie wiem – odparła Jeryl. – Boję się... lecz-nie piorunów. Och, Erisie, dokonaliśmy cudownej rzeczy i chciałabym, żeby Therodimus był tu z nami i wszystko to zobaczył. Ale dokąd nas zawiedzie... ta nasza nowa droga?

Nie dawały jej spokoju słowa, które niegdyś wypowiedział Aretenon. Pamiętała ich spacer nad rzeką, kiedy mówiąc jej o swych nadziejach rzekł: „Z całą pewnością nic, czego nauczymy się od Natury, nie stanie się tak wielkim zagrożeniem, jak to, które odkryliśmy w naszych własnych umysłach”. Słowa te obecnie zdawały się z niej drwić i rzucać cień na tę wspaniałą przyszłość, ale nie umiałyby powiedzieć, dlaczego odniosła takie wrażenie.

Jej lud był chyba jedyną rasą we wszechświecie, jaka dotarła do drugiego rozdroża, nigdy nie stanąwszy na pierwszym. Teraz muszą pójść drogą w przeszłości pominiętą i stawić czoło próbie czekającej ich na końcu, próbie, przed którą tym razem nie będzie ucieczki.

Rozpadające się w skale atomy płonęły w ciemności nikłym równym blaskiem. Blask ten, trochę przyćmiony, utrzyma się jeszcze wówczas, gdy ciała Erisa i Jeryl będą już od setek lat prochem. I tylko nieco osłabnie, kiedy cywilizacja, którą budowali, wreszcie zgłębi jego tajemnicę.

Przełożył Marek Cegiela

PRZEWAGA

Składając niniejsze oświadczenie z własnej i nieprzymuszonej woli, pragnę, z całym przekonaniem stwierdzić, że nie jest mym zamiarem wywołanie współczucia czy uzyskanie łagodniejszego wyroku. Piszę je, by odeprzeć zarzuty stawiane w niektórych kłamliwych relacjach, opublikowanych w gazetach, jakie pozwolono mi przeczytać, oraz w audycjach więziennego radiowęzła. Przedstawiają one całkowicie fałszywy obraz prawdziwej przyczyny naszej porażki, a jako wódz sił zbrojnych mojej rasy w chwili przerwania działań wojennych, uważam za swój obowiązek zaprotestować przeciwko takiemu skalowaniu tych, co służyli pod moimi rozkazami.

Ponadto mam nadzieję, że niniejsze oświadczenie pozwoli wyjaśnić powody, dla których dwukrotnie zwracałem się do Sądu z prośbą o wysłuchanie mnie, i obecnie skłoni Go do uczynienia mi tej łaski, gdyż nie widzę żadnych podstaw do odmowy.

Główna przyczyna naszej porażki okazała się prosta i, wbrew przeciwnym twierdzeniom, nie był nią brak odwagi naszych żołnierzy czy jakiś błąd floty. Pokonało nas tylko jedno: niższy poziom nauki u naszych wrogów: Powtarzam: niższy poziom nauki u naszych wrogów.

Kiedy wojna się zaczęła, nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że odniesiemy ostateczne

zwycięstwo. Połączone floty naszych sojuszników znacznie przewyższały liczbą i uzbrojeniem siły zebrane przez wroga przeciwko nam, a prawie we wszystkich dziedzinach nauki wojennej mieliśmy nad nim przewagę. Byliśmy pewni, że ją utrzymamy. Nasze przekonanie okazało się, niestety, aż za bardzo uzasadnione.

Na początku wojny główną naszą bronią były samonaprowadzające się torpedy dalekiego zasięgu, sterowane pioruny kuliste i różne wersje wiązki Klydona. Wyposażono w nie wszystkie jednostki floty, a choć nasi wrogowie dysponowali podobną bronią, ich urządzenia miały na ogół mniejszą moc. Ponadto za nami stała znacznie większa Wojskowa Orga146

nizacja Naukowa, a mając taką przewagę na początku, w żaden sposób nie mogliśmy przegrać.

Kampania rozwijała się zgodnie z planem do Bitwy pod Pięcioma Słońcami. Oczywiście wygraliśmy ją, lecz opór okazał się silniejszy, niż oczekiwano. Zdaliśmy sobie sprawę, że zwycięstwo może się opóźnić i trudniej będzie je osiągnąć, niż początkowo zakładano. W celu omó-'';':r>ia przyszłej strategii zwołaliśmy więc naradę dowódców najwyższej rangi. •

Po raz pierwszy w naszych naradach wojennych uczestniczył generał profesor Norden, nowy szef Sztabu Naukowego, powołany na to stanowisko, by wypełnić lukę spowodowaną śmiercią Malvara, naszego najwybitniejszego naukowca. Kierownictwo Malvara bardziej niż cokolwiek przyczyniło się do zwiększenia skuteczności i siły naszych broni. Jego śmierć była bardzo ciężkim ciosem, lecz nikt nie wątpił w błyskotliwość jego następcy, choć wielu z nas kwestionowało celowość powołania naukowca-teoretyka na tak ważne stanowisko. Jednakże naszych wątpliwości nie uwzględniono.

Bardzo dobrze pamiętam, jakie wrażenie zrobiło wystąpienie Nordena podczas tej narady. Zaniepokojeni doradcy wojskowi zwrócili się z prośbą o pomoc, jak zwykle, do naukowców. Spyтали ich, czy możliwe jest ulepszenie istniejących broni, by jeszcze zwiększyć naszą ówczesną przewagę.

Odpowiedź Nordena była całkiem nieoczekiwana. Malvarowi często zadawano takie pytania i zawsze robił to, o co prosiliśmy.

–Szczerze mówiąc, panowie, mam co do tego wątpliwości – rzekł Norden. – Praktycznie nasze obecne bronie są skończenie doskonałe. Nie chciałbym krytykować mojego poprzednika ani znakomitej pracy Sztabu Naukowego przez ostatnie kilka pokoleń, ale czy panowie zdają sobie sprawę, że od ponad stu lat w uzbrojeniu nie nastąpiła żadna zasadnicza zmiana? Obawiam się, że to skutek konserwatywnych tradycji. Zbyt długo bowiem Sztab Naukowy zajmuje się udoskonalaniem starej broni, zamiast opracowywać nowe jej rodzaje. Na szczęście nasi przeciwnicy nie są mądrzejsi, ale nie możemy zakładać, że tak będzie zawsze.

Słowa Nordena zaniepokoiły obecnych, co niewątpliw/ie było jego zamiarem. Szybko poszedł za ciosem.

–Potrzebujemy teraz nowych broni... zupełnie innych niż stosowane dotychczas. Można stworzyć takie bronie, lecz to oczywiście wymaga czasu, ale od chwili podjęcia twoich obowiązków zastąpiłem niektórych starszych naukowców ludźmi młodymi i skierowałem uwagę na kilku bardzo obiecujących dotychczas nie zbadanych dziedzin. W istocie jestem

przekonany, że wkrótce czeka nas rewolucja w sposobie prowadzenia wojny. My natomiast mieliśmy wątpliwości. Norden mówił napuszonym tonem, czym wzbudził nasze podejrzenia co do jego twierdzeń. Wówczas jeszcze nie wiedzieliśmy, że nigdy niczego nie proponuje, póki nie zakończy badań w laboratorium. W laboratorium – i właśnie to było najistotniejsze.

W niecały miesiąc później Norden udowodnił, że miał racje, i zademonstrował „sferę anihilacji”. która powodowała całkowitą dezintegrację materii w promieniu kilkuset metrów. Upajaliśmy się skutecznością nowej broni, byliśmy więc gotowi przeoczyć jej zasadniczą wadę: laki. że jest sttfrą i że jako taka w chwili, gdy powstaje, niszczy dość skomplikowane urządzenia, które- ją wytwarzają. Oznaczało to oczywiście, że nie można jej używać na statkach bojowych, lecz jedynie w pociskach kierowanych, a więc rozpoczęto wielki program przebudowy samona-,prowadzających się torped, żeby mogły przenosić nową broń. Tymczasem zawieszono wszelkie ofensywy.

Tera/ już wiemy, że był to nasz pierwszy błąd. Uważam go jednak za naturalny, wydawało się nam bowiem, że wszystkie istniejące rodzaje broni z dnia na dzień stały się przestarzałe, i natychmiast zaczęliśmy je traktować jak prymitywne przeżytki. Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy z ogromu zadania, do którego się przymierzaliśmy, i ile czasu upłynie, zanim ta rewolucyjna superbroń znajdzie się na polu walki.

*

Nic podobnego nie wydarzyło się w ciągu minionych stu lat. nie mieliśmy więc żadnego doświadczenia.

Sprawa przebudowy okazała się znacznie trudniejsza, niż przewidywano. Należało zaprojektować nową klasę torped, gdyż model standardowy był za mały. To z kolei oznaczało, że tylko większe statki mogą je miotać, ale gra była warta świeczki. Po sześciu miesiącach ciężkie jednostki floty wyposażono w sfery anihilacji. Ćwiczebne manewry i próby wykazały, że nowa broń działa zadowalająco, i byliśmy gotowi wprowadzać ją do akcji. Norden. którego już okrzyknięto architektem zwycięstwa, przebąkiwał o jeszcze bardziej spektakularnych rodzajach broni.

Wtedy wydarzyły się dwie rzeczy. W czasie lotu ćwiczebnego zniknął jeden z naszych statków bojowych, a dochodzenie wykazało, że znajdujący się na jego pokładzie radar dalekiego zasięgu może w pewnych warunkach spowodować zapłon sfery natychmiast po opus/czeniu w\ rzutni przez torpedę. Usunięcie tej wady wymagało niewielkiej modyfikacji, lecz pociągnęło za sobą opóźnienie o następny miesiąc, a to stało się

źródłem wielu rozdzwieków między sztabem floty a naukowcami. Byliśmy już ponownie, gotowi do akcji, kiedy Norden oświadczył, że dziesięciokrotnie zwiększono promień skuteczności sfery, a tym samym tysiącrotnie wzrosły nasze szansę zniszczenia nieprzyjacielskiego statku.

Na nowo zaczęto więc przeróbki, lecz wszyscy się zgadzali, że warto narazić się na wynikające z tego opóźnienie. Tymczasem jednak wróg, ośmielony brakiem dalszych ataków, sam nieoczekiwanie uderzył. Na'szym statkom zabrakło torped, gdyż ani jednej nie otrzymały z fabryk; musiały się więc wycofać. Straciliśmy zatem układy Kyrane i Floranusa oraz fortecę planetarną Rhamsandrom.

Był to irytujący, ale niezbyt dotkliwy cios, gdyż odzyskane przez nieprzyjaciela układy są nastawione do nas wrogo i trudne w administrowaniu. Nie mieliśmy wątpliwości, że z łatwością powrócimy na te* pozycje w najbliższym czasie, gdy tylko nowa broń wejdzie do akcji.

Nadzieje te spełniły się jedynie częściowo. Kiedy znów podjęliśmy ofensywę, dysponowaliśmy mniejszą liczbą sfer anihilacji, niż początkowo planowano, a to była pierwsza przyczyna ograniczonych sukcesów naszych operacji. Druga okazała się znacznie poważniejsza.

Kiedy my wyposażaliśmy jak największą liczbę statków w naszą niezawodną broń, nieprzyjaciel gorączkowo budował. Wprawdzie były to jednostki przestarzałe i dysponujące starą bronią, ale miał ich więcej od nas. Wchodząc do akcji stwierdziliśmy, że zebrał przeciwko nam siły częstokroć o sto procent liczniejsze, niż oczekiwano, a to spowodowało zamieszanie przy wyborze celów przez broń samosterującą i w rezultacie straty były większe, niż przewidywano. Nieprzyjaciel doznał jeszcze większych strat, jeśli bowiem sfera osiąga cel, zniszczenie jest pewne, ale wbrew nadziejom nie przechyliło to szali zwycięstwa na naszą stronę.

Ponadto, kiedy główne siły były zaangażowane w walce, nieprzyjaciel przypuścił śmiały atak na słabo bronione układy Eristona, Duranusa, Carmanidora i Pharanidona, wszystkie je odbijając. Powstało więc zagrożenie w odległości zaledwie pięćdziesięciu lat świetlnych od naszych planet ojczystych.

Podczas następnej narady głównodowodzących panowała atmosfera ^zajemnych oskarżeń. Większość zarzutów kierowano pod adresem Nor-dena – wielki admirał Taxaris podkreślał w szczególności, że dzięki naszej broni, powszechnie uważanej za niezawodną, znajdowaliśmy się obecnie w znacznie gorszej sytuacji niż przedtem. Utrzymywał, iż należało budować raczej statki konwencjonalne, co zabezpieczyłoby nas pprzed utratą przewagi liczebnej.

Norden był równie wściekły i nazwał sztab floty banda, niewdzięcznych partaczy. Ale moim zdaniem najbardziej go niepokoił -jak /reszta, nas wszystkich – nieoczekiwany zwrot w rozwoju wydarzeń. Dał nam do zrozumienia, że istnieje sposób, aby szybko zaradzić tej sytuacji. Teraz wiemy, że od wielu lat naukowcy pracowali nad analizatorem pola walki, ale wówczas był on dla nas rewelacją i chyba przedwcześnie zaczęliśmy się nim entuzjasmować. Skusiła nas równie przekonująca argumentacja Nordena. Cóż z tego, powiedział, że nieprzyjaciel ma dwa razy więcej statków, skoro możemy podwoić, a nawet potroić skuteczność naszych? Od dziesiątków lat czynniki biologiczne, nie zaś mechaniczne, ograniczały prowadzenie walki -jeden umysł czy zespół umysłów z coraz większym trudem radził sobie z szybko zmieniającymi się i złożonymi elementami walki w trójwymiarowej przestrzeni. Matematycy Nordena przeanalizowali kilka klasycznych przypadków z przeszłości i wykazali, że chociaż odnieśliśmy zwycięstwo, to jednak zaledwie w połowie wykorzystano zdolności operacyjne naszych jednostek.

Wszystko to ulegnie zmianie dzięki zastosowaniu analizatora pola walki, który zastąpi sztab operacyjny kalkulatorami elektronicznymi. Pomysł w teorii nie był nowy. lecz dotychczas pozostawał jedynie utopijnym marzeniem. Wielu z nas nie chciało wierzyć, że już przestał być utopią, ale po przeprowadzeniu kilku symulowanych bitew o dużym stopniu złożoności daliśmy się jednak przekonać.

Postanowiono zainstalować analizator na czterech z naszych najcięższych statków, po jednym dla każdej z głównych ilot. Na tym etapie zaczęły się kłopoty, ale wówczas jeszcze nic o nich nie wiedzieliśmy.

Analizator składał się bez mała z miliona lamp próżniowych i wymagał zespołu pięciuset techników do konserwacji i obsługi. Zakwaterowanie dodatkowego personelu na pokładzie statku bojowego było zupełnie wykluczone, każdej z czterech jednostek musiał więc towarzyszyć specjalnie przystosowany statek pasażerski, gdzie w czasie wolnym od służby przebywali technicy.

I wt-edy, ku naszemu przerażeniu, stanęliśmy w obliczu następnego kryzysu. Do obsługi analizatorów wybrano prawie pięć tysięcy wysoko kwalifikowanych ludzi i skierowano ich na intensywny kurs do Ośrodka Szkolenia Technicznego. Pod koniec siódmego miesiąca dziesięć procent kursantów załamało się nerwowo, a tylko czterdzieści procent zdołało się zakwalifikować.

I znów wszyscy wzajemnie się oskarżali. Norden powiedział oczywiście, że nie można obciążać odpowiedzialnością personelu naukowego,

czym zraził sobie dowództwa do spraw składu osobowego i szkolenia. Ostatecznie postanowiono, że jedyne, co można uczynić, to wykorzystać dwa analizatory zamiast czterech, a pozostałe wprowadzić do akcji, gdy tylko uda się przeszkolić ludzi. Mieliśmy niewiele czasu do stracenia, nieprzyjaciel bowiem kontynuował ofensywę i rosło jego morale.

Pierwszy analizator we flocie miał być użyty przy odbijaniu układu Eristona. Po drodze, jak to bywa na wojnie, statek wiozący techników wpadł na wędrującą minę. Statek bojowy wyszedłby z tego cało, ale pasażer uległ zupełnemu zniszczeniu. Musieliśmy zatem zrezygnować z tej operacji.

Druga ekspedycja miała początkowo więcej szczęścia. Nie było w ogóle żadnych wątpliwości, że analizator spełnił swoje zadanie – zgodnie z obietnicami jego projektantów – i nieprzyjaciel doznał ciężkiej porażki w pierwszych potyczkach. Wycofał się, pozostawiając nam Saphran, Leucon i Haxanerax. Ale jego wywiad musiał zauważyć obecność statku pasażerskiego w centrum naszej floty bojowej. Musiał również zauważyć, że naszej pierwszej flocie towarzyszył podobny statek i że wycofała się, gdy ten został zniszczony.

W następnej potyczce wykorzystał swą liczebną przewagę, by przypuścić druzgocący atak na statek z analizatorem i jego bezbronną eskortę. Uderzenie przeprowadzono nie bacząc na straty, zakończyło się więc powodzeniem, choć naturalnie obydwu statków broniono zawzięcie. W rezultacie flota dosłownie straciła głowę, gdyż skuteczny powrót do starych metod operacyjnych okazał się niemożliwy. Wycofaliśmy się pod ciężkim ogniem, tracąc w ten sposób wszystko, co udało nam się odzyskać, a dodatkowo układy Lorymii, Ismarnusa, Beronisa, Alphanidona i Sideneusa.

W tej fazie wielki admirał Taxaris wyraził swą dezaprobatę dla Nordena popełniając samobójstwo, a dowodzenie przejąłem ja.

Sytuacja była nie tylko poważna, ale również irytująca. Zupełnie pozbawiony wyobraźni wróg, stosując z uporem konserwatywne metody walki, kontynuował ofensywę za pomocą przestarzałych i mało skutecznych, choć teraz niepomiernie liczniejszych statków. Żółć człowieka zalewała, gdy uświadomił sobie, że wystarczyło tylko dalej budować, by znaleźć się w znacznie korzystniejszej sytuacji. Odbyło się wiele pełnych goryczy narad, w czasie których Norden bronił naukowców, a wszyscy jego obarczali odpowiedzialnością za to, co się stało. Trudność polegała na tym, że potrafił wszystko uzasadnić: miał doskonałe usprawiedliwienie dla każdej katastrofy, jaka się wydarzyła. A teraz już nie mogliśmy zawró151

cić z tej drogi – musieliśmy kontynuować badania nad niezawodną bronią. Początkowo była luksusem, który miał skrócić wojnę, obecnie zaś koniecznością, jeśli chcieliśmy zakończyć ją zwycięsko.

Przeszliśmy do obrony i to samo uczynił Norden. Z jeszcze większą determinacją niż

przedtem próbował odzyskać prestiż, zarówno swój własny, jak i personelu naukowego. Zawiodł nas jednak dwukrotnie i nie chcieliśmy znów popełniać tego samego błędu. Dwadzieścia tysięcy naukowców Nordena mogło niewątpliwie opracować wiele nowych broni, lecz my mieliśmy pozostać niewzruszeni.

Byliśmy w błędzie. Broń ostateczna okazała się czymś tak fantastycznym, że nawet w tej chwili aż trudno uwierzyć, iż kiedykolwiek istniała. Niewinna, mało mówiąca nazwa – pole wykładnicze – nie zdradzała jej prawdziwych możliwości. Odkrycia dokonało kilku matematyków Nordena w trakcie czysto teoretycznych badań nad właściwościami przestrzeni. Ich wyniki, ku powszechnemu zdumieniu, dały się wykorzystać w praktyce.

Działanie pola trudno wyjaśnić laikowi. Posłużę się opisem technicznym: „stwarza w przestrzeni warunki wykładnicze, w których każda odległość skończona jest normalna, a przestrzeń linearna może stać się nieskończona w pseudoprzestrzeni”. Norden wyjaśnił to prościej, co niektórzy z nas uznali za bardzo pomocne: to tak, jakby ktoś wziął płaski gumowy krążek – który tu zastępuje jakiś obszar normalnej przestrzeni – a potem, chwytając za środek, rozciągnął go do nieskończoności. Obwód krążka się nie zmieni, ale jego „średnica” będzie nieskończona. Właśnie coś takiego robił generator pola z przestrzenią wokół siebie.

Przypuśćmy, że na przykład statek mający na pokładzie taki generator zostanie otoczony przez nieprzyjacielskie maszyny. Kiedy go włączy, każdy statek nieprzyjaciela pomyśli, że zarówno on, jak i pozostałe statki z drugiej strony koła nagle rozplynęły się w nicość. Jednakże obwód koła pozostanie taki sam jak przedtem, a tylko podróż do jego środka będzie trwała nieskończenie długo i jeśli ktoś ją rozpocznie, to odległości będą się zwiększały w miarę zmieniającej się „skali” przestrzeni.

To istny koszmar, ale bardzo przydatny. Do statku z włączonym generatorem pola nic nie mogło dotrzeć: całkowicie otoczony ze wszystkich stron przez nieprzyjacielską flotę, był dla niej niedostępny, jakby znajdował się na drugim końcu wszechświata. Nie mógł, oczywiście, z nią walczyć, nie wyłączywszy pola, które dawało mu bardzo dużą przewagę nie tylko w obronie, ale również w ataku. Statek wyposażony w pole

mógł się bowiem niepostrzeżenie zbliżyć do nieprzyjacielskiej floty i nagle pojawić w samym jej środku.

Tym razem wydawało się, że nowa broń nie ma wad. Nie muszę dodawać, że przeprowadzono poszukiwania wszelkich możliwych usterek, nim ponownie się zaangażowaliśmy. Na szczęście urządzenie to było dość proste i jego obsługa, nie wymagała licznego personelu. Po wielu dyskusjach zdecydowaliśmy niezwłocznie rozpocząć jego produkcję, zdając sobie sprawę, że czasu mamy coraz mniej i możemy przegrać wojnę. Dotychczas straciliśmy wszystko, co udało nam się na początku zdobyć, a siły nieprzyjacielskie dokonały kilku rajdów, których celem był nasz własny Układ Słoneczny.

Zdołaliśmy powstrzymać nieprzyjaciela na czas przezbrajania floty i opracowywania nowych technik bojowych. W celu operacyjnego wykorzystania pola należało zlokalizować formację wroga, wejść na kurs przechwytyjący, a potem włączyć generator na określony czas. Jeśli obliczenia były dokładne, po wyłączeniu pola statek winien znaleźć się w samym środku nieprzyjacielskiej formacji, co pozwala zadać duże straty, a następnie, w razie potrzeby, wycofać się tą samą drogą.

Pierwsze próbne manewry były zadowalające i nowy sprzęt wydawał się rzeczywiście niezawodny. Przeprowadzono liczne symulowane ataki, a załogi oswoiły się z nową techniką. Brałem udział w jednym z lotów próbnych i bardzo dobrze pamiętam swoje wrażenia, kiedy włączono pole. Statki wokół nas zaczęły gwałtownie maleć, jakby znajdowały się na powierzchni bańki szybko zwiększającej swą objętość, a potem w jednej chwili zupełnie zniknęły. Tak samo gwiazdy – lecz wkrótce zauważyliśmy, że wciąż widać Galaktykę w postaci niewyraźnego pasa światła wokół statku. Rzeczywisty promień naszej pseudoprzestrzeni w istocie nie był nieskończony, lecz wynosił około stu tysięcy lat świetlnych, a więc odległość między najdalszymi gwiazdami a naszym układem zbytnio się nie zwiększyła, choć najbliższe oczywiście całkowicie znikły.

Musieliśmy jednak przerwać manewry ze względu na całe mnóstwo drobnych kłopotów technicznych z różnym sprzętem, szczególnie z obwodami łączności. Choć irytowały, nie były to znaczące defekty, uznaliśmy jednak, że lepiej wrócić do bazy, by tam je usunąć.

W tym momencie nieprzyjaciel przeprowadził uderzenie, które najwyraźniej miało być decydującym atakiem na planetę-fortecę Iton, leżącą na krańcach naszego Układu Słonecznego. Flota musiała stanąć do walki przed zakończeniem napraw.

Nieprzyjaciel chyba sądził, że posiadliśmy sekret niewidzialności, co, w pewnym sensie było prawdą. Nasze statki nieoczekiwanie pojawiały się nie wiadomo skąd i zadawały ogromne straty – chwilowo. I wtedy wydarzyło się coś zaskakującego i nie wyjaśnionego.

Dowodziłem statkiem flagowym Hircania, gdy zaczęły się te kłopoty. Nasze jednostki działały niezależnie od siebie i każda miała wyznaczone cele. Detektory mojego statku wykryły formację nieprzyjaciela w średniej odległości; oficerowie prowadzący nawigację niezwłocznie obliczyli ją z wielką dokładnością. Weszliśmy na odpowiedni kurs i włączyliśmy generator.

Pole wykładnicze wyłączyliśmy w chwili, gdy powinniśmy przechodzić przez środek nieprzyjacielskiego zgrupowania. Powróciwszy do normalnej przestrzeni, z konsternacją stwierdziliśmy, że znajdujemy się w odległości wielu setek mil od wyznaczonego miejsca i nim znów odnaleźliśmy nieprzyjaciela, on już zdążył nas wykryć. Wycofaliśmy się, by ponowić próbę. Tym razem byliśmy tak daleko, że nieprzyjaciel zlokalizował nas pierwszy.

Musiała, oczywiście, nastąpić jakaś poważna awaria. Przerwaliśmy ciszę w komunikatorach, chcąc się skontaktować z innymi statkami floty i dowiedzieć, czy nie mają takich samych kłopotów. Niestety, bez powodzenia, a teraz było to całkiem niezrozumiałe, gdyż sprzęt łącznościowy funkcjonował doskonale. Mogliśmy jedynie przypuszczać, że cała flota została zniszczona, co wydawało się zbyt fantastyczne.

Nie chcę tu opisywać scen, jakie się rozgrywały podczas powrotu naszych rozproszonych jednostek, przebijających się do bazy. Nasze straty okazały się właściwie znikome, lecz załogi statków były zupełnie zdemoralizowane. Prawie wszystkie straciły łączność z pozostałymi, stwierdzając przy tym jakieś nie wyjaśnione usterki w urządzeniach namierzających. Najwyraźniej przyczyną tych kłopotów było pole wykładnicze, choć występowały one tylko po jego wyłączeniu.

Wszystko -wyjaśniło się zbyt późno, żebyśmy mogli temu zaradzić, a ostateczna klęska Nordena nie była żadnym pocieszeniem wobec przegranej wojny. Jak już powiedziałem, generatory pola dawały radialne zniekształcenie przestrzeni, które powodowało zwiększanie się odległości w miarę zbliżania się do środka sztucznej pseudoprzestrzeni. Kiedy wyłączano pole, wszystko wracało do normy. f

Ale niezupełnie. Dokładne przywrócenie stanu początkowego nigdy nie było możliwe. Włączanie i wyłączanie pola sprawia, że statek z generatorem wydłuża się i skraca, lecz występuje tu efekt histerezy, co właśnie

miało miejsce, i początkowy stan nie da się całkowicie odtworzyć wskutek tysięcy zmian elektrycznych i przemieszczania się masy na pokładzie statku w czasie, gdy jest tam generator. Te asymetrie i 'zniekształcenia kumulują się, a choć rzadko przekraczają wielkość rzędu ułamka procentu, jednak to wystarczyło. Z tego wynika, że urządzenia namierzające i obwody strojone sprzętu łącznościowego uległy całkowitemu rozregulowaniu. Żaden statek sam nie mógł wykryć tej zmiany, chyba żeby porównał swoje urządzenia ze sprzętem innej jednostki albo się z nią skontaktował, gdyby tylko potrafił to uczynić.

Powstał chaos nie do opisanego. Te same części na dwóch identycznych statkach z całą pewnością się różniły. Nawet standardowe śruby i nakrętki przestały być wymienne, a zaopatrzenie znalazło się w beznadziejnej sytuacji. Mając do dyspozycji trochę czasu, poradzilibyśmy sobie i z tymi trudnościami, ale tysiące statków nieprzyjacielskich już nas atakowały bronią, która wydawała się pozostawać o całe wieki w tyle za tym, co myśmyn wynaleźli. Nasza wspanała flota, sparaliżowana "przez naszą własną naukę, walczyła jak mogła najlepiej, póki się nie poddała, ulegając przeważającym siłom nieprzyjaciela. Statki wyposażone w pole wciąż były poza zasięgiem wroga, ale jako jednostki bojowe stały się niemal bezradne. Każde włączenie generatorów dla uniknięcia ataku zwiększało niesprawność ich sprzętu. W ciągu miesiąca było po wszystkim.

Przedstawiłem tu prawdziwą historię naszej porażki bez uszczerbku dla mojej obrony przed Sądem. Zrobiłem to, jak powiedziałem, by zaprotestować przeciwko publicznemu szkalowaniu ludzi, którzy walczyli pod moją komendą, i wskazać prawdziwą przyczynę naszych niepowodzeń.

Ostatecznie moja prośba, jak Sąd zapewne zdaje sobie teraz sprawę, nie dotyczy błahych kwestii, a więc mam nadzieję, że zostanie uwzględniona.

Pragnę również podać do wiadomości Sądu, że warunki, w których tutaj przebywamy, oraz stały nadzór, jakiemu jesteśmy nieustannie poddawani w dzień i w nocy, są cokolwiek męczące. Jednakże nie uskarżam się na to ani też na fakt, że trudności lokalowe pociągnęły za sobą konieczność umieszczenia nas dwójkami.

Lecz nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za swoje czyny, jeśli w dalszym ciągu będę zmuszony dzielić celę z profesorem Nordenem, byłem szefem personelu naukowego sił zbrojnych, którymi dowodziłem.

Przełożył Marek Cegiela

ŚCIANA CIEMNOŚCI

Wiele dziwnych światów unosi się jak bańki w pianie na rzece czasu. Niektóre z nich – bardzo nieliczne – poruszają się w poprzek jej biegu albo pod prąd, a jeszcze mniej jest takich, które zawsze znajdują się poza jej zasięgiem, bez przeszłości czy przyszłości. Małeńki kosmos Shervane'a nie należał ani do jednego, ani do drugiego rodzaju: swą osobliwość zawdzięczał czemu innemu. Składał się mianowicie z jednej planety – zamieszkiwanej przez ziomków Shervane'a – i pojedynczej gwiazdy, wielkiego słońca Trilorne, które dawało życie i światło.

Shervane nie znał nocy: Trilorne zawsze jaśniał wysoko nad horyzontem, obniżając się jedynie na długie miesiące zimowe. Co prawda po przekroczeniu granic Krainy Cienia, kiedy Trilorne zniknął za widnokretem, w pewnej porze roku za*padała ciemność, która uniemożliwiała życie. Nawet wówczas mrok nie był jednak zupełny, chociaż na niebie nie świeciły gwiazdy, które mogłyby go rozproszyć.

Samotna w swym małym kosmosie, zawsze zwrócona tą samą stroną ku jednemu słońcu, planeta Shervane'a była najdziwniejszym żartem Stwórcy.

Mimo to, spoglądając na ziemię swego ojca, Shervane odczuwał to, co wszystkie dzieci: zachwyt, ciekawość, trochę obawy, a nade wszystko nieprzepartą chęć poznania otwierającego się przed nim świata. Był na to jeszcze za mały, ale z bardzo starego domu na szczycie górującego nad okolicą wzniesienia sięgał wzrokiem na wiele kilometrów, patrząc ponad ziemię, która pewnego dnia będzie jego. Kiedy chłopiec odwracał się ku północy i Trilorne świecił mu prosto w twarz, w oddali widział długie pasmo spiętrzonych gór, które ciągnęły się łukiem w prawo, by zniknąć za jego plecami w Krainie Cienia. Gdy dorośnie, ruszy przez te góry przełęczą prowadzącą do wielkich krajów na Wschodzie.

Z lewej strony był ocean w odległości zaledwie kilku kilometrów; czasami Shervane słyszał grzmot fal przelewających się po łagodnie

i pochyłonych piaszczystych plażach. Nikt nie Wiedział. jak daleko sięga

ocean. Niegdyś wyruszyły statki, by go przepłynąć. Kiedy żeglował) na północ, Trilorne wznosił się na niebie córa/ wyżej i żar jego promieni stawał się coraz silniejszy. Na długo przedtem, zanim słońce znalazło się w zenicie, musiały zawracać: gdyby rzeczywiście istniała legendarna Kraina Ognia, żaden człowiek nie mógłby nawet marzyć o wylądowaniu na jej palących brzegach – jeżeli legendy mówiły prawdę. Ludzie opowiadali, że dawno temu korzystano z szybkich metalowych statków, które pokonywały ocean pomimo żaru Trilorne'a i osiągały ląd po drugiej stronie planety. Obecnie można tam dotrzeć jedynie uciążliwą drogą przez ląd i morze, która tylko trochę daje się skrócić, jeśli ktoś odważy się podróżować jak najdalej na północ.

Wszystkie zamieszkane ziemie na planecie Shervane'a leżały w wąskim pasie między palącym żarem a nieznośnym zimnem. Położone najdalej na północy rejony tych krain – wściekle prażone przez Trilorne'a – były niedostępne. Od południa zaś rozciągała się rozległa ponura Kraina Cienia, gdzie Trilorne był zaledwie niewielkim bladym krążkiem na horyzoncie, a często w ogóle znikał.

Tego wszystkiego Shervane dowiedział się w dzieciństwie, kiedy jeszcze nie pragnął opuszczać rozległej krainy między górami a morzem. Od niepamiętnych czasów jego przodkowie i ludzie żyjący tam przed nimi pracowali w pocie czoła, by przekształcić te ziemie w najpiękniejszy kra) na świecie – jeśli nawet niezupełnie udało im się osiągnąć cel. to bardzo niewiele brakowało: ogrody były pełne dziwnych jaskrawych kwiatów; między porośniętymi mchem skałami płynęły strumienie, kończąc swój bieg w czystych wodach bezpływowego oceanu; na polach rosło zboże, które nieustannie szumiało na wietrze, jakby całe, pokolenia nie zrodzonych nasion prowadziły ze sobą rozmowę; po szerokich łąkach i pod drzewami bez celu wędrowało oswojone bydło, porykując głupawo. I jeszcze ten wielki dom z ogromnymi pokojami i korytarzy mi bez końca – rzeczywiście dość duży, ale znacznie większy wydawał się dziecku. W tym świecie Shervane'owi upływały lata, w świecie, który znał i kochał. To. co było poza jego granicami, dotychczas chłopca nie interesowało.

Świat Shervane'a jednak nie należał do tych, które są wolne od władzy czasu. Dojrzewało zboże i zwożono ziarno cło spichlerzy; Trilorne powoli wznosił się i opadał na niebie, a wraz z mijającymi porami roku dorastały ciało i umysł Shervane'a.

Jego kraina teraz jakby się zmniejszyła: góry były bliżej i tylko krótki spacer dzielił duży dom od morza. Chłopiec zaczął się uczyć świata, w któ

157
rym żył, i przygotowywać do roli, jaki) miał odegrać w jego kształtowaniu.

O pewnych sprawach dowiedział się od swego ojca, Shervala. ale najwięcej od Grayle'a, chociaż starzec uczył go wielu rzeczy, którymi Shervane nie chciał zaprzętać sobie głowy.

Chłopięce lata upływały mu dość przyjemnie, aż nadszedł czas, gdy miał wyruszyć przez góry do położonych za nimi krajów. Przed wiekami jego rodzina przybyła z wielkich krain wschodu i od tego czasu w każdym pokoleniu najstarszy syn odbywał pielgrzymkę do ojczyzny swych przodków, spędzając tam rok wśród krewnych. To mądry zwyczaj, za górami bowiem przetrwało wiele dawnej wiedzy; można też było spotkać cudzoziemców i studiować ich obyczaje.

Wiosną, przed wyjazdem syna, Sherval wziął trzech służących, kilka zwierząt – dla wygody nazwijmy je końmi – i zabrał Shervane'a, by pokazać mu okolice, których jeszcze nie widział. Ruszyli na zachód ku morzu i jechali jego brzegiem przez wiele dni, aż Trilorne wyraźnie zbliżył się do horyzontu. Wciąż posuwali się na południe – padające przed nimi ich własne cienie coraz bardziej się wydłużały – skręcili na wschód dopiero wówczas, gdy promienie słońca straciły całą siłę. Teraz byli już dość głęboko w granicach Krainy Cienia, lecz postąpiliby nierozsądnie, zapuszczając się dalej na południe przed nadejściem lata.

Shervane jechał obok swego ojca, obserwując zmieniający się kraj obraz z żywą ciekawością chłopca widzącego nowe okolice po raz pierwszy. Ojciec mówił coś o glebie, opisując zboża, które mogłyby tutaj rosnąć, oraz takie, które by się nie przyjęły, gdyby spróbowano je zasiać. Shervane jednak skierował uwagę gdzie indziej: wpatrzony w martwą Krainę Cienia zastanawiał się, jak daleko sięga i jakie kryje tajemnice.

–Ojcie – spytał wkrótce – gdybyś pojechał prosto na południe przez Krainę Cienia, to czy dotarłbyś na drugą stronę planety? Sherval uśmiechnął się.

–Ludzie pytają o to od wieków – rzekł – ale są dwa powody, dla których nigdy nie znajdują odpowiedzi.

–Co to za powody?

–Po pierwsze: ciemność i zimno. Nawet tutaj nie ma życia w miesiącach zimowych. Ale jest jeszcze ważniejszy powód, o którym, jak widzę, Grayle nie wspominał.

–Chyba nie, a przynajmniej nie pamiętam.

Sherval milczał przez chwilę. Uniósł się w strzemionach i patrzył na południe, badając wzrokiem krajobraz.

–Niegdyś dobrze znałem to miejsce – odezwał się do Shervane'a. – Chodź... coś ci pokażę.

Skręcili z drogi, która ich tutaj przywiodła, i jechali przez kilka godzin, wciąż mając słońce za plecami. Teren zaczął się powoli wznosić i Shervane zauważył, że wspinają się po szerokim grzbiecie skały wycelowanej niczym sztylet w sam środek Krainy Cienia. Wkrótce dotarli do wzniesienia, które było za strome dla koni, /siedli więc, pozostawiając zwierzęta pod opieką służących.

–Moglibyśmy wjechać konno z drugiej strony – rzekł Sherval -ale wspinaczka będzie trwała krócej.

Wzniesienie, choć strome, było niewysokie; w ciągu kilku minut znaleźli się na szczycie. W pierwszej chwili Shervane nie zauważył nic nowego – jedynie to samo pofałdowane pustkowie, z każdym metrem jakby ciemniejące i coraz bardziej ponure w miarę rosnącej odległości od Trilorne'a.

Nieco zdziwiony spojrział pytająco na ojca. Wówczas Sherval wskazał na południe i dłonią starannie zakreślił linię na widnokręgu.

–Niełatwo ją dostrzec – rzekł cicho. – Pokazał mi ją mój ojciec z tego samego miejsca, wiele lat przed twoim urodzeniem.

Shervane utkwił oczy w mroku. Niebo na południu było tak ciemne, że aż niemal czarne tuż nad horyzontem. Lecz niezupełnie – na widnokręgu bowiem ogromnym łukiem, oddzielającym ziemię od nieba, choć zdawał się nie należeć ani do jednego, ani do drugiego, ciągnęła się jeszcze ciemniejsza wstęga, czarna jak noc. której Shervane nigdy nie poznał.

Przez dłuższy czas uporczywie się w nią Wpatrywał i chyba doznał olśnienia związanego z przyszłością, ciemniejące pustkowie bowiem jakby nagle ożyło i wyczekiwało. Kiedy w końcu oderwał wzrok, wiedział, że nic już nie będzie tak jak dawniej, chociaż był jeszcze zbyt młody, by uświadomić sobie, co to oznacza.

Tak oto po raz pierwszy w życiu Shervane zobaczył Ścianę.,

Wczesną wiosną pożegnał się z rodziną i z jednym służącym ruszył przez góry do wielkich krajów wschodu. Spotkał tam ludzi, z którymi miał wspólnych przodków, i studiował historię swej rasy. sztuki wyrosłe z dawnych tradycji i nauki rządzące życiem człowieka. Podczas studiów zaprzyjaźnił się z chłopcami pochodzącymi z krajów położonych jeszcze dalej na wschód: kilku z nich prawdopodobnie kiedyś znów zobaczy, lecz

–jeden miał odegrać w jego życiu większą rolę> czego żaden z nich wówczas nie mógł przewidzieć. Ojciec Brayldona był sławnym architektem, lecz syn zamierzał go jeszcze prześcignąć. Chociaż liczył sobie niewiele więcej lat od Shervane'a, to jednak jego znajomość świata była nieskończenie głębsza – a może młodszemu chłopcu tylko tak się wydawało.

W rozmowach przebudowywali świat po swojemu. Brayldon marzył o miastach, których szerokie aleje i imponujące wieżowce miały zaćmić wszystkie dotychczasowe cuda architektury, a Shervane bardziej interesował się mieszkańcami tych miast i ich życiem.

Często rozmawiali o Ścianie, którą Brayldon znał z opowieści krążących wśród jego ludu, choć sam nigdy jej nie widział. Shervane dowiedział się, że ciągnie się ona przez wszystkie kraje daleko na południu, niczym jakaś potężna bariera stojąca w poprzek Krainy Cienia. W pełni lata można było z trudem dotrzeć do Ściany, ale w żaden sposób nigdy nikomu nie udało się jej przejść i nikt nie wiedział, co się za nią kryje. Otaczała całą planetę bez żadnych przerw nawet wówczas, gdy osiągała wysokość tysięcy razy większą od wzrostu człowieka; obejmowała również zimne morze, którego fale były w brzegi Krainy Cienia. Niegdyś podróżnicy wylądowali na tych odludnych plażach, gdzie prawie nie czuło się ciepła słabych promieni Trilorne'a, i widzieli, jak Ściana mrocznym cieniem wchodzi w morze, nie bacząc na fale u jej stóp. A na drugim brzegu morza inni podróżnicy patrzyli, jak wylania się zza oceanu, mija ich i sunie dalej na swej drodze wokół planety.

–Jeden z moich wujów – rzekł Brayldon – dotarł raz do Ściany w młodości. Poszło o zakład. Dziesięć dni jechał konno, zanim się pod nią znalazł. Myślę, że go przerażała – była tak potężna i zimna. Nie umiał powiedzieć, czy była z metalu czy z kamienia, a kiedy krzyknął, nie usłyszał w ogóle żadnego echa i dźwięk jego głosu natychmiast zamarł, jakby został pochłonięty przez Ścianę. Moi rodacy wierzą, że tam jest koniec świata i że dalej nie ma już nic.

–Jeśli to prawda – powiedział Shervane z nieodpartą logiką – to ocean musiałby się przelać przez krawędź, zanim ją zbudowano.

–Wcale nie, jeżeli zbudował ją Kyrone, kiedy tworzył świat. Shervane miał inne zdanie.

–Mój lud wierzy, że to dzieło człowieka... być może inżynierów pierwszej epoki, którzy dokonali tylu wspaniałych rzeczy. Jeśli rzeczywiście mieli statki, które docierały do Krainy Ognia, a podobno były wśród nich i takie, które mogły latać, to dysponowali wystarczającą wiedzą, by zbudować Ścianę.

Brayldon wzruszył ramionami.

–Musieli mieć jakiś ważny powód – rzekł. – Nigdy się tego nie dowiemy, więc chyba nie ma się czym przejmować?

Shervane doszedł do wniosku, że ta praktyczna uwaga jest wszystkim, czego może oczekiwać od zwykłych ludzi. Jedynie filozofowie interesowali się problemami nie do rozwiązania: ludzie w większości prawie nie myśleli o tajemnicy Ściany, tak jak nie myślą o tym, że żyją. Wszyscy filozofowie, których poznał, udzielali natomiast różnych odpowiedzi.

Pierwszy z nich był Grayle, którego Sheryane zapytał o to po swym powrocie z Krainy Cienia. Starzec popatrzył na niego łagodnie i odparł:

–Słyszałem, że za Ścianą jest tylko jedna rzecz. A tą rzeczą jest obłąd.

Następny to Artex, który był tak stary, że ledwie słyszał docieklive pytania Shervane'a. Przyjrzał się chłopcu spod przymkniętych powiek, które wydawały się zbyt zmęczone, by całkowicie się otworzyć, i po dłuższym namyśle odpowiedział;

–Ścianę zbudował Kyrone w trzecim dniu tworzenia świata. Dowiemy się, co jest za nią, kiedy umrzemy... tam bowiem idą dusze wszystkich zmarłych.

Irgan zaś, który mieszkał w tym samym mieście, kategorycznym tonem powiedział coś zupełnie przeciwnego.

–Tylko pamięć może ci odpowiedzieć na to pytanie, mój synu. Za Ścianą bowiem jest kraina, w której żyliśmy przed urodzeniem.

Komu miał wierzyć? Prawdę mówiąc, nikt nie wiedział. Jeśli kiedykolwiek znano prawdę, to poszła w zapomnienie.przed wiekami.

Choć Shervane szukał jej bez powodzenia, wiele jednak się nauczył w ciągu tego roku studiów. Z nadejściem wiosny pożegnał Brayldona i resztę przyjaciół, z którymi przebywał tak krótko, i wyruszył starą drogą prowadzącą do ojczyzny. Ponownie odbył niebezpieczną podróż wielką przełęczą między górami, gdzie ściany lodu groźnie zwisają na tle nieba. Dojechał do miejsca, z którego droga wiodła w dół do świata ludzi, gdzie było ciepło i nie zamrznięta woda, a mroźne powietrze nie zatykało przy oddychaniu. Stąd, z ostatniego wzniesienia, zanim droga opadła w dolinę, wzrok biegł wysoko nad ziemią i można było zobaczyć odległy blask oceanu. I tam, na skraju świata, Shervane dostrzegł ledwie widoczną we mgle smugę cienia, która była jego krajem.

Zjeźdżał długą kamienną wstęgą, aż dotarł do mostu, który wzniesiono nad wodospadem w

dawnych czasach, kiedy jedyną drogę zniszczyło

trzęsienie ziemi. Lecz mostu nie było:- wczesnowiosenne burze i lawiny zniosły jeden z potężnych filarów i piękny łuk z metalu leżał teraz pogięty w pianie i pyłe wodnym tztzysta metrów niżej. Zanim droga będzie ponownie otwarta, minie lato; kiedy Shervane ze smutkiem zawracał, wiedział, że musi upłynąć następny rok, nim zobaczy swój dom.

Na dłuższą chwilę zatrzymał się na ostatnim wzniesieniu drogi, patrząc za siebie na nieosiągalny krajów którym było wszystko, co ukochał. Lecz widok ten zasłoniła mgła i już nic więcej nie mógł zobaczyć. Roztropnie wracał tą samą drogą, aż znikły niziny i znów otoczyły go góry.

Kiedy Shervane powrócił do miasta, Brayldon jeszcze tam był. Widok przyjaciela sprawił mu niespodziankę i radość; wspólnie zaczęli snuć plany na najbliższy rok. Krewni Shervane'a, którzy go polubili i nie żalowali, że wrócił, delikatnie napomykali, by ten rok poświęcił dalszym studiom, lecz on ich nie posłuchał.

Zbliżało się lato, gdy chłopcy razem wyruszyli do kraju Brayldona. Spieszyli się, podróż bowiem była długa, a musieli ją zakończyć, nim Trilorne zacznie na zimę obniżać się nad horyzontem. Przejeżdżając przez kraje znane Brayldonowi, zadawali pytania, na które ludzie mocno kręcili głowami. Udzielali jednak dokładnych odpowiedzi i wkrótce przyjaciele znaleźli się w Krainie Cienia. Niebawem Shervane zobaczył Ścianę po raz drugi w życiu.

Kiedy wyrosła przed nimi na niegościnniej bezludnej nizinie, wydawała się niezbyt odległa, lecz musieli bardzo długo jechać, nim choć trochę się zbliżyła – a potem, prawie u jej stóp, uświadomili sobie nagle, że jest tak blisko. Nie sposób było ocenić odległości od Ściany, póki człowiek nie mógł wyciągnąć ręki i jej dotknąć.

Kiedy Shervane przyglądał się tej monstrualnej hebanowej płaszczyźnie, która tak zaprzętała mu głowę, miał wrażenie, że Ściana zwali się i zmiażdży go swą masą. Z trudem oderwał wzrok od tego hipnotyzującego widoku i podszedł bliżej, by zbadać, z czego jest zbudowana. •; '

To, co mówił Brayldon, okazało się prawdą: w dotyku była zimna – zimniejsza niż powinna w tej spragnionej słońca krainie – ni to twarda, ni to miękka, jej powierzchnia bowiem jakby umykała spod ręki, utrudniając badanie. Shervane'owi zdawało się, że coś mu uniemożliwia kontakt ze Ścianą, chociaż nie zauważył żadnej przerwy między jej powierzchnią a swymi palcami, które do niej przyciskał. Najdziwniejsza była ta niesamowita cisza, o której wspominał wuj Brayldona: każde

wypowiedziane słowo głucho i wszystkie dźwięki zamierały nienaturalnie szybko.

Brayldon wyjął z juków kilka narzędzi i instrumentów, a potem zaczął badać powierzchnię Ściany. W bardzo krótkim czasie stwierdził, że ani świdry, ani frezy nie zostawiają na niej żadnego śladu, i niebawem doszedł do tego samego wniosku, co Shervane: Ściana nie jest zwyczajnie twarda jak diament, lecz po prostu niedostępna.

W końcu, zniechęcony, wziął idealnie prostą metalową linię i mocno przycisnął ją do Ściany. Podczas gdy Shervane trzymał lusterko tak, by odbijało słabe światło Trilorne'a, Brayldon patrzył uważnie z drugiej strony wzdłuż linii zetknięcia. Było tak, jak przypuszczał: cienka smużka światła z łatwością przechodziła między dwiema powierzchniami.

Zamyślony Brayldon spojrzał na przyjaciela.

–Shervane – rzekł – myślę, że Ściana jest zrobiona z nie znanej nam substancji.

–A więc legendy mówią prawdę, że nikt jej nie zbudował, lecz od razu została stworzona taka, jak ją teraz widzimy.

–Ja też tak uważam – powiedział Brayldon. – Inżynierowie pierwszej epoki mieli takie możliwości. W moim kraju są pewne stare budynki, które wyglądają, jakby je odlano z jakiegoś tworzywa, nie wykazującego absolutnie żadnych śladów wietrzenia. Gdyby było czarne, a nie kolorowe, bardzo by przypominało substancję, z jakiej zrobiona jest Ściana.

Odłożył bezużyteczne narzędzia i zaczął ustawiać zwykły przenośny teodolit.

–Jeśli nic więcej nie mogę zrobić – rzekł z wymuszonym uśmiechem – to przynajmniej dokładnie zmierzę jej wysokość!

Kiedy się obejrzel, aby po raz ostatni spojrzeć na Ścianę, Shervane był ciekaw, czy kiedykolwiek znów ją zobaczy. Już niczego więcej nie mógł się o niej dowiedzieć – na przyszłość będzie musiał zapomnieć o swych niemądrych marzeniach, że pewnego dnia pozna jej tajemnicę. A może nie ma w tym żadnej tajemnicy i za Ścianą dalej ciągnie się Kraina Cienia, która pokrywa wypukłość planety aż po taką samą barierę z drugiej strony? Tak, to z pewnością najbardziej prawdopodobne. Ale w takim wypadku, po co wzniesiono Ścianę i kto tego dokonał?

Wysiłkiem woli, trochę zły na siebie, odsunął te myśli i ruszył prosto w światło Trilorne'a, zastanawiając się nad przyszłością, w której dla niego Ściana nie będzie grała większej roli niż w życiu innych ludzi.

Minęły dwa lata, zanim Shervane mógł powrócić do domu. W ciągu dwóch lat, szczególnie gdy człowiek jest młody, można dużo zapomnieć: zacierają się nawet rzeczy najbliższe sercu i trudno w myślach przywołać ich dokładny obraz. Kiedy Shervane minąłostatnie wzniesienia u stóp gór i znalazł się w kraju swego dzieciństwa, jego radość z powrotu mieszała się z jakimś dziwnym smutkiem: 'zapomniał tak wiele z tego, o czym sądził, że zachowa w pamięci na zawsze.

Wiść o jego powrocie dotarła tam przed nim i niebawem dostrzegł w oddali szereg jeźdźców galopujących drogą. Niecierpliwie popędził naprzód, zastanawiając się, czy Sherval wyjechał mu na powitanie. Był trochę rozczarowany zobaczywszy na czele jeźdźców urayle'a.

Shervane zatrzymał się, kiedy starzec podjechał do jego konia. Wówczas Grayle położył mu dłoń na ramieniu, ale przez chwilę milczał z odwróconą twarzą.

Wkrótce Shervane -dowiedział się, że burze sprzed roku zniszczyły nie tylko stary most, uderzenie pioruna bowiem doszczętnie zrujnowało jego dom. Na długie lata przed wyznaczonym czasem cała ziemia, jaką miał Sherval, stała się własnością jego syna. A w rzeczywistości znacznie więcej, zgodnie bowiem z dorocznym zwyczajem zebrana była cała rodzina, kiedy dom stanął w ogniu, i w jednej chwili wszystko, co znajdowało się między morzem a górami, przeszło w posiadanie Shervane'a. Był najbogatszym człowiekiem w swym kraju od wielu pokoleń, ale wszystko by oddał, żeby móc znowu patrzeć w spokojne szare oczy swego ojca, którego już nigdy nie zobaczy.

Od czasu, gdy Shervane pożegnał się z dzieciństwem na drodze u stóp gór, Trilorne wielokrotnie wznosił się i opadał na niebie. W ostatnich latach gospodarstwo rozwinęło się i dobra, które tak nagle odziedziczył, wciąż zyskiwały na wartości. 'Umiejętnie nimi zarządzał i obecnie znów miał więcej czasu na marzenia, a co więcej – miał majątek, który pozwalał mu te marzenia zrealizować.

Często spoza gór docierały opowieści o tym, co Brayldón robił na wschodzie, a chociaż przyjaciele od czasów młodości nigdy się nie widzieli, to jednak regularnie wymieniali nowiny. Brayldón zaspokoił swoje ambicje: zaprojektował nie tylko dwa największe budynki, jakie wzniesiono od starożytności, ale również całe nowe miasto – choć nie zostanie ukoń164

zione za jego życia. Dowiedziawszy się o tym, Shefvane przypomniał sobie własne młodzięcze aspiracje i cofnął się myślą o wiele lat do dnia, kiedy obaj stanęli przed majestatem Ściany. Przez dłuższy czas walczył ze wspomnieniami w obawie, że odżyją dawne pragnienia, których nie da się zaspokoić. W końcu jednak zdecydował się i napisał do Brayldona- jaki jest bowiem pożytek z bogactwa i władzy, jeśli nie służą spełnianiu marzeń?

Shervane czekał na odpowiedź zastanawiając się, czy Brayldon nie zapomniał o przeszłości w ciągu tych lat, które przyniosły mu sławę. Nie czekał długo: Brayldon nie mógł przyjechać

natychmiast z powodu jakichś wielkich robót, które musiał ukończyć, ale kiedy się z tym upora, wówczas odwiedzi swego starego przyjaciela. Shervane rzucił mu wyzwanie na miarę jego kwalifikacji – jeżeli Brayldon to wyzwanie podejmie i wszystko się uda, sprawi mu to większe zadowolenie niż jakiegokolwiek z dotychczasowych osiągnięć.

Przyjechał na początku lata i Shervane wyszedł mu na spotkanie na drogę prowadzącą do mostu. Rozstali się jako chłopcy, a teraz byli niemal w średnim wieku, lecz przy powitaniu minione lata jakby się cofnęły i obaj cieszyli się skrycie widząc, że czas ledwie musnął zapamiętany obraz przyjaciela.

Spędzili wiele dni, naradzając się i rozważając plany przygotowane przez Brayldona. Doprowadzenie do końca tego ogromnego dzieła wymagało wielu lat, ale było możliwe dzięki majątkowi Shervane'a, który przed podjęciem ostatecznej decyzji zaprowadził przyjaciela do Grayle'a.

Starzec od lat mieszkał w niewieJkim domu, który zbudował mu Shervane. Od dawna nie uczestniczył w życiu wielkich majątków, lecz zawsze w potrzebie chętnie służył radą i to niezmiennie mądrą.

Grayle wiedział, po co Brayldon tu przyjechał, i nie okazał zdziwienia, gdy architekt rozwinął swe plany. Największy rysunek przedstawiał Ścianę w rzucie z ogromnymi schodami, wyrastającymi obok niej na nizinie. Sześć łagodnie wznoszących się biegów łączyło szerokie podesty, z których ostatni sięgał niemal szczytu Ściany. W kilku miejscach schody były podparte łukami przyporowymi, które Grayle'owi wydawały się zbyt kruche i cienkie wobec czekającego ich zadania. Potem uświadomił sobie, że ta ogromna konstrukcja będzie w dużej mierze sdmonośna, a z jednej strony całe boczne parcie przejmie Ściana.

Przez chwilę patrzył na rysunek w milczeniu, a potem odezwał się łagodnie:

–Zawsze ci się udawało' dopiąć swego, Shervane. Powinienem był, się domyślić, że w końcu i do tego dojdzie.

–A więc'uważasz, że to dobry pomysł? – spytał Shervane.

Nigdy nie postępował wbrew radzie starca, a teraz bardzo mu na tym zależało, żeby mieć ją niezwłocznie. Jak zwykle Grayle przeszedł od razu do rzeczy.

–Ile to będzie kosztowało? – zapytał.

Brayldon wymienił sumę i na chwilę zapanowało kłopotliwe milczenie.

–Koszty te – dodał pośpiesznie architekt – obejmują również budowę dobrej drogi dojazdowej przez Krainę Cienia i miasteczka dla robotników. Same schody będą wykonane z około miliona jednakowych bloków, łączonych na jaskółczy ogon, żeby zapewnić sztywność konstrukcji. Mam nadzieję, że bloki te zrobimy z minerałów, które znajdziemy w Krainie Cienia.

Westchnął cicho.

–Wolałbym zbudować schody z łączonych metalowych prętów, ale to jeszcze zwiększyłoby koszty, gdyż materiały trzeba by dowozić przez góry.

Grayle uważnie przypatrzył się rysunkowi.

–Dlaczego schody nie sięgają do samego szczytu? – spytał. Brayldon spojrzał na Shervane'a, który odpowiedział starcowi nieco zmieszany.

–Chcę być jedyną osobą, która dokona ostatecznego wejścia – odparł. – Na najwyższym podejściu będzie urządzenie do podnoszenia. Za Ścianą może być niebezpiecznie, dlatego idę sam.

Nie był to jedyny powód, ale wystarczył. Grayle przecież sam powiedział, że za Ścianą jest obłąd. Jeśli to prawda, nie trzeba narażać innych osób.

Grayle ponownie przemówił swym spokojnym sennym głosem.

–W takim wypadku – rzekł – to, co robisz, nie jest ani dobre ani złe, dotyczy bowiem wyłącznie ciebie samego. Jeżeli Ścianę zbudowano, by czegoś nie dopuścić do naszego świata, to w dalszym ciągu powinna pozostać nie do przebycia z tamtej strony.

Brayldon skinął głową.

–Pomyśleliśmy i o tym – powiedział z cieniem dumy w głosie. – W razie potrzeby schody

mężna w każdej chwili zniszczyć, zakładając ładunki wybuchowe w ustalonych miejscach.

–To dobrze – odparł starzec. – Chociaż ja nie wierzę w te hi166

storie, lepiej być na wszystko przygotowanym. Mam nadzieję dożyć końca budowy. A teraz spróbuję przypomnieć sobie, co słyszałem o Ścianie, kiedy byłem tak młody jak ty, Shervane, gdy pytałeś mnie o nią pierwszy raz.

Przed nadejściem zimy droga do Ściany została wytyczona i położono fundamenty miasteczka dla robotników. Nietrudno było znaleźć większość potrzebnych Brayldonowi materiałów. Kraina Cienia bowiem obfitowała w minerały. Ponadto Brayldon zmierzył samą Ścianę i wybrał miejsce pod budowę schodów. Kiedy Trilorne zaczął chować się za widnokretem, Brayldon odczuwał wielką satysfakcję z wykonanej dotychczas pracy.

Do lata zrobiono pierwsze z ogromnej liczby betonowych bloków i poddano je próbom, które zadowolili Brayldona, a zanim znów nadeszła zima, wykonano ich kilka tysięcy i fundamenty były już częściowo gotowe. Zostawiwszy zaufanego pomocnika, który zajął się produkcją, Brayldon mógł teraz wrócić do przerwanej pracy. Kiedy liczba bloków będzie dostatecznie duża, powróci, by nadzorować budowę, ale do tego czasu jego obecność była zbędna.

Dwa lub trzy razy do roku Shervane przyjeżdżał pod Ścianę popatrzeć na rosnące stosy bloków, poukładanych w wielkie piramidy, a po czterech latach razem z nim wrócił Brayldon. Kolejne warstwy kamienia coraz wyżej rysowały się na tle Ściany i już zaczęły się pojawiać luki smukłych podpó*. Początkowo schody rosły wolno, lecz potem, w miarę zwięzania się budowli ku górze, coraz szybciej. Na trzecią część roku przerywano pracę -* w czasie tych długich i niespokojnych miesięcy zimowych Shervane stawał na granicy Krainy Cienia, wsłuchując się w szalejące tam burze, których odgłosy rozbrzmiewały w ciemności. Brayldon jednak budował dobrze i każdej wiosny zastawali konstrukcję nietkniętą, jakby miała przetrwać samą Ścianę.

Ostatnie kamienie położono <w siedem lat od rozpoczęcia^prac. Stojąc w odległości półtora kilometra, by widzieć schody w całości. Shervane nie mógł się nadziwić, że wszystko to powstało z kilku rysunków, które Brayldon pokazał mu przed laty; zrozumiał wówczas, przynajmniej częściowo, co musi czuć artysta, gdy urzeczywistni swe marzenia. Przypomniawszy sobie również dzień, kiedy jako mały chłopiec u boku ojca po raz pierwszy zobaczył w oddali Ścianę na tle mrocznego nieba Krainy Cienia..

Najwyższy podest otoczony był barierą, ale Shervane ani myślał zbliżyć się do niej. Od ziemi dzieliła go przepaść przyprawiająca o zawrót głowy. Starał się więc zapomnieć o wysokości, pomagając Brayldonowi i jego robotnikom ustawiać nieskomplikowaną windę, która pozwoli mu pokonać ostatnie metry dzielące go od szczytu. Gdy winda była już gotowa, wszedł do niej i zwrócił się do przyjaciela z całym spokojem, na jaki mógł się zdobyć.

–Idę tylko na parę minut – rzekł siląc się na obojętność. – Cokolwiek tam zastanę, niedługo wracam.

Nie mógł się nawet domyślać, jak niewiele tam zobaczy.

Grayle był teraz niemal ślepy; nie dożyje wiosny. Poznał jednak zbliżające się kroki i przywitał Brayldona po imieniu, zanim gość zdążył się odezwać.

–Cieszę się, że jesteś – rzekł. – Przemyślałem sobie wszystko, co mi napisałeś, i wydaje mi się, że dotarłem do prawdy. Być może sam już ją odgadłeś.

–Nie – odparł Brayldon. – Bałem się o tym myśleć. Starzec z lekka się uśmiechnął.

–Jak można bać się czegoś tylko z tego powodu, że jest dziwne? Ściana jest' niezwykła, to prawda... lecz nie ma w niej nic strasznego dla tych, co śmiało stawiają czoło jej tajemnicy.

Kiedy byłem chłopcem, Brayldonie, mój stary mistrz[^] powiedział, że czas nigdy nie zniszczy prawdy... może jedynie ukryć ją w legendach. Miał słuszość. Spośród wszystkich bajek, jakie nagromadziły się wokół Ściany, mogę teraz wybrać te, które częściowo są historią.

Dawno temu, Brayldonie, w pełni rozkwitu pierwszej epoki, Trilorne był gorętszy niż obecnie, a Kraina Cienia żyzna i zamieszкана... jak być może w przyszłości Kraina Ognia, gdy Trilorne zestarzeje się i osłabnie. Ludzie mogli podróżować na południe-, kiedy im się podobało, nie było bowiem żadnej Ściany, która by zagroziła im drogę. Stało się z nimi to, co z Shervanem... a było ich tak wielu, że uczeni pierwszej epoki zbudowali Ścianę, by uchronić kraj przed szerzącym się obłędem. Legenda mówi, że powstała ona od razu, w ciągu jednego dnia, z chmury otaczającej planetę, chociaż ja w to nie wierzę.

Pogrążył się w zadumie i Brayldon pozostawił go na chwilę w spokoju. Myślami przeniósł* się w odległą przeszłość i wyobraził sobie swoją pla168

netę, która jak idealna kula unosi się w kosmosie, podczas gdy starożytni rzucają na równik ten pas ciemności. Chociaż w najważniejszych szczegółach obraz ten był fałszywy, to jednak Brayldonowi nigdy nie udało się całkowicie wymazać go z pamięci.

Kiedy ostatnie metry Ściany powoli przesuwaly się w dół przed oczami Shervane'a, musiał

zebrać całą odwagę, by nie zawołać, żeby cofnięto windę. Przypominały mu się jakieś okropne historie, które niegdyś zbywał śmiechem, pochodził bowiem z rasy wolnej od przesądów. A jeżeli mimo wszystko te historie są prawdziwe i Ścianę zbudowano, żeby uchronić planetę przed czymś strasznym?

Próbował odsunąć od siebie te myśli i przyszło mu to bez trudu, kiedy Ściana się skończyła. W pierwszej chwili nie bardzo rozumiał to, co zobaczył; potem zorientował się, że patrzy w nieskazitelną czarną przestrzeń, której głębokości nie potrafił ocenić.

Niewielka winda zatrzymała się i Shervane na wpół świadomie zauważył z podziwem, że obliczenia Brayldona były bardzo dokładne. Następnie rzucił kilka uspokajających słów stojącej w dole grupce, wszedł na Ścianę i pewnym krokiem ruszył przed siebie.

Z początku wydawało mu się, że leżąca przed nim równina nie ma końca, nie mógł bowiem nawet dostrzec, gdzie łączy się z niebem. Szedł jednak śmiało do przodu, mając Trilorne'a za plecami. Żałował, że nie służy mu za przewodnika jego własny cień, który ginął w jeszcze głębszej ciemności pod stopami.

Shervane zauważył coś dziwnego: z każdym krokiem robiło się coraz ciemniej. Przestraszony odwrócił się i zobaczył, że tarcza Trilorne'a przybladła i pociemniała, jakby patrzył na nią przez przydymione szkiełko. Z rosnącym przerażeniem spostrzegł, że to bynajmniej nie wszystko – Trilorne był mniejszy od słońca, które znał dotychczas.

Ze złością potrząsnął wyzywająco głową: to tylko urojenia, wszystko sobie wymyślił. A choć rzeczywiście widział to po raz pierwszy, jakoś opanował strach i odważnie szedł naprzód: tylko od czasu do czasu spoglądał za siebie na słońce.

Kiedy z Trilorne'a został tylko punkcik i wokół zrobiło się całkiem ciemno, należało skończyć z udawaniem. Człowiek rozsądniejszy wówczas by zawrócił. Shervane ujrzał w duchu koszmarne obraz: zobaczył siebie samego, jak zagubiony w wiecznym półmroku między niebem a ziemią nie może odnaleźć własnych śladów, które by go zaprowadziły do bez

pieczeństwa. I wtedy uprzytomnił sobie, że dopóki widzi Trilorne'a, dopóty nic takiego mu nie grozi.

Teraz szedł dalej trochę niepewnie, często rzucając za siebie "spojrzenia na blade światło przewodnie. Sam Trilorne zniknął, ale tam, gdzie się znajdował, pozostała niewyraźna poświata. Wkrótce Shervane już nie potrzebował jego pomocy, daleko przed sobą zobaczył bowiem, na niebie inne światło.

Początkowo zaledwie migalo, a kiedy Shervane był już pewien jego istnienia, zauważył, że Trilorne zupełnie zniknął. Mimo to poczuł się raźniej i gdy tak szedł naprzód, powracająca jasność rozpraszała jego strach.

Kiedy spostrzegł, że naprawdę zbliża się do drugiego słońca, i mógł stwierdzić ponad wszelką

wątpliwość, że słońce to rośnie, z taką samą szybkością, z jaką przed chwilą kurczył się Trilorne, stłumił w sobie zdumienie. Postanowił tylko obserwować wszystko i dobrze zapamiętać – później będzie czas na zrozumienie tych rzeczy. To, że jego planeta mogła mieć dwa słońca świecące po przeciwnych stronach, mimo wszystko nie przechodziło ludzkiego wyobrażenia.

Wreszcie zobaczył słabo widoczną w' ciemności hebanową smugę: drugą xkrawędź Ściany. Wkrótce będzie pierwszym człowiekiem od tysięcy lat, a być może w ogóle pierwszym, który ujrzy ziemię oddzielone Ścianą od jego świata. Czy będą one tak piękne jak jego własny kraj i czy będą tam ludzie, których z radością powita?

Lecz nawet mu się nie śniło, że będą czekali, a tym bardziej że przywitają go w taki sposób.

Grayle wyciągnął rękę w stronę stojącego nie opodal sekretarzyka i po omacku szukał dużego arkusza papieru, który leżał na blacie. Brayl-don obserwował go w milczeniu, a starzec mówił dalej.

–Jakże często słyszy się o dyskusjach na temat rozmiarów wszechświata i jego granic! Nie możemy sobie wyobrazić końca przestrzeni: nasze umysły jednak buntują się przeciwko pojęciu nieskończoności. Niektórzy filozofowie wyobrażają sobie, że przestrzeń jest ograniczona przez zakrzywienie w jakimś wyższym wymiarze... przypuszczam, że znasz tę teorię. Może to i prawda w innych światach, jeżeli istnieją, lecz w naszym jest to bardziej skomplikowane.

Wzdłuż linii Ściany, Brayldonie, nasz świat się kończy – a zarazem

•170

nie kończy. Zanim zbudowano Ścianę, nie było żadnej granicy: nic nikogo nie mogło powstrzymać, gdy chciał tam pójść. Ściana jest po prostu zbudowaną przez człowieka barierą o takich samych własnościach jak przestrzeń, w której się znajduje. Własności te zawsze istniały i Ściana ich nie zmieniła.

Powoli obracając arkusz, wyciągnął go w stronę Brayldona.

–Oto zwyczajny arkusz papieru – rzekł. – Ma oczywiście dwie strony. Czy możesz sobie wyobrazić taki, który ma tylko jedną? 1 Brayldon popatrzył na starca zdumiony.

–To niemożliwe... absurdalne!

–Czyżby? – łagodnie spytał Grayle.

Znów sięgnął do sekretarzyka i palcami szukał czegoś po omacku w jego zakamarkach. Wreszcie wyciągnął długi pasek papieru i skierował niewidzące oczy w stronę Brayldona, który czekał w milczeniu.

–Intelektem nie dorównujemy ludziom z pierwszej epoki, ale do tego, co ich umysły pojmowały w lot, możemy dotrzeć drogą analogii. Prosta sztuczka, która wydaje się tak banalna, chyba ci ułatwi poznanie prawdy.

Przeciągnął palcami wzdłuż papierowego paska, a później połączył oba jego końce i powstał pierścień.

–Oto forma, która jest ci doskonale znana: wycinek cylindra. Przeciągać palcami wewnątrz... o tak... a teraz na zewnątrz. Obie powierzchnie wyraźnie się różnią: można dostać się z jednej strony na drugą, trzeba tylko pokonać grubość paska. Zgadza się?

–Oczywiście – odparł Brayldon, w dalszym ciągu niczego nie rozumiejąc. – Ale czego to ma dowieść?

–Niczego – rzekł Grayle. – A popatrz teraz...

Shervane pomyślał, że słońce to jest bliźniakiem Trilorne'a. Ciemność zupełnie się rozproszyła i nie miał już wrażenia, którego źródła nie próbował zrozumieć, że idzie niziną bez końca. Szedł teraz powoli w obawie, że zbyt nagle natknie się na przepaść przyprawiającą o zawrót głowy. Po chwili na widnokręgu dostrzegł niskie[^] wzgórza, tak samo nagie i wymarłe jak te, które zostawił za sobą. Widok ten niezbyt go rozczarował, jego wjasny kraj bowiem na pierwszy rzut oka nie wyglądałby atrakcyjniej.

Maszerował więc dalej, a kiedy wkrótce lodowata ręka ścisnęła mu

serce, nie zatrzymał się, co z pewnością zrobiłby człowiek mniej odważny od niego. Śmiało patrzył na pojawiający się przed jego oczami przeraźliwie znajomy krajobraz, aż dojrzał równinę, z której rozpoczął swą wyprawę, ogromne schody, a w końcu niespokojną twarz czekającego Brayl-dona.

Grayle na nowo połączył oba końce paska, ale przedtem obrócił je w taki sposób, że papier spiralnie się skręcił. Podał powstały pierścień Brayldonowi.

–Teraz przeciągnij po tym palcem – rzekł cicho. Brayldón nie potrzebował tego robić: wiedział, co starzec ma na myśli.

–Rozumiem – rzekł. – Nie ma już dwóch oddzielnych powierzchni. Teraz papier tworzy ciągłą płaszczyznę... jednostronną powierzchnię... co w pierwszej chwili wydaje się całkowicie niemożliwe.

–Tak – odparł Grayle bardzo cicho. – Wiedziałem, że zrozumiesz... Jednostronna powierzchnia... Teraz chyba pojmujesz, dlaczego spiralny pierścień był tak powszechnym symbolem w dawnych wierzeniach, chociaż jego znaczenie całkiem uległo zapomnieniu. Oczywiście to bardzo prymitywna i uproszczona analogia... przykład trójwymiarowości w dwóch wymiarach. Ale tylko w ten sposób mogliśmy dotrzeć jak najbliżej prawdy.

Zapadło długie pełne zadumy milczenie. Potem Grayle westchnął głęboko i zwrócił oczy ku Brayldonowi, jak"by wciąż mógł widzieć jego twarz.

–Dlaczego wróciłeś przed ShervaneVm? – spytał, choć bard/o dobrze znał odpowiedź.

–Musieliśmy to zrobić'- odparł ze smutkiem Brayldón – ale ja nie chciałem patrzeć, jak ginie moje dzieło. Grayle pokiwał głową ze współczuciem.

–Rozumiem – rzekł.

Shervane raz jeszcze spojrział na ogromne schody, po których nigdy już nikt nie będzie stąpał. Odczuwał żal: usiłował coś osiągnąć i nic więcej nie mógł zrobić, chociaż jedyne możliwe zwycięstwo przypadło w udziale jemu. '

Powoli uniósł rękę i dał sygnał. Ściana pochłonęła odgłos wybuchu

tak samo jak wszystkie dźwięki, ale tę niespiesznią grację, z jakimi schody pokłoniły się i runęły, Shervane będzie pamiętał do końca życia. Przez chwilę miał wizję: ujrzał nagle niezwykle wyraźny obraz innych walących się schodów, na które patrzył inny Shervane po drugiej stronie Ściany.

Szybko jednak uświadomił sobie niedorzeczność tej rzyśli: nikt bowiem nie wiedział lepiej od niego, że druga strona Ściany w ogóle nie istnieje.

Przełożył Marek Cegiela

U PROGU RAJU

–To już chyba koniec trasy – powiedział Jerry Garfield. wyłączając zapłon.

Z cichym westchnieniem umilkły silniki odrzutowej pojazd zwiadowczy Wędrowny Ptak, pozbawiony swej poduszki powietrznej, osiadł na powybrzuszanych skałach Płaskowyzu Zachodniego.

Dalej posuwać się, nie sposób – ani na silnikach odrzutowych, ani na gąsienicach S5, by użyć oficjalnej nazwy, pojazd nie mógłby pokonać wyrosłej przed nim stromizny. Do bieguna południowego Wenus pozostało zaledwie pięćdziesiąt kilometrów, ale równie dobrze mógł znajdować się na innej planecie. Będą musieli zawrócić, a czeka ich niemal ośmiuset-kilometrowa droga powrotna po własnych śladach przez ten koszmarny krajobraz.

Powietrze było fantastycznie czyste i widoczność sięgała tysiąca metrów. Nie musieli używać radaru, by zobaczyć przed sobą strome skały; przynajmniej raz wystarczało gołe oko. Zielona poświata, sącząca się poprzez szczelną warstwę chmur, które kłębiły się od miliona lat, nadawała tej scenerii podobieństwo do krajobrazu podwodnego, a wrażenie to potęgowała mgielka pokrywająca wszystkie dalekie obiekty. Chwilami łatwo mogli ulec złudzeniu, że jadą po dnie płytkiego morza, i Jerry kilkakrotnie wyobraził sobie płynące w górze ryby.

–Mam zawiadomić statek, że wracamy? – spytał.

–Jeszcze nie – powiedział doktor Hutchins. – Chciałbym się zastanowić.

Jerry rzucił błagalne spojrzenie trzeciemu członkowi załogi, lecz nie znalazł tam duchowego wsparcia. Coleman był taki sam; chociaż ci dwaj połowę czasu spędzali na zawziętych kłótniach, obaj byli jednak uczonymi, a więc, zdaniem twardego inżyniera nawigatora, nie zaliczali się* do grona całkowicie odpowiedzialnych obywateli. Gdyby Cole

i Hutch wpadli na jakiś wspaniały pomysł, żeby jeehać dalej, to mógłby co najwyżej wyrazić swój sprzeciw.

Hutchins krążył po maleńkiej kabinie w tę i we w tę, studiując mapy i wskazania instrumentów. Teraz omiatał szperaczem skały i zaczął uważnie przyglądać się im przez lornetkę.

– Chyba nie oczekuje ode mnie, że tam wjadę! – pomyślał Jerry. – S5 to poduszkowiec, a nie kozica" ..

Wtem Hutchins coś znalazł. Głośno odetchnął, wypuszczając z płuc wstrzymywane powietrze, a potem zwrócił się do Colemana.

– Spójrz! – wykrzyknął w podnieceniu. – Trochę w. lewo od tej czarnej kropki! Powiedz mi, co widzisz. •

Oddał lornetkę i z kolei Coleman wyteńczył wzrbk.

– Coś podobnego – powiedział w końcu. – Miałeś rację. Są rzeki na Wenus. To wyschnięty wodospad.

– Jesteś mi więc winien obiadów,,Bel Gourmef po powrocie do Cambridge. Z szampanem.

– Nie musisz mi przypominać. Ostatecznie, za taką cenę to taniocha. Ale reszta tych twoich teorii jest rodem z domu wariatów.

– Chwileczkę – wtrącił Jerry. – Jakie rzeki, jakie wodospady? Przecież wszyscy wiedzą, że nie mogą istnieć na Wenus. Ta planeta przypomina łaźnię parową i nigdy tu nie jest na tyle chłodno, żeby chmury mogły się skropić.

– A patrzyłeś ostatnio na termometr? – spytał Hutchins z przekąsem.

– Byłem zbyt zajęty prowadzeniem.

– Mani więc dla ciebie nowinę. Wskazuje już 110 stopni i ciągle spada. Nie zapominaj, że jesteśmy prawie na biegunie, mamy zimę i znajdujemy się dwadzieścia tysięcy metrów nad poziomem nizin. Wszystko to powoduje wyraźne schłodzenie powietrza. Jeśli temperatura obniży się jeszcze o kilka stopni, spadnie deszcz. Woda będzie się oczy wiście gotować, ale będzie to woda. I chociaż George może się z tym nie zgadzać, l akt ten stawia Wenus w zupełnie innym świetle.

– Dlaczego? – spytał Jerry, choć już, się domyślał.

–Tam gdzie jest woda, może być życie. Zbyttnio się pospieszyliśmy, zakładając jałowość Wenus tylko dlatego, że przeciętna temperatura sięga trzystu stopni. Tutaj jest chłodniej, stąd tak bardzo nam zależało, żeby dotrzeć do bieguna. Tu na wyżynach są jeziora i chciałbym sobie na nie popatrzeć.

–Ale pełne ukropu! – zaprotestował Coleman. – W ukropic nie ma życia!

–Na Ziemi są algi, które jakoś sobie z tym radzą. Od początku eksploracji innych planet nauczyliśmy się przynajmniej jednego: jeżeli gdziekolwiek istnieją najmniejsze możliwości przetrwania życia, to się je w końcu odnajduje. I to jest jedyna taka możliwość na Wenus.

–Chciałbym, żebyśmy mogli potwierdzić tę twoją teorię. Należałoby to sprawdzić, a my nie możemy pokonać tego urwiska.

–Może nie pojazdem. Ale niezbyt trudno byłoby wspiąć się na te skały nawet w skafandrze termicznym. Trzeba by tylko przejść kilka kilometrów pieszo w kierunku bieguna. Według map radarowych teren za krawędzią urwiska jest dość równy. Poradzilibyśmy sobie z tym w... noo... najwyżej dwanaście godzin. Każdemu z nas już dłużej zdarzało się przebywać w o wiele gorszych warunkach.

. Istotnie. Kombinezony ochronne, które utrzymywały człowieka przy życiu na wenusjańskich nizinach, z łatwością spełniłyby swoje zadanie tutaj, gdzie jest zaledwie o trzydzieści parę stopni cieplej niż w Dolinie Śmierci w pełni lata.

–Cóż – rzekł Coleman. – Znasz regulamin. Nie możesz iść sam, a ktoś musi tu zostać, żeby zapewnić kontakt ze statkiem. Tym razem jak to, załatwimy... szachy czy karty?

–"Partia szachów potrwa zbyt długo – odparł Hutchins – szczególnie jeśli to wy macie grać.

Sięgnął do szuflady stolika nawigacyjnego i wyjął mocno podniszczoną talię.

–Cięgnij, Jerry.

–Dziesiątka pik. Mam nadzieję, że mnie nie pobijesz, George.

–Ja również mam taką nadzieję. Cholera... tylko piątka trefl. No, cóż, kłaniajcie się ode mnie Wenusjanom.

Wbrew zapewnieniom Hutchinsa wspinaczka po urwisku okazała się trudna. Zbocze może nie było zbyt strome, ale na każdego z nich przypadało ponad pięćdziesiąt kilogramów aparatury tlenowej, chłodzonego kombinezonu i sprzętu badawczego. Mniejsze ciężenie – o trzysta procent słabsze od ziemskiego – stanowiło pewną, lecz niewielką pomoc, kiedy mozolnie pokonywali piargi, zatrzymywali się na występach skalnych dla złapania tchu, a potem dalej się wspinali niczym w podwodnym półmroku. Otaczająca ich szmaragdowa poświata była intensywniejsza od blasku księżyca w pełni na Ziemi. Jerry pomyślał sobie, że na Wenus

k

nie-byłoby żadnego pożytku z Księżyca: nie można by go zobaczyć z powierzchni planety i nie istniały oceany, żeby rządził ich przyptywami, a owa nigdy nie gasnąca poświata jest o wiele pewniejszym, bo stałym źródłem światła.

Dopiero gdy pokonali ponad sześćset metrów, stromizna przeszła w łagodny stok, pocięty tu i ówdzie żlebami, które najwyraźniej wymyła płynąca woda. Po krótkich poszukiwaniach natknęli się na rynnę, wystarczająco szeroką i głęboką, by mogła zasłużyć sobie na miano koryta rzeki, i ruszyli jej dnem.

–Właśnie przyszło mi coś do głowy – odezwał się Jerry, kiedy przeszli kilkaset metrów. – Co będzie, jeśli przed nami zerwie-się burza? Nie mam ochoty na kąpiel we wrzątku.

–Jeśli się zerwie, to ją usłyszymy – odparł Hutchins z lekka poirytowanym tonem. – Będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby dotrzeć do jakiegoś wyżej położonego miejsca.

Niewątpliwie miał ra*cję, ale Jerry wciąż odczuwał niepokój podczas dalszej wspinaczki łagodnie wznoszącym się korytem. Jego obawy nasiliły się, kiedy wskutek wybrzuszenia stoku stracili kontakt radiowy z pojazdem. Brak łączności z towarzyszami był w owym czasie zdarzeniem wyjątkowym i niepokojącym. Jerry jeszcze nigdy w życiu tego nie doświadczył; nawet na pokładzie Gwiazdy Porannej, gdy znajdowali się o sto milionów kilometrów od Ziemi, zawsze mógł wysłać wiadomość rodzinie i otrzymać odpowiedź w ciągu kilku minut. Jeżeli tutaj coś im się przydarzy, nikt s'ię o tym nie dowie, zanim jakaś późniejsza ekspedycja odnajdzie ich ciała. George odczeka ustalony czas, a potem wróci na statek – sam. •

Chyba naprawdę nie mam w sobie nic z pioniera – pomyślał Jerry. – Lubię prowadzić skomplikowane maszyny i dlatego zająłem się lataniem w kosmosie. Nigdy jednak nie zastanawiałem się, dokąd mnie to zaprowadzi, a teraz jest za późno, żeby się rozmyślić...

Przeszli już z pięć kilometrów w stronę bieguna krętym korytem rzeki, kiedy Hutchins zatrzymał się, by przeprowadzić obserwacje i zebrać okazy.

–Robi się coraz chłodniej – rzekł. – Temperatura spadła do dziewięćdziesięciu trzech stopni. Grubo poniżej minimum, jakie dotychczas zarejestrowano na Wenus. Szkoda, że nie mogę połączyć się z George'em, żeby go o tym zawiadomić.

Jerry próbował na różnych częstotliwościach i nawet udało mu się

12 -Gwiii/da '177

złapać statek – nieprzewidziane zmiany w jotiosierze planety czasem umożliwiały odbiór z

dużej odległości – lec/ poza trzaskami wenusjańskich burz nie wyłowił ani śladu fali nośnej.

–Mam coś lepszego – odezwał się Hutchins, tym-razem naprawdę podniecony. – Rośnie stężenie tlenu... piętnaście części na milion. Przy pojeździe było tylko pięć, a na nizinach ledwie dało się wykryć.

–Ale piętnaście na milion! – zaprotestował Jerry. – Tym nic nie może oddychać!

–Patrzysz na to z niewłaściwej strony – tłumaczył mu Hutchins. – Rzecz nie w oddychaniu, lecz w wytwarzaniu. Jak myślisz, skąd się bierze tlen na Ziemi? Jest produktem życia... żywych roślin. Nim one rozwinęły się na Ziemi, nasza atmosfera wyglądała dokładnie jak ta... bezładna mieszanina dwutlenku węgla, amoniaku i metanu. Później pojawiła się roślinność i powoli przekształciła atmosferę w coś, czym mogły oddychać zwierzęta.

–Rozumiem – rzekł Jerry. – Myślisz, że ten sam proces właśnie rozpoczął się tutaj?

–Na to wygląda. Coś niedaleko stąd wytwarza tlen... a najprostszym wyjaśnieniem są żywe rośliny. Ny

–A tam, gdzie są rośliny, przypuszczam, że prędzej czy później będą i zwierzęta – wywnioskował Jerry.

–Tak – potwierdził Hutchins, chowając instrumenty i ruszając korytem w górę. – Choć to trwa parę milionów lat. Może zjawiliśmy się tutaj ^a wcześniej... lecz mam nadzieję, że nie.

–Wszystko to bardzo pięknie – powiedział Jerry. – Ale przypuśćmy, że spotkamy coś, czemu się nie spodobamy? Przecież, nie mamy żadnej broni.

^Hutchins parsknął z oburzenia.

–I nie jest nam potrzebna. Czy zastanawiałeś się kiedykolwiek, jak my wyglądamy? Na nasz widok każde zwierzę ucieknie na kilometr.

Było w tym trochę prawdy. Ich skafandry termiczne, pokryte od stóp, do głów metalową folią, odbijającą promienie, przypominały błyszczącą zbroję. Żaden owad nie miał tak wymyślnych czułeków jak anteny na ich hełmach czy plecakach, a duże soczewkowate szyby, przez które patrzyli na świat, wyglądały niczym puste monstrualne oczy. Istotnie, tylko niewiele stworzeń na Ziemi nie ulękłoby się takich zjaw, jednak ewentualni mieszkańcy Wenus mogą zareagować inaczej.

Jerry jeszcze się nad tym-zastanawiał, kiedy dotarli do jeziora. Nawet na pierwszy rzut oka przywodziło na myśl nie życie, którego szu178

kali, lecz śmierć. Niby czarne lustro leżało w zagłębieniu między wzgórzami; jego przeciwległy brzeg tonął w odwiecznej mgle, a upiorne słupy pary wirując tańczyły po

powierzchni. Jerry pomyślał sobie, że brak tylko łodzi Charona, która by ich przewiozła na drugą stronę... albo Łabędzia z Tuoneli, majestatycznie pływającego w tę i z powrotem na straży wejścia do podziemnego świata...

Mimo wszystko jednak był to cud – pierwsza woda w stanie wolnym, jaką kiedykolwiek znalazł człowiek na Wenus. Hutchins już klęczał, ' jakby odmawiał modlitwę. Lecz tylko zbierał krople cennego ołnu. żeby go zbadać pod kieszonkowym mikroskopem.

–Znalazłeś coś? – spytał niecierpliwie Jerry.

. – Jeśli coś jest, to zbyt małe, żeby dało się zobaczyć za pomocą tego instrumentu. Powiem ci więcej, kiedy wrócimy na statek.

Szczelnie zakorkował probówkę i pieczołowicie włożył ją do torby jak poszukiwacz złota chowający dopiero co znaleziony samorodek. Mogła to być, i prawdopodobnie była, po prostu zwykła woda, ale niewykluczone, że zawierała świat nieznanych istot na pierwszym etapie ich drogi do inteligencji przez miliardy lat.

Przeszli nie więcej niż kilkanaście metrów brzegiem jeziora, gdy Hutchins znów się zatrzymał, ale tak nagle, że Garfield niemal nań wpadł.

–Co się stało? – spytał Jerry. – Zobaczyłeś coś?

–Spójrz tam, na tę ciemną skałę. Zwróciłem na nią/ uwagę, nim zatrzymaliśmy się nad jeziorem.

–No i co? Dla mnie wygląda najnormalniej.

–Uważam, że się powiększyła.

Jerry miał zapamiętać tę chwilę na całe życie. Nie wiadomo dlaczego, nigdy nie wątpił w to, co twierdził Hutchins, a teraz był w stanie uwierzyć we wszystko, nawet że skały rosną. Poczucie odosobnienia, atmosfera tajemniczości, to ciemne ponure jezioro, nigdy nie cichnące grzmoty dalekich burz i zielona migotliwa poświata – wszystko to w jakiś sposób wpłynęło na stan jego umysłu, przygotowało na spotkanie z niewiarygodnym. Nie odczuwał jednak strachu – ten pojawi się później.

Popatrzył na skałę. Znajdowała się w odległości około stu pięćdziesięciu metrów, jeżeli się nie mylił. W tym zamglonym szmaragdowym świetle odległości czy wymiary niełatwo było ocenić. Skała albo to, co ją przypominało, leżała niby płyta z niemal czarnego materiału prawie na szczycie niskiego wzgórza, a obok niej druga, znacznie mniejsza, z podobnego tworzywa. Jerry starał się zapamiętać szerokość przerwy między nimi, aby mieć sprawdzian wszelkich zmian.

Nawet kiedy zauważył, że przerwa powoli się zmniejsza, jeszcze nie odczuwał strachu – jedynie podniecającą ciekawość. Dopiero wówczas, gdy całkowicie zniknęła i zorientował się, że wzrok wyprowadził go w pole, okropne uczucie obezwładniającej trwogi ścisnęło mu serce.

To nie żadne rosnące czy poruszające się skały. Widzieli jakąś ciemną falę, pełznącego dywan, który wolno, lecz nieubłaganie sunął ku nim ze szczytu wzgórza.»

Chwila naglej nieuzasadnionej paniki trwała na szczęście nie więcej niż kilka sekund. Prerażenie Garfielda zaczęło ustępować, gdy tylko uświadomił sobie jego przyczynę. Otóż sunąca fala nazbyt żywo przypominała mu przeczytane wiele lat temu opowiadanie o armii mrówek zrrad Amazonki, które wszystko niszczyły na swej drodze.

Lecz ta fala, czymkolwiek była, poruszała się za wolno, aby stanowić rzeczywiste niebezpieczeństwo, o ile nie odetnie im drogi odwrotu. Hutchins przyglądał się jej uważnie przez ich jedyną lornetkę -jako biolog trwał na posterunku. Jerry pomyślał, że "nie ma sensu robić z siebie głupca i uciekać jak oparzony.

–Na miłość boską, co to? – spytał w końcu, kiedy sunący dywan był już w odległości zaledwie stu metrów, a Hutchins ani się nie odzywał, ani nawet nie drgnął.

Dopiero teraz poruszył się z wolna jak ożywający posąg.

–Przepraszam – rzekł. – Całkiem o tobie zapomniałem. To oczywiście roślina. Przynajmniej tak to powinniśmy nazwać.

–Ale to się porusza!

–Cóż w tym dziwnego? To samo robią rośliny na Ziemi. Nigdy nie widziałeś, jak rusza się bluszcz w przyśpieszonym filmie?

–Tak, ale pozostaje w tym samym miejscu, nie pełza po ziemi.

–A morskie rośliny planktonowe? Kiedy muszą, pływają.

Jerry zaniechał sporu, tym bardziej że zbliżający się dziwotwór odbierał mu wszelki koncept.

W duchu wciąż nazywał tę rzecz dywanem – puszystym i obrzeżonym frędzlami. Jego grubość zmieniała się w ruchu: to był cienki jak błona, to znów grubiał do przeszło trzydziestu centymetrów. Kiedy się zbliżył i Jerry mógł dostrzec jego fakturę, przypominał czarny aksamit. Jerry zastanawiał się, jaki jest w dotyku, i wówczas uświadomił sobie, że mógłby się sparzyć, gdyby nawet ów dywan nie chciał im wyrządzić nic złego. Przyłapał się na myśli pełnej niefrasobliwości, która jest częstym objawem reakcji na doznany szok: jeśli istnieją jacyś Wenusjanie, nigdy nie będziemy mogli podać im ręki. My byśmy poparzyli sobie dłonie, oni zaś

odmrozi.

Dotychczas nic nie świadczyło, że to coś zdaje sobie sprawę z ich obecności. Po prostu płynęło przed siebie jak bezrozumna fala, którą prawie na pewno było. Gdyby nie wspinało się na niewielkie przeszkody, mogłoby uchodzić za płynącą wodę.

A potem, zbliżywszy się na odległość zaledwie trzech metrów, aksamitna fala przyhamowała. Z lewej i z prawej strony w dalszym ciągu sunęła naprzód, lecz pośrodku, akurat na wprost nich, zaczęła zwalniać, aż w końcu się zatrzymała.

– Otacza nas – rzekł zaniepokojony* Jerry. – Lepiej się cofnąć, póki nie nabierzemy pewności, że nic nam nie grozi.

Odetchnął z ulgą, Hutchins bowiem niezwłocznie się wycofał. Po chwili wahania stwór -na nowo podjął swój niespieszny pochód i zagłębienie z przodu zniknęło.

Wówczas Hutchins zrobił parę kroków naprzód, a to coś powoli się cofnęło. Biolog kilkakrotnie ruszał w stronę żywej fali tylko po to, żeby natychmiast wrócić, co za każdym razem powodowało jej odpływ i przyływ zgodnie z jego ruchami. Jerry nigdy by nie przypuszczał, że dożyje chwili, gdy człowiek będzie tańczył walca z rośliną...

– Termofobia – powiedział Hutchins. – Czysto odruchowa reakcja. Przy nas jej za gorąco.

– Za gorąco! – wykrzyknął Jerry. – Niby dlaczego, skoro przez koptrast jesteśmy dla niej żywymi soplami?

– My oczywiście tak, ale nie nasze skafandry, a wie tylko o nich.

Jerry pomyślał, że wyszedł na durnia. W wygodnym klimatyzowanym skafandrze łatwo zapomnieć, że z agregatu chłodzącego na plecach nieprzerwanie wydobywał się strumień gorącego powietrza. Nic dziwnego, że ta wenusjańska roślina tak się odsuwała...

– Sprawdźmy, jak reaguje na światło – rzekł Hutchins.

Włączył umieszczony na piersi reflektor i w okamgnieniu czysto biała jasność rozproszyła zieloną poświatę. Aż do przybycia człowieka rta Wenus nigdy białe światło nie rozjaśniało jej powierzchni, nawet zadnia. Jak w ziemskich oceanach, panował tu jedynie zielony półmrok, przechodzący w zupełną ciemność.

Zmiana była tak oszałamiająca, że żaden z nich nie mógł powstrzymać okrzyku zdumienia. W jednej chwili zniknęła głęboka przynębiająca czerń aksamitu puszystego dywanu u ich stóp. W zasięgu światła reflektorów ujrzeli rozmaitość wspaniałych żywych czerwieni w złote cętki. Żadnemu z perskich książąt nie wykonano tak przebogatej tkaniny, a przecież ta była przypadkowym tworem natury. Przed włączeniem

m

reflektorów te przepiękne barwy właściwie nie istniały i ponownie zniknij, gdy to obce światło, przywiezione z Ziemi, przestanie je wyczarowywać.

–Tików miał rację – mruknął Hutchins. – Szkoda, że nigdy się o tym nie dowie.

–Rację? Z czym? – spytał Jerry, choć wobec tak pięknego widoku rozmowa zdawała się niemal świętokradztwem.

–Odkrył przed pięćdziesięciu laty w Rosji, że rośliny żyjące w bardzo zimnym klimacie przybierają zabarwienie fioletowe i niebieskie, a w gorącym czerwone albo pomarańczowe. Przewidywał, że roślinność na Marsie będzie fioletowa, i twierdził, że jeśli na Wenus istnieją rośliny, to są czerwone. No i w obu wypadkach miał rację. Ale nie możemy tak stać tutaj przez cały dzień... mamy jeszcze coś do zrobienia.

–Masz pewność, że ona jest całkiem niegroźna? – spytał Jerry, w którym odżyła nieufność.

–Absolutną. Nawet gdyby chciała, nie może dotknąć naszych skafandrów. A poza tym właśnie nas mija.

I rzeczywiście. Teraz widzieli ją w całej okazałości – nie była to kolonia, lecz pojedyncza roślina o kształcie zbliżonym do koła średnicy prawie stu metrów. Sunęła po ziemi jak cień pędzonej wiatrem chmury, pozostawiając za sobą na skałach niezliczone maleńkie dziurki, które mogły być skutkiem działania jakiegoś kwasu.

–Tak – rzekł Hutchins, gdy Jerry o tym napomknął. – W ten sposób odżywiają się niektóre porosty. Wydzielają kwas, by rozpuścić skałę. Ale proszę cię, wstrzymaj się z pytaniami do powrotu na statek. Mam tu pracę, której starczyłoby na całe życie dla kilku osób, a tylko parę godzin na jej wykonanie.

To była botanika w ruchu... wrażliwy brzeg tej olbrzymiej rośliny poruszał się ze zdumiewającą szybkością, kiedy starała się ich obejść. Wyglądało, jakby mieli do czynienia z żywym plackiem o powierzchni blisko pół hektara. Poza odruchowym unikaniem ciepła wydmuchiwanego z ich skafandrów, nie było żadnej reakcji, gdy Hutchins pobierał wycinki czy próbki. Stwór wytrwale parł do przodu poprzez wzgórza i doliny, kierowany nieznanym roślinnym instynktem. Być może trzymał się żyły jakiegoś minerału, lecz to ustalą dopiero geolodzy po analizie próbek zebranych przez Hutchinsa przed tym żywym dywanem i po jego przejściu.

Prawie nie mieli czasu, by myśleć czy choćby nawet wypowiedzieć niezliczone pytania, które im się cisnęły na usta w związku z ich odkryciem. Przypuszczalnie stwory te są dość powszechne, jeśli na jednego

z nich natknęli się tak szybko. Jak się rozmnażają? Przez pączkowanie? Podział? Zarodniki? Albo jeszcze w jakiś inny sposób? Skąd czerpią energię? Czy mają krewniaków, konkurentów, pasożyty? Nie mogła to być jedyna forma życia na Wenus – sama myśl o tym wydawała się niedorzeczna, bo jeśli powstał jeden gatunek, powinno istnieć ich tysiące.

W końcu zwykły głód i zmęczenie zmusiły ich do zatrzymania się. Badany przez nich stwór mógł równie dobrze obejść w ten sposób Wenus, chociaż Hutchins uważał, że nigdy za bardzo nie oddala się od jeziora, gdyż od czasu do czasu podchodził do wody i zanurzał w niej długą rurkowatą wić. Przybyłe z Ziemi zwierzęta musiały jednak odpocząć.

Rozstawili pneumatyczny namiot, precyzyjnie się przez służbę powietrzną i z ogromną ulgą zdjęli skafandry. Dopiero podczas odpoczynku wewnątrz niewielkiej plastikowej półkuli po raz pierwszy dotarło do ich świadomości, że dokonali naprawdę wspaniałego i ważnego odkrycia. Ów świat wokół nich był już nie ten sam – Wenus, jak Ziemia i Mars, przestała być martwą planetą.

Życie bowiem wzywało życie poprzez otchłanie kosmosu. Wszystko, co rośnie czy porusza się na powierzchni jakiegokolwiek planety, jest zapowiedzią i obietnicą, że człowiek nie pozostanie sam w tym wszechświecie płonących słońc i wirujących mgławic. Choć jeszcze nie napotkał towarzyszy, z którymi mógłby się porozumieć, to tylko kwestia czasu; wciąż miał przed sobą całe lata świetlne i wieki, czekające na zbadanie. Tymczasem zaś musi chronić i pielęgnować życie, które już znalazł, czy to na Ziemi, na Marsie czy też na Wenus.

Tak myślał Graham Hutchins, najszczęśliwszy biolog w Układzie Słonecznym, pomagając Garfieldowi zbierać resztki jedzenia do hermetycznej torby z plastiku. Kiedy zwinęli namiot i ruszyli w drogę powrotną, po stworzeniu, które badali, nie było już ani śladu. I dobrze, się stało. Mogliby przecież pokusić się o dalsze eksperymenty, opóźniając powrót, którego czas niepokojąco się zbliżał.

Tak czy inaczej za kilka miesięcy znowu się tu pojawią z zespołem asystentów i znacznie lepszym sprzętem, a wówczas będątą nich zwrócone oczy całego świata. Ewolucja pracowała na to spotkanie przez miliard lat, można więc jeszcze trochę z tym poczekać.

Przez chwilę nic się nie poruszało w migotliwej zielonej poświacie, wypełniającej zamglony krajobraz, opuszczony zarówno przez człowieka, jak i przez purpurowy dywan. Potem spoza omiatanych wiatrem wzgórz znów wypłynęło to stworzenie. A jeśli nawet był to inny przedstawiciel tego samego gatunku, nikt się o tym nie dowie..

Stworzenie miało niewielki kopiec kamieni, pod którym Hutchins i Garfield ukryli odpadki. I wtedy się zatrzymało.

Nie zastanawiało się, ponieważ nie miało rozumu. Ale chemiczne impulsy, bezlitośnie je ganiające po biegunowym płaskowyżu, nakazały: tutaj! Gdzieś blisko, tuż, tuż, znajdowało się najcenniejsze dlań pożywienie – fosfor – pierwiastek, bez którego iskra życia nie mogłaby zapłonąć. Zaczęło węszyć po skałach, wciskać się w szczeliny i pęknięcia, skrobać i drapać, przeszukując grunt wiciami. Cokolwiek to stworzenie robiło, nie przekraczało to możliwości żadnej rośliny czy drzewa na Ziemi, tyle że poruszało się tysiąc razy szybciej: w ciągu kilku minut osiągnęło swój cel, przebijając plastikową folię.

A potem rozkoszowało się najbardziej stężonym ze znanych mu dotychczas pokarmów. Wchłaniało węglowodany, proteiny i fosfaty, nikotynę z niedopałków, celulozę z papierowych kubków i łyżeczek. Wszystko to z łatwością rozkładało i asymilowało bez szkody dla swego dziwnego organizmu. –

Tą samą drogą wchłaniało wszelkie żywe stworzenia z mikroświata – bakterie i wirusy, które na starszej planecie rozwinęły się w tysiące groźnych szczepów. Tylko niewiele z nich mogło przetrwać w takiej temperaturze i atmosferze, ale to wystarczyło, by powracający do jeziora dywan przeniósł zarazę, która obejmie całą jego planetę.

Kiedy Gwiazda Poranna wchodziła na kurs prowadzący ją do odległego domu, Wenus już umierała. Filmy, zdjęcia i próbki, które wiozł ze sobą triumfujący Hutchins, były cenniejsze, niż sądził. Pozostaną bowiem jedynym dowodem na to, że w Układzie Słonecznym życie próbowało osiedlić się niegdyś na trzeciej planecie.

Skończyła się historia rozwoju życia pod chmurami Wenus.

Przełożył Marek Cegiela

ZABAWA W CHOWANEGO

Właśnie wracaliśmy przez las, gdy Kingman jdojrzał tę szarą wiewiórkę. Wyniki polowania były raczej skromne, ale pełne różnorodności: trzy głuszce, cztery króliki (w tym jeden, aż przykro powiedzieć, osesek) i parę gołębi. A w przeciwieństwie do pewnych niewesołych prognoz oba psy wyszły z tego z życiem.

Wiewiórka dostrzegła nas w tym samym momencie. Wiedziała, że grozi jej natychmiastowa egzekucja za szkody wyrządzone w drzewostanie majątku, a niewykluczone, że strzelba Kingmana pozbawiła życia jej krewnych. W trzech skokach znalazła się pod najbliższym drzewem i znikła za nim w błysku szarości. Zobaczyliśmy ją jeszcze raz, kiedy wyjrzała na

chwile z za swojej osłony kilka metrów nad ziemią, a choć pełni nadziei czekaliśmy z bronią gotową do strzału, mierząc do różnych gałęzi, już więcej się nie pokazała.

Kingman był bardzo zamyślony, kiedy szliśmy przez trawnik, wracając do wspaniałego starego domu. Nie wyrzekł słowa podczas wręczania naszych ofiar kucharzowi – który przyjął je bez większego entuzjazmu – a ocknął się z zadumy dopiero wówczas, gdy siedzieliśmy w palarni i przypomniawszy sobie o swych obowiązkach gospodarza.

–Ten szczur leśny – rzekł nagle (zawsze nazywał je „szczurami leśnymi” z racji tego, że ludzie są zbyt sentymentalni, by strzelać do tych „małych kochanych wiewióreczek”) – przypomniawszy mi pewne bardzo osobliwe zdarzenie, jakie miało miejsce na krótko, a właściwie tuż przed moim przejściem w stan spoczynku.

–Wiedziałem, że do tego dojdzie – powiedział chłodno Carson. Spiorunowałem go wzrokiem: służył we flocie i już słyszał historyjki Kingmana, ale ja* jeszcze ich nie znałem.

–Jeśli wolicie, żebym nie opowiadał – odparł nieco urażony Kingman – to oczywiście...

–Ależ proszę mówić dalej – wtrąciłem pośpiesznie. – Zaciekawiał

mnie pan. Nie potrafię sobie wyobrazić, co może mieć wspólnego szara wiewiórka z drugą wojną jowiszową.

Kingman jakby się udobruchał.

–Chyba będzie lepiej, gdy pozmieniam niektóre nazwiska – rzekł pograżony w myślach – ale zachowam nazwy miejsc. Historia zaczyna się około miliona kilometrów od Marsa w kierunku Słońca...

K-15 był pracownikiem wywiadu wojskowego. Odczuwał doskwierający, ból, kiedy pozbawieni wyobraźni ludzie nazywali go szpiegiem, ale wówczas miał znacznie istotniejsze powody do zmartwień: już od kilku dni zbliżał się do niego szybki krążownik. Choć K-15 schlebiało, że skupił na sobie całą uwagę tak znakomitej jednostki i tylu świetnie wyszkolonych ludzi, to jednak chętnie by zrezygnował z takiego zaszczytu.

Sytuację znacznie pogarszał fakt, że mniej więcej za dwanaście godzin miał się spotkać z przyjaciółmi w pobliżu Marsa na pokładzie statku, który doskonale by sobie poradził ze zwykłym krążownikiem, możecie się więc domyślać, że K-15 był dość ważną osobą. Niestety, według najbardziej optymistycznych obliczeń, ścigający mieli dostać się w zasięg skutecznego ognia za sześć godzin. A więc po sześciu godzinach i pięciu minutach K-15 prawdopodobnie znalazłby się w rozległym i wciąż rozszerzającym się obszarze kosmosu. Pozostało mu dość czasu, by uciec na Marsa, ale to byłoby najgorsze, co onógł zrobić. Rozdrażniłby tylko napastliwie neutralnych Marsjan, nie mówiąc już o straszliwych komplikacjach politycznych. Poza tym, gdyby jego przyjaciele musieli wylądować na planecie, żeby wybawić go z kłopotu, w każdej sekundzie zużyliby paliwa na ponad dziesięć kilometrów lotu – większość ich operacyjnej rezerwy.

Miał tylko jedną przewagę, ale bardzo wątpliwą. Dowódca krążownika mógł się wprawdzie domyślać, że K-15 śpieszy na jakieś umówione spotkanie, lecz nie wiedział, że jest tak bliskie, i nie znał wielkości statku, na którym miało się odbyć. Jeżeli K-15 uda się przeżyć choćby dwadzieścia cztery godziny, to będzie bezpieczny. To „jeżeli” stało jednak pod sporym znakiem zapytania.

K-15 markotnie patrzył na mapy zastanawiając się, czy warto poświęcić resztę paliwa na ostatnią próbę ucieczki. Ale dokąd uciekać? Znajdzie się wówczas w beznadziejnej sytuacji, ścigającemu statkowi może bowiem pozostać jeszcze dość paliwa w zbiornikach, by przechwycić go podczas błyskawicznej ucieczki w ciemną pustkę, gdzie nie będzie

miął żadnych nadziei na wyratowanie, mijając swych przyjaciół, kiedy będą lecieli w stronę Słońca, z taką dużą prędkością, względną, że w żaden sposób nie uda im się go ocalić.

Niektórzy ludzie myślą coraz wolniej wiedząc, że nadchodzi kres ich życia. Wydają się zahipnotyzowani zbliżającą się śmiercią, godzą się z losem i nie mogą nic zrobić, by go uniknąć. K-15 stwierdził, że jego umysł pracuje lepiej w tej rozpaczliwej sytuacji – tak dobrze jak rzadko przedtem.

Kapitan krążownika „Doradus” – powiedzmy, że nazywał się Smith – nie był zbyt zaskoczony, gdy K-15 zaczął zwalniać. Brał już pod uwagę możliwość, że szpieg wyląduje na Marsie, ponieważ lepsze jest internowanie niż unicestwienie, ale otrzymawszy z sekcji namiarów informację o skierowaniu się małego statku zwiadowczego w stronę Phobosa, całkiem zbaraniał. Ten wewnętrzny księżyc to przecież tylko skalna bryła o średnicy około dwudziestu kilometrów i nawet iak gospodarni Marsjanie jeszcze w żaden sposób go nie wykorzystali. K-15 musi być zupełnie zdesperowany, jeśli uważa, że na coś mu się przyda.

Mały statek zwiadowczy już się zatrzymywał, gdy znikł z oczu operatora radaru na tle „Phobosa. Podczas manewru hamowania K-15 stracił prawie całą swoją przewagę odległości i teraz „Doradus” dzieliły od niego minuty, chociaż musiał zwalniać, by go nie wyprzedzić. Krążownik znajdował – się tylko trzy tysiące kilometrów od Phobosa, gdy całkiem wyhamował: po statku K-15 wciąż nie było ani śladu. Z łatwością powinno się go widzieć przez teleskop, ale prawdopodobnie był po drugiej stronie małego księżyca.

Ukazał się ponownie zaledwie w kilka minut później, jak pędził całą siłą ciągu po kursie przeciwnym do Słońca. Miał przyśpieszenie prawie pięciu G – i przerwał ciszę radiową. Za pomocą automatycznego magnetofonu nieustannie przekazywał interesującą wiadomość:

–Wylądowałem na Phobosie i atakuje mnie krążownik klasy Z. Sądzę, że wytrzymam do waszego przybycia, ale się pośpieszcie.

Nawet jej nie zaszyfrował, wprawiając tym kapitana Smitha w ogromne zakłopotanie. Założenie, że K-15 wciąż przebywa na pokładzie statku i że wszystko to jest podstępem, byłoby cokolwiek naiwne. Ale mógł to być podwójny bluff: wiadomość przekazywano tekstem otwartym najwyraźniej po to, żeby dotarła do Smitha i zbiła go z tropu. Pościg za stateczkiem to tylko strata czasu i paliwa, jeśli K-15 naprawdę pozostał ha

Phobosie. Rzecz jasna posiłki były już w drodze, im wcześniej więc krążownik stąd zniknie, tym lepiej. Wyrażenie „Sądzę, że wytrzymam do waszego przybycia” mogło być przejawem zwykłej beczelności, ale równie dobrze mogło oznaczać, że pomoc naprawdę jest blisko.

Potem statek K-15 stracił ciąg. Oczywiście wyczerpało mu się paliwo, ale w ucieczce od Słońca robił nieco więcej, niż sześć kilometrów na sekundę. K-15 musiał więc pozostać na księżycu, jego statek bowiem pędził teraz bezradnie poza granice Układu Słonecznego. Przekazywana przezeń wiadomość nie podobała się kapitanowi Smithowi, który podejrzewał, że pojazd zmierza w stronę statku bojowego, nadciągającego z jakiejś nieokreślonej odległości, ale na to nie ma rady. „Doradus” ruszył w kierunku Phobosa, zależało mu bowiem na czasie.

Sądząc z pozorów, kapitan Smith zdawał się panem sytuacji. Jego statek był uzbrojony w kilkanaście ciężkich pocisków kierowanych i dwie baterie dział elektromagnetycznych. Przeciwko sobie miał jednego człowieka w skafandrze kosmicznym, złapanego w pułapkę na księżycu o średnicy zaledwie dwudziestu kilometrów. Dopiero wówczas, gdy po raz pierwszy dobrze przyjrzał się Phobosowi z odległości mniejszej niż sto kilometrów, kapitan Smith zaczął zdawać sobie sprawę, że mimo wszystko K-15 może mieć jeszcze jakieś atuty.

Stwierdzenie, że Phobos ma średnicę dwudziestu kilometrów, jak niezmiennie podają książki o astronomii, jest wysoce zwodnicze. Słowo „średnica” zakłada pewną symetrię, której z całą pewnością brak Phobosowi. Niczym podobne mu bryły kosmicznego żużlu – asteroidy – jest bezkształtną masą skały, unoszącą się w kosmosie i oczywiście nie mającą żadnej atmosfery, a tylko nieznaczne ciśnienie. Wykonuje pełen obrót wokół swej osi w ciągu siedmiu godzin i trzydziestu dziewięciu minut – dlatego też zawsze tą samą stroną jest zwrócony do Marsa, który znajduje się tak blisko, że z powierzchni księżyca widać mniej niż połowę planety, a jej bieguny leżą za linią horyzontu. Poza tym niewiele więcej można powiedzieć o Phobosie.

K-15 nie miał czasu nacieszyć się pięknem sierpu planety wypełniającej niebo nad jego głową. Wyrzucił przez śluzę powietrzną cały sprzęt, jaki mógł ze sobą zabrać, nastawił układ sterowania i wyskoczył. Kiedy jego stateczek buchając płomieniami oddalał się ku gwiazdom, obserwował go z uczuciami, których nie chciał analizować. Nie na żarty spalił za sobą mosty i mógł tylko mieć nadzieję, że zbliżający się statek

bojowy przechwyci wiadomość radiowa., kiedy jego pusty pojazd będzie go mijał, mknąc ku nicości. Istniała również pewna niewielka możliwość, że nieprzyjacielski krążownik uda się w pościg za pustym statkiem, lecz to przekraczało nadzieje K-15.

Zaczął się rozglądać po swym nowym domu.-Słońce znajdowało się za horyzontem i jedynym oświetleniem był żółtawy odbłask Marsa, ale to wystarczało do celów K-15, który bardzo dobrze wszystko widział. Stał pośrodku nieregularnej doliny, okolonej niskimi wzgórzami i – mógłby je z łatwością przeskoczyć, gdyby tylko zechciał. Przypominał sobie dawno temu czytana historyjkę o człowieku, który podskoczył i przypadkowo na dobre oderwał się od Phobosa, co jest w ogóle niemożliwe – nawet na Deimosie – mimo wszystko szybkość ucieczki wynosi bowiem około dziesięciu metrów na sekundę. O ile jednak nie będzie uważał, może z łatwością znaleźć się na takiej wysokości, że opadanie potrwa całe godziny... a fro byłoby fatalne. Miał prosty plan: musr się trzymać jak najbliżej powierzchni Phobosa i to po przeciwnej stronie względem krążownika. Wówczas „Doradus” może sobie strzelać w dwadzieścia kilometrów skały z całej posiadanej broni, a K-15 nawet nie poczuje wstrząsu. Groziły mu tylko dwa poważne niebezpieczeństwa, a i to jednym z nich nie-bardzo się przejmował.

Laikowi nie obeznanemu ze szczegółami astronautyki plan ten mógłby wydać się zgoła samobójczy. „Doradus” dysponował najnowszą superbronią, a przy tym owe dwadzieścia kilometrów, jakie go dzieliły od jego ofiary, mógł pokonać w ciągu sekundy lotu z największą szybkością. Kapitan Smith orientował się jednak lepiej od laika i wcale go to nie cieszyło. Bardzo dobrze zdawał sobie sprawę, że spośród wszystkich wehikułów, które człowiek kiedykolwiek wynalazł, krążownik kosmiczny jest bez porównania najmniej zwrotny. To najzwyczajniejszy fakt, że K-15 mógłby kilkakrotnie okrążyć niewielką planetkę, nim kapitan „Doradusa” zdążyłby nakłonić swój statek, by zrobił to choćby raz.

Nie ma potrzeby zagłębiać się w szczegóły techniczne, ale ci, którzy nie są jeszcze przekonani, zechcą może rozważyć sobie następujące elementarne fakty. Statek kosmiczny p napędzie raketowym może oczywiście przyśpieszać tylko w jednym kierunku, to jest „naprzód”. Każde odchylenie od kursu po prostej wymaga fizycznego obrócenia statku tak, aby silniki pchały go w inną stronę. Wszystkim wiadomo, że robi się to za pomocą żyroskopów lub silników stabilizujących, ale tylko niewiele osób wie, jak długo trwa ten prosty manewr. Przeciętny krążownik z pełnym zapasem paliwa waży od dwóch do trzech tysięcy ton. co nie służy zwro189

tności. Sprawy mają się nawet gorzej, ponieważ tu nie idzie o masę, lecz o moment bezwładności, a jako że krążownik jest długi i wąski, jego moment bezwładności, jest kolosalny. Pozostaje smutnym taktem (choć rzadko wspominają o tym inżynierowie astronautycy), że obrócenie statku kosmicznego o 180 stopni z użyciem żyroskopów umiarkowanej wielkości trwa dobre dziesięć minut. Silniki stabilizujące nie są wiele szybsze, a

w każdym razie mają ograniczone zastosowanie, wprowadzają bowiem statek w, nieustanną rotację i mogą go wprowadzić w taki ruch obrotowy, że ku utraeniu wszystkich ludzi wewnątrz przypomina wówczas powoli kręcący się wiatrak.

Zwykle wady te nie są zbyt uciążliwe. Na załatwienie tak drobnej sprawy jak zmiana położenia statku pozostają do dyspozycji miliony kilometrów i setki godzin. To stanowczo wbrew zasadom poruszać się w kole o promieniu dziesięciu kilometrów, co wyraźnie dotknęło kapitana „Doradusa”. K-15 grał nie fair.

W tej samej chwili ten przebiegły osobnik podsumowywał sytuację, która równie dobrze mogła być gorsza. Trzema skokami osiągnął wzgórze, gdzie nie czuł się tak odsłonięty jak wcześniej w otwartej dolinie. Zabraną ze statku żywność i sprzęt ukrył tam, gdzie miał nadzieję ponownie ją odnaleźć, lecz to martwiło go najmniej, skafander bowiem pozwalał mu utrzymać się przy życiu ponad dobę. Niewielką paczuszkę, która była przyczyną tych wszystkich kłopotów, miał wciąż przy sobie w jednej z owych licznych skrytek, w jakie obfituje dobrze zaprojektowany skafander kosmiczny.

Jego orle gniazdo na wzgórzu zapewniało podnoszącą na duchu samotność, mimo to nie był jednak tak zupełnie sam, jakby tego sobie życzył. Sierpu na zawsze unieruchomionego na jego niebie Marsa niemal w oczach ubywało, kiedy Phobos obiegał planetę po jej nocnej stronie. K-15 widział jedynie światła jakichś marsjańskich miast i błyszczące punkciki, które oznaczały połączenia niewidocznych kanałów. Poza tym były tylko gwiazdy, cisza i zarys postrzępionych szczytów, tak bliskich, że zdawały się leżeć prawie w zasięgu ręki. Ciągle nie widział nawet śladu „Doradusa”. Przypuszczalnie przeszukuje uważnie teleskopem słoneczną stronę Phobosa.

Mars to bardzo przydatny zegar: kiedy stanie się półksiężycem, wówczas wszędzie Słońce i niewykluczone, że wraz z nim pojawi się „Do-radius”. Ale statek może się zbliżyć z całkiem nieoczekiwanej strony; mógł nawet wysłać – i to było owym prawdziwym niebezpieczeństwem – mógł nawet wysłać na powierzchnię grupę poszukiwawczą.

Początkowo takie rozwiązanie przyszło kapitanowi Smithowi do głowy, gdy się zorientował, z czym ma do czynienia. Potem zdał sobie sprawę, że powierzchnia Phobosa to ponad tysiąc kilometrów kwadratowych i że może zwolnić z załogi nie więcej niż dziesięciu ludzi, by przeszukali to bezładne pustkowie. Zapewne K-15 też ma broń.

Biorąc pod uwagę uzbrojenie „Doradusa”, to ostatnie zastrzeżenie zdawać by się mogło wyjątkowo bezsensowne. Nic podobnego. W normalnych warunkach broń osobista i inne rodzaje przenośnego uzbrojenia są tak przydatne w walce z krążownikiem kosmicznym jak noże myśliwskie czy kusze. Na pokładzie „Doradusa” całkiem przypadkowo – ' a przy tym wbrew przepisom – był pistolet automatyczny i sto nabojów. Jakakolwiek zatem grupa poszukiwawcza składałaby się z nie uzbrojonych ludzi, wypatrujących dobrze ukrytego i zdecydowanego na wszystko człowieka, który bez pośpiechu mógłby ich powystrzelać. K-15 znowu łamał reguły gry. ',

Terminator* Marsa stał się teraz idealnie prostą linią i prawie w tej samej chwili weszło Słońce nie tyle błyskawicą, ile salwą bomb atomowych. K-15 założył filtry na maskę hełmu i postanowił się,przenieść. W cieniu jest bezpieczniej. Nie tylko dlatego, że trudniej będzie go tam wykryć, ale.również z tego powodu, że jego oczy zachowają większą wrażliwość na światło. Mógł sobie pomóc lornetką,.ale „Doradus” miał teleskop elektronowy o przynajmniej dwudziestocentymetrowej średnicy.

Byłoby najlepiej, uznał K-15, ustalić położenie krążownika, jeśli się uda. Choć to ryzykowne, będzie jednak znacznie lepiej się czuć, znając dokładną pozycję statku i obserwując jego manewry. Wtedy wystarczy trzymać się tuż za horyzontem, a blask płomieni z silników rakietowych na czas ostrzeże K-15 przed każdym niebezpiecznym posunięciem. Ostrożnie wbił się na niemal poziomą trajektorię i zaczął okrążać swoją planetkę.

Zwężający się półksiężyc Marsa nikał za horyzontem, aż pozostał tylko jeden ogromny róg, enigmatycznie odcinając się na tle gwiazd. K-15 zaniepokoił się: wciąż nie dostrzegał „Doradusa”. Nic dziwnego, statek bowiem pomalowano czarną jak noc farbą i mógł się znajdować w kosmosie w odległości dobrych stu kilometrów. Zatrzymał się nie mając pewności, czy mimo wszystko dobrze zrobił. I wtedy, prawie dokładnie nad głową, zauważył jakiś spory kształt przysłaniający gwiazdy; szybko

* Terminator – (astr.) linia odgraniczająca e/eść powicr/thni ciała niebieskiego oświetloną przez Słonce od nie oświetlonej (Słownik wyra/ów obcych PWN).

sunął po niebie w chwili, gdy go spostrzegł. Serce K-15 na moment zamarło, szybko się jednak opanował i zaczął analizować sytuację, próbując ustalić, dlaczego popełnił tak straszny błąd. –

Upłynęło trochę czasu, zanim zdał sobie sprawę, że ten prawie czarny cień, przemykający po niebie, wcale nie jest krążownikiem, lecz niemal równie śmiertelnym jak on zagrożeniem. To coś było mniejsze i znajdowało się znacznie bliżej, niż początkowo sądził. „Doradus” wysłał na poszukiwania pociski kierowane, wyposażone w telewizyjny układ naprowadzający.

Było to drugie niebezpieczeństwo, jakiego obawiał się K-15, i nic nie mógł na to poradzić – tylko pozostać w ukryciu. Szuka go teraz wiele oczu „Doradusa”, lecz urządzenia te mają bardzo poważną wadę. Zbudowano je do wykrywania oświetlonych słońcem statków kosmicznych na tle gwiazd, nie zaś do szukania ludzi ukrywających się w skalnej dżungli. Ostrość ich układu telewizyjnego jest niewielka i widzą jedynie to, co znajduje się na wprost nich.

Teraz na szachownicy było znacznie więcej figur, a gra stała się nieco 'bardziej zawzięta, ale mimo to K-15 ciągle miał przewagę.

Torpeda zniknęła w ciemnościach nocnego nieba. Lecąc niemal po prostej w tym słabym polu grawitacyjnym, wkrótce pozostawi Pho-bosa daleko za sobą i K-15 czekał na to, co jak wiedział, musi nastąpić. Kilka minut później mignął mu sztylet płomieni silnika raketowego, domyślił się więc, że pocisk robi zwrot i powoli wraca na swój kurs. Prawie w tej samej chwili zobaczył inny płomień z przeciwnej strony nieba i zadał sobie pytanie, ile tych piekielnych machin wprowadzono do akcji. Z tego, co wiedział o krążownikach klasy Z – a wiedział znacznie więcej, niż powinien – miały one cztery kanały kierowania pociskami i prawdopodobnie wszystkie były teraz w użyciu..

Nagle wpadł na świetny pomysł, choć nie był pewien, czy coś z tego wyjdzie. Radio jego skafandra miało niezwykle szeroki zakres, a przecież gdzieś niedaleko „Doradus” zalewał przestrzeń falami o mocy najmniej tysiąca herców. Włączył odbiornik i zaczął szukać.

Bardzo szybko usłyszał chrypiący pisk nadajnika impulsowego. Prawdopodobnie złapał jedynie podharmoniczną*, lecz to całkowicie wystarczało. Ustalił kierunek, z którego odbiór był najlepszy, i po raz pierwszy K-15 pozwolił sobie snuć perspektywiczne plany na przyszłość.

* Po d h a r m o n i c 7 n a – (li/.) składowa drgań o c/C ; sfotliwości n -krotnic mniejszej od c /ęstotliwości podstawowej (n – liczba całkowita dodatnia) (Mały ilustrowany leksykon techniczny. Wydawnictwa Naukowo-Techniczne. 1982)

„Doradus” zdradził się sam: póki statek będzie kierował swoimi pociskami, poty K-15 będzie dokładnie znał jego pozycję.

Ostrożnie ruszył w kierunku nadajnika. Ku zdumieniu K-15 sygnał przycichł, a potem nagle znów zabrzmiał głośniej. Zjawisko to intrygowało go, póki nie uświadomił sobie, że znajduje się w strefie dyfrakcji. Gdyby był dobrym fizykiem, jej szerokość mogłaby mu dać przydatne informacje, ale nie wiedział jakie.

„Doradus” wisiał około pięciu kilometrów nad powierzchnią w pełnym słońcu. Jego „bezodbaskowa” powłoka od dawna wymagała renowacji, K-15 zatem bardzo dobrze go widział. W dalszym ciągu był w cieniu i granica światła odsuwała się od niego, uznał więc, że tu jest bezpieczny jak nigdzie indziej. Usadowił się wygodnie tak, żeby widzieć krążownik, i czekał wiedząc, że żaden z pocisków kierowanych nie zbliży się do statku na tę odległość. Pomyślał sobie, że kapitan „Doradusa” musi się już nieźle wściekać. Miał absolutną rację.

Po godzinie krążownik zaczął się ciężko obracać z wdziękiem hipopotama w błocie. K-15 domyślał się dlaczego. Kapitan Smith zamierzał rzucić okiem na antypody i szykował się do ryzykownej pięćdziesięcio-kilometrowej drogi. K-15 uważnie śledził, jaki kierunek przyjmie statek, a kiedy ten się zatrzymał, z ulgą stwierdził, że ustawił się niemal dokładnie burtą do niego. Później, po serii szarpnięć, które nie mogły być zbyt przyjemne na pokładzie, krążownik ruszył w stronę horyzontu. K-15 podążył za nim – jeśli tak można powiedzieć – lekkim spacerowym krokiem, wskazującym na to, że była to sztuka, której dokonało bardzo niewielu ludzi. Zwracał szczególną uwagę, by nie prześcignąć statku w czasie któregoś ze swych kilometrowych ślizgów, bacząc na tyły, skąd mógł się pojawić jakiś pocisk.

Pokonanie pięćdziesięciu kilometrów zajęło „Doradusowi” blisko godzinę. Było to znacznie mniej niż jedna tysięczna jego norrrtalnej prędkości, jak dla zabawy obliczył K-15. W pewnej chwili statek znalazł się na stycznej prowadzącej w kosmos i, zamiast marnotrawić czas na ponowny obrót, wystrzelił salwę z dział, by zmniejszyć szybkość. W końcu udało mu się to i K-15 zatrzymał się, aby rozpocząć następne czuwanie zaklinowany między dwiema skałami, skąd widział krążownik, samemu z pewnością nie będąc widzianym. Przyszło mu na myśl, że kapitana Smitha zdążyły już opanować poważne wątpliwości co do jego pobytu na Pho-bosie i miał ochotę wystrzelić raketę, żeby je rozproszyć. Oparł się jednak tej pokusie.

Nie na wiele zdałby się opis wypadków z następnych dziesięciu go13 – Gwiazda 193

dzin, nie różniły się bowiem żadnym istotnym szczegółem od poprzedzających je wydarzeń. „Doradus” wykonał jeszcze trzy manewry, a K-15 skradał się za nim z ostrożnością łowcy grubego zwierzka na tropie wścieklej słońcy. Jeden raz statek zmusił go do wyjścia na słońce; wówczas K-15 pozwolił mu zniknąć za horyzontem i odczekał do chwili, gdy ledwie odbierał

jego sygnały.»Najczęściej miał jednak statek na oku, kryjąc się zwykle za jakimś pobliskim wzgórzem.

W pewnej chwili w odległości paru kilometrów eksplodowała torpeda i K-15 domyślił się, że jakiś wyprowadzony z równowagi operator zobaczył cień, który mu się nie podobał,, albo że technik zapomniał wyłączyć zapalnik zbliżeniowy. Poza tym nie wydarzyło się nic, co mogłoby ożywić przebieg wypadków: właściwie cała sprawa stawała się cokolwiek nudna. K-15 niemal z wdzięcznością witał z rzadka przelatujące nad nim wśeibskie pociski kierowane, nie przypuszczał bowiem, że go dostrzegą, jeśli pozostanie w bezruchu, rozsądnie się kryjąc, Zdawał sobie sprawę, że gdyby mógł się trzymać rejonu Phobosa dokładnie po stronie przeciwnej do tej, nad którą znajdował się krążownik, nawet i pociski nie byłyby dlań groźne, ponieważ statek nie miał tam nad nimi żadnej kontroli w cieniu księżyca, dokąd nie docierały jego fale radiowe. K-15 nie widział jednak żadnego niezawodnego sposobu ukrycia się w tej bezpiecznej strefie, gdyby krążownik znowu ruszył na poszukiwania.

Wszystko skończyło się nieoczekiwanie. Nagle zawyły silniki stabilizujące, a główny napęd krążownika ryknął całą swoją niemałą mocą. Po kilku sekundach „Doradus” nikał w drodze ku Słońcu, nareszcie swobodny, wdzięczny za to, że może opuścić, nawet pokonany, tę nędzną skalną bryłę, która w tak irytujący sposób pozbawiła go należnej mu zdobyczy. K-15 wiedział, co się stało, i ogarnęło go błogie uczucie spokoju i odprężenia. Na ekranie radarowym krążownika ktoś zobaczył niepokojąco duże echo, które zbliżało się ze zbyt wielką szybkością. Teraz wystarczyło tylko włączyć światło sygnalizacyjne skafandra i poczekać. K-15 mógł pozwolić sobie nawet na luksus wypalenia papierosa.

–Całkiem interesująca historyjka – rzekłem – i teraz rozumiem, co łączy ją z tą wiewiórką. Ale przy okazji chciałbym panu zadać jedno lub dwa pytania.

–Poważnie? – spytał uprzejmie Rupert Kingman.

Lubię wszystko poznawać do końca, a wiedziałem, że mój gospodarz

odegrał pewną rolę w tej wojnie jowiszowej, o czym- rzadko wspominał. Postanowiłem zaryzykować i strzelić na chybił trafił.

–Wolno mi spytać, jak to się stało, że pan tak dużo wie o tej nietypowej bitwie? Czy to możliwe, żeby to właśnie pan był tym K-15? Carson zaczął się dziwnie krztusić.

–Nie. To nie ja – odparł z całkowitym spokojem Kingman. Wstał i ruszył w stronę magazynku broni.*

–Przepraszę panów na moment. Pójdę jeszcze sobie postrzelać do tego leśnego szczura. Może tym razem go dostanę.

Potem wyszedł*

Carson patrzył na mnie, jakby chciał powiedzieć: „To następny dom, do którego więcej cię nie zaproszą”. Kiedy gospodarz nie mógł już nas słyszeć, Carson odezwał się lodowatym tonem:

–Wszystko popsuleś. Po co w ogóle o to pytałeś?

–No, cóż. Wydawało mi się, że to on. A jakże inaczej mógłby o tym wszystkim wiedzieć?

–Prawdę mówiąc przypuszczam, że spotkał K-15 po wojnie: musieli mieć interesującą rozmowę. Sądziłem jednak, że wiedziałeś o tym, że Ru-pert przeszedł w stan spoczynku w stopniu zaledwie komandora porucznika. Komisja śledcza nie podzielała jego punktu widzenia. Mimo wszystko trudno pojąć, jak to się stało, że kapitan najszybszego statku floty nie mógł złapać człowieka w skafandrze kosmicznym.

Przełożył Marek Cegiela

POSTERUNEK

Kiedy następnym razem będziecie oglądali Księżyc w pełni na południowym niebie, uważnie przyjrzyjcie się jego krawędzi z prawej strony i przebiegnijcie wzrokiem po łuku tarczy. Mniej więcej tam, gdzie na zegarze jest godzina druga, zauważycie niewielki ciemny owal – całkiem łatwo może go dostrzec człowiek o normalnym wzroku. To wielka, otoczona ścianą gór dolina, jedna z najpiękniejszych na Księżycu, znana jako Marę Crisium – Morze Przesilen. Ze swą bez mała pięciuset kilometrową średnicą i prawie całkowicie zamknięte kręgiem wspaniałych gór, nie było jeszcze zbadane, gdy znaleźliśmy się tam pod koniec lata 1996 roku.

Nasza ekspedycja należała do dużych. Mieliśmy dwa potężne statki towarowe, które przeniosły nasze zaopatrzenie i sprzęt z głównej bazy księżycowej do Marę Serenitatis na

odległość ośmiuset kilometrów. Były jeszcze trzy małe rakiety przeznaczone do transportu na krótkie dystanse w rejonach, w których nie mogły poruszać się nasze pojazdy naziemne. Na szczęście Marę Crisium jest przeważnie bardzo płaskie. Nie ma tam żadnych wielkich rozpadlin, tak powszechnych i tak niebezpiecznych gdzie indziej, natomiast jest kilka różnej wielkości kraterów i gór. Według wszelkich przypuszczeń naszymi silnymi traktorami na gąsienicach mogliśmy dotrzeć wszędzie bez trudności.

Byłem geologiem – a ściślej selenologiem, jeśli ktoś chce się wyrazić dokładnie – kierującym grupą, która badała południowe rejony Marę Crisium. W ciągu tygodnia pokonaliśmy sto sześćdziesiąt kilometrów, objeżdżając podgórze wzdłuż brzegów dawnego morza, które falowało tu przed około miliardem lat. Kiedy na Ziemi zaczynało się życie, morze to już kończyło swój żywot. Cofające się spod strzelistych skał wody uciekły w głąb pustego wnętrza Księżyca. W miejscu, przez które przejeżdżaliśmy, szumiał kiedyś bezpływowy ocean o głębokości ośmiuset metrów, a teraz jedynym śladem wilgoci był szron, spotykany tylko w jaskiniach, dokąd nigdy nie docierało palące światło Słońca.

Rozpoczęliśmy naszą podróż wczesnym, powoli wstającym świtem księżycowym, a do zapadnięcia nocy pozostawał nam tydzień według czasu ziemskiego. Kilka razy dziennie mieliśmy wychodzić z naszego pojazdu w skafandrach kosmicznych i polować na interesujące minerały lub stawiać znaki orientacyjne dla przyszłych podróżników. W badaniach Księżyca nie ma nic niebezpiecznego czy szczególnie podniecającego. Nasze, herme-tyczne traktory zapewniały wygodne życie przez miesiąc, a w razie jakichkolwiek kłopotów można było zawsze wezwać pomoc przez radio i czekać w szczelnych wnętrzach pojazdów, aż statek przyleci na ratunek. Kiedy coś takiego się zdarzało, podnoszono okropny krzyk, że niepotrzebnie zużywa się paliwo rakietowe, a więc traktory wysyłały sygnały SOS tylko w razie poważnej awarii.

Przed chwilą powiedziałem, że nie ma nic podniecającego w badaniach Księżyca, ale oczywiście to nieprawda. Człowiek nigdy nie miał dość widoku tych niewiarygodnych gór, o wiele bardziej poszarpanych niż ich łagodne odpowiedniki na Ziemi. Objeżdżając przylądki dawnego morza, nigdy nie wiedzieliśmy, jakie wspaniałości ukażą się naszym oczom. Cały południowy łuk Marę Crisium jest ogromną deltą, gdzie niegdyś uchodziły do oceanu liczne rzeki, prawdopodobnie zasilane ulewnymi deszczami, które musiały obmywać góry w czasie krótkiej ery wulkanicznej, za młodych lat Księżyca. Każda z tych dawnych dolin zapraszała nas, prowokując do wspinaczki po nieznanach górach za nimi. Lecz my mieliśmy przed sobą jeszcze sto sześćdziesiąt kilometrów drogi i mogliśmy jedynie tęsknie spoglądać na szczyty, które przemierzają inni.

Życie w traktorach biegło według czasu ziemskiego – dokładnie o 22.00 wyślemy przez radio ostatnią wiadomość i na tym skończy się nasz dzień. Tymczasem skały na zewnątrz wciąż będzie paliło Słońce stojące prawie w zenicie, lecz dla nas to już noc, póki nie obudzimy się po ośmiu godzinach. Potem jeden z nas przygotowuje śniadanie, rozlegnie się warkot elektrycznych golarek* ktoś włączy krótkofalówkę i usłyszymy program z Ziemi. A kiedy kabinę wypełnia zapach smażonego boczku, naprawdę trudno czasami uwierzyć, że nie jesteśmy z powrotem na naszej planecie – wszystko jest takie normalne i jak w domu, poza uczuciem zmniejszonej wagi i nienaturalną powolnością, z jaką spadają przedmioty.

Przygotowanie śniadania w kącie głównej kabiny, który służył nam za kuchnię, przypadło mnie. Nawet po tylu latach bardzo dobrze pamiętam tę chwilę, gdyż radio akurat nadawało jedną z moich ulubionych melodii, starą pieśń walijską „Dawid z White Rock”. Nasz kierowca wyszedł już w swym skafandrze kosmicznym na zewnątrz i sprawdzał gąsienice.

Mój zastępca, Louis Garnett, siedział na swoim służbowym miejscu i dokonywał jakiegoś spóźnionego wpisu z wczorajszego dnia do dziennika pokładowego.

Stojąc tak nad patelnią i czekając, niby jakaś pani domu na Ziemi, aż kielbaski zbrązowieją, spoglądałem leniwie na ścianę gór zamykającą od południa cały horyzont i ginącą na wschodzie i zachodzie za wypukłością Księżyca. Góry zdawały się wznosić w odległości zaledwie dwóch, trzech kilometrów od traktora, ale wiedziałem, że najbliższą dzieli od nas trzydzieści. Na Księżycu szczegóły oczywiście nie zacierają się wraz z odległością, nie ma tam bowiem tej prawie niewidocznej mgielki, która zamazuje i czasami pozornie zmienia kształt odległych obiektów na Ziemi.

Te góry miały około trzech tysięcy metrów wysokości i stromo wyrastały z równiny, jak gdyby przed wiekami jakiś podziemny wybuch wyrzucił je ku niebu poprzez roztopioną skorupę. Nie było widać podstawy nawet najbliższej góry, gdyż kryła się za stromą wypukłością równiny, Księżyc bowiem jest bardzo małym ciałem niebieskim i miejsce, w którym stałem, dzieliły od horyzontu zaledwie trzy kilometry.

Uniosłem wzrok ku szczytom, na które człowiek jeszcze nigdy się nie wspiał, ku szczytom, które przed przybyciem istot żywych z Ziemi patrzyły, jak cofające się oceany powoli schodzą do grobu zabierając ze sobą nadzieję i poranną zapowiedź powstania planety. Słońce biło w te szczyty swym blaskiem, który mógł porazić wzrok, ale tuż nad nimi, na niebie czarniejszym od najciemniejszej zimowej północy na Ziemi, widać było świecące stałym blaskiem gwiazdy.

Już odwracałem oczy od tego widoku, gdy wzrok mój dostrzegł metaliczny odbłask wysoko na grani wielkiego cypla wrzynającego się w morze pięćdziesiąt kilometrów na zachód. Wyglądało to, jakby jeden z tych groźnych szczytów schwytał pazurami gwiazdę z nieba; pomyślałem sobie, że to kawałek gładkiej powierzchni skały odbija, światło słoneczne prosto w moje oczy. Nie było w tym nic niezwykłego. Kiedy Księżyc jest w drugiej kwadrze, obserwatorzy z Ziemi widzą czasem, jak wielkie łańcuchy górskie na Oceanus Procellarum płoną niebieskawobiałym blaskiem, kiedy na ich stoki pada światło Słońca i przeskakuje z planety na planetę. Ale ja byłem ciekaw, co to za skała świeci tak jasno. Wdrapałem się więc do wieżyczki obserwacyjnej i skierowałem na zachód nasz dziesięciocentymetrowy teleskop.

Zobaczyłem akurat tyle, żeby zaczęło mnie to dręczyć. Szczyty gór, których czysty i wyraźny obraz oglądałem w polu widzenia, zdawały się odległe tylko o niecały kilometr, ale to, co odbijało promienie słoneczne,

było wciąż za małe, aby dało się rozpoznać. Miało jednak w sobie ledwo uchwytną symetrię, a szczyt, na którym leżało, był zdumiewająco płaski. Przez dłuższy czas przyglądałem się tej błyszczącej zagadce, wyężdżając wzrok w przestrzeń, póki nie poczułem dochodzącego z kuchni zapachu spalenizny, po czym zorientowałem się, że nasze śniadaniowe kielbaski na próżno odbyły swą podróż z Ziemi.

Cały ranek spieraliśmy się na temat wyboru drogi przez Marę Crisium, a tymczasem zachodnie góry wznosiły się coraz wyżej na niebie. Nawet kiedy w kosmicznych skafandrach prowadziliśmy badania-w otwartym terenie, kontynuowaliśmy dyskusję przez radio. Moi towarzysze z absolutnym przekonaniem dowodzili, że na Księżycu nigdy nie istniało żadne inteligentne życie. Jedyne formy życia, które kiedykolwiek tam istniały, to tylko kilka prymitywnych roślin i ich nieco mniej zdegenerowani przodkowie. Wiedziałem o tym równie dobrze jak wszyscy, ale czasem naukowiec nie powinien bać się, że mógłby narazić się na śmieszność.

–Słuchajcie – powiedziałem w końcu. – Mam zamiar tam się wybrać, choćby tyrko" dla zachowania spokoju ducha. Góra ma tylko niespełna cztery tysiące metrów wysokości, to tyle, co sześćset metrów w polu ciężenia ziemskiego, a więc wycieczka ta zajmie mi najwyżej dwadzieścia godzin. W każdym razie zawsze chciałem pochodzić sobie po tych górach i choćby to może być doskonałym pretekstem.

–Jeśli nie złamiesz sobie karku – rzekł Garnett – staniesz się pośmiewiskiem całej wyprawy, kiedy wrócimy do bazy. Od tej chwili ta góra będzie prawdopodobnie nazywała się Wyglup Wilsona.

–Nie złamię karku – powiedziałem z przekonaniem. – Czy przypominasz sobie, kto był pierwszym człowiekiem, który wspiął się na Pico i Kelicon?

–Ale czy nie byłeś wtedy nieco młodszy? – spytał delikatnie Louis.

–To równie dobry powód, żeby tam pójść – odparłem z godnością.

Podjechaliśmy traktorem na niecały kilometr od cypla i tego wieczoru poszliśmy spać wcześniej. Rano miał mi towarzyszyć Garnett, który był dobrym wspinaczem i przedtem często chodził ze mną na takie wycieczki. Nasz kierowca tylko się ucieszył, że pozostanie sam przy maszynie.

Na pierwszy rzut oka skały wydawały się całkowicie niedostępne, ale dla kogoś, kto nie boi się wysokości, wspinaczka nie sprawia żadnych trudności na planecie, gdzie wszystko' ma zaledwie jedną szóstą swej normalnej wagi.– Prawdziwym niebezpieczeństwem w księżycowych górach była nadmierna pewność siebie; upadek z dwustu metrów na Księżycu zabija tak samo dokładnie jak z trzydziestu na Ziemi.

Pierwszy postój zrobiliśmy na szerokiej półce, około tysiąca dwustu metrów nad równiną. Wspinaczka nie była zbyt trudna, ale zeszywniały mi kończyny jeszcze nie przyzwyczajone do tego rodzaju wysiłku, więc ucieszyłem się, że odpocznę. Wciąż widzieliśmy traktor, który stał daleko w dole jak mały metalowy owad u podnóża skały. Przed dalszą wspinaczką przekazaliśmy kierowcy informację o dotychczasowych postępach.

Z każdą godziną rozszerzał się horyzont i widzieliśmy coraz większy obszar ogromnej równiny. Teraz mogliśmy spoglądać w głąb Marę na odległość osiemdziesięciu kilometrów, a nawet dostrzegaliśmy szczyty gór na jego przeciwległym brzegu, oddalonym od nas o ponad sto pięćdziesiąt kilometrów. Zaledwie kilka wielkich równin księżycowych jest tak płaskich jak Ma're Crisium, co sprawiało, że niemal mogliśmy wyobrazić sobie, iż półtora kilometra przed nami rozciąga się nie morze skał, lecz wody. Wrażenie to psuła jedynie grupa kraterów na horyzoncie.

Nasz ciągle jeszcze niewidoczny cel krył się na grani gór, a my posuwaliśmy się według mapy, mając Ziemię za przewodniczkę. Jej wielki srebrzysty półksiężyc, już dobrze w pierwszej kwadrze, wisiał prawie dokładnie na wschód od nas. Słońce i gwiazdy z wolna przesuną się po niebie i wkrótce zaczną zachodzić, a ona zawsze tam pozostanie na swoim stałym miejscu, przybывая i ubывая z upływem pór roku i lat. Za dziesięć dni stanie się oślepiającą tarczą, która zaleje te skały swym nocnym światłem, pięćdziesiąt razy jaśniejszym od blasku Księżyca w pełni. Lecz my musimy opuścić te góry na długo przed zapadnięciem nocy, inaczej pozostalibyśmy tu na zawsze.

Wewnątrz naszych skafandrów panował przyjemny chłód, gdyż urządzenia klimatyzacyjne walczyły ze słoneczną spiekotą i odprowadzały na zewnątrz nadmiar ciepła wytworzonego przez nasze ciała podczas wysiłku. Rzadko odzywaliśmy się do siebie poza krótkimi uwagami na temat samej wspinaczki i wyboru drogi. Nie wiedziałem, o czym myślał Garnett, ale prawdopodobnie uważał to za najbardziej wariacką wyprawę; w jakiej kiedykolwiek brał udział. Zgadzałem się z nim bardziej niż w połowie, ale radość z samej wspinaczki, świadomość, że jeszcze nikt nigdy tędy nie szedł, i przyjemność oglądania coraz rozleglejszego krajobrazu wszystko mi wynagradzały.

Nie powiem, że bym odczuwał jakieś szczególne podniecenie, kiedy zobaczyłem przed sobą skalną ścianę, którą po raz pierwszy oglądałem przez teleskop z odległości pięćdziesięciu kilometrów. Około piętnastu metrów nad naszymi głowami przejdzie w płaskowyż, a tam będzie to, co przyciągnęło moją uwagę w tym jałowym pustkowiu. Miałem prawie

całkowitą pewnością, że to jedynie zwykła skała, którą przed wiekami rozłupał spadający meteoryt, a płaszczyzny powstałej w ten sposób szczeliny są wciąż świeże i błyszczące w tej niezmaconej, niezmiennej ciszy.

Zupełna gładkość ściany nie dawała żadnego zaczepienia dla ręki, musieliśmy więc użyć drapacza. Moje zmęczone ręce jakby nabrały nowych sił, kiedy wyrzucałem nad głowę ku gwiazdom metalową kotwiczkę o trzech łapach. Za pierwszym razem nie chwyciła i powoli opadła z powrotem, kiedy pociągnęliśmy za linę. Przy trzeciej próbie łapy mocno chwyciły grunt i kotwiczki nie ruszył ciężar obu naszych ciał.

Garnett snojrzał na mnie pytająco. Widziałem, że chce iść pierwszy, ale tylko uśmiechnąłem się przez szybę hełmu i pokręciłem głową. Powoli, bez pośpiechu rozpocząłem ostatni etap wspinaczki.

Nawet łącznie ze skafandrem kosmicznym ważyłem tutaj zaledwie dwadzieścia kilogramów, więc podciągnąłem się na samych rękach, bez pomocy nóg. Przy krawędzi zatrzymałem się i pomachałem ręką mojemu towarzyszowi, a potem wgramoliłem się na szczyt, wstałem i popatrzyłem przed siebie.

Musicie zrozumieć, że do tej chwili byłem prawie całkowicie przekonany, iż nie zastanę tam nic niezwykłego czy dziwnego. Byłem prawie pewien, ale niezupełnie – przywiodła mnie tutaj właśnie ta natrętna niepewność. No, cóż, nie miałem już wątpliwości, ale prawdziwa niepewność dopiero się zaczęła.

Stałem na płaskowyzu o średnicy jakichś trzydziestu metrów. Jego powierzchnia była niegdyś gładka – zbyt gładka, żeby mogła powstać w sposób naturalny – lecz spadające meteoryty zryły ją i pocięły przez niezliczone wieki. Wyrównano ją, by umieścić tam błyszczącą piramidę, dwukrotnie wyższą od człowieka, osadzona w skale jak gigantyczny wielo-ścienny klejnot.

Przez pierwsze kilka sekund nie odczuwałem w ogóle żadnych emocji. Potem serce wypełniła mi jakaś wielka, dziwna, nie dająca się wyrazić radość. Kochałem bowiem Księżyc i teraz wiedziałem, że pełzający mech z Arystarcha i Eratostenesa nie był jedyną formą życia, którą wydał na świat za czasów swej młodości. Dawne, zdyskredytowane marzenie pierwszych badaczy okazało się prawdą. A jednak istniała jakaś cywilizacja na Księżycu; ja zaś byłem pierwszym człowiekiem, który ją odnalazł. Fakt, że spóźniłem się może o jakieś sto milionów lat, wcale mnie nie martwił – wystarczyło, że w ogóle tu dotarłem.

Umysł mój zaczął funkcjonować normalnie – analizował i stawiał pytania. Czy to budynek, świątynia – a może coś jeszcze nie nazwanego?

Jeśli to budynek, to dlaczego wzniesiono go w tak wyjątkowo niedostępnym miejscu? Zastanawiałem się, czy mogłaby to być świątynia, i już wyobrażałem sobie wyznawców jakiejś nieznannej religii, na próżno wzywających swych bogów, by ich zachowali, kiedy życie na Księżycu ginęło wraz, ze znikającym oceanem.

Zrobiłem kilkanaście kroków do przodu, by dokładniej zbadać ten obiekt, ale coś mnie powstrzymało przed zbytnim zbliżaniem się do niego. Za mało znałem archeologię, więc tylko próbowałem odgadnąć, jaki był poziom kultury tej cywilizacji, która zniwelowała tę górę i wzniosła te ściany o lustrzanym połysku, wciąż rażące mój wzrok.

Pomyślałem sobie, że czegoś takiego mogliby dokonać Egipcjanie, gdyby ich robotnicy dysponowali podobnie dziwnymi materiałami, jakich używali ci jeszcze wcześniejsi od nich budowniczowie. Ze względu na niewielkie rozmiary budowli nie przyszło mi do głowy, że mogę oglądać dzieło rasy bardziej rozwiniętej od mojej. Myśl, że w ogóle istniało jakieś inteligentne życie na Księżycu, była wciąż zbyt wstrząsająca, abym całkowicie mógł ją pojąć, a duma nie pozwalała mi pokornie pograć się w niej bez reszty.

I wówczas zauważyłem coś, co sprawiło, że włosy stanęły mi dęba – coś tak zwykłego i niewinnego, że wielu w ogóle by tego nie spostrzegło. Powiedziałem już, że płaskowyz był zryty przez meteory; pokrywał go kilkunastocentymetrową warstwą również pył kosmiczny, który zawsze osiada na powierzchni wszystkich planet, gdzie nie ma unoszących go wiatrów. Jednak pył i ślady uderzeń meteorów kończyły się zupełnie nagle na granicy koła otaczającego niewielką piramidę, jak gdyby jakaś niewidzialna ściana chroniła ją przed niszczącym wpływem czasu i powolnego, lecz nieustannego bombardowania z kosmosu.

Słyszałem jakieś krzyki w słuchawkach i uświadomiłem sobie, że od pewnego czasu woła mnie Garnett. Chwiejnym krokiem podszedłem do krawędzi przepaści i ręką dałem mu sygnał, żeby do mnie dołączył, nie wierząc, że uda mi się dobrać głosu. Potem wróciłem do koła w pyle. Podniosłem kawałek odłupanej skały i rzuciłem go delikatnie w stronę świecącej zagadki. Nie zdziwiłbym się, gdyby kamyk ten /niknął za niewidzialną barierą, ale miałem wrażenie, jakby uderzył w gładką, wypukłą powierzchnię i ześlizgnął się po niej na ziemię.

Wiedziałem, że patrzę na coś, z czym nie mogło się równać nic z okresu starożytności mojej rasy. Nie był to budynek, lecz jakieś urządzenie broniące się siłami, które rzuciły wyzwanie Wieczności. Bez względu na swój charakter siły te wciąż działały i może podszedłem do nich zbyt

blisko. Pomyślałem o wszelkiego rodzaju promieniowaniu, które człowiek w ciągu ostatnich stu lat odkrył i poskromił. Podejrzywałem, że czeka mnie zguba, jak gdybym się znalazł w zasięgu śmiertelnej, bezgłośnie emanacji nie osłoniętego stosu atomowego.

Pamiętam, że wówczas odwróciłem się do Garnetta, który dołączył do mnie i teraz stał bez ruchu obok. Jak gdyby zapomniał o mojej obecności, więc nie chciałem mu przeszkadzać i podszedłem do krawędzi przepaści, by uporządkować myśli. W dole przede mną leżało Morze Crisium – prawdziwe Morze Przesileń – dziwne i niesamowite dla większości ludzi, lecz dla mnie uspokajająco znajome. Podniosłem oczy ku półksiężycowi Ziemi leżącej w swej kołysce z gwiazd i zastanawiałem się, co zasłaniały jej chmury, kiedy ci nieznani budowniczości kończyli swe dzieło. Czy była to parna dżungla karbońska, czy niegościnnie brzeg, na który musiały wpełznąć pierwsze płazy, by zawojować ląd – czy też, jeszcze wcześniej, długotrwałe pustkowie przed pojawieniem się życia?

Nie pytajcie, dlaczego wcześniej nie udało mi się odgadnąć prawdy – j)rawdy, która teraz wydaje się tak oczywista. Podekscytowany swym odkryciem, w pierwszej chwili założyłem, że to krystaliczne zjawisko stworzyła niewątpliwie jakaś rasa żyjąca na Księżycu w odległej przeszłości, lecz potem nagle doszedłem do głębokiego przekonania, że jest ono równie obce Księżycowi jak ja.

Przez dwadzieścia lat nie znaleźliśmy żadnego śladu życia voprócz kilku zdegenerowanych roślin. Żadna księżycowa cywilizacja, bez względu na jej los, nie mogłaby zostawić po sobie tylko jednego śladu swego istnienia.

Znów popatrzyłem na świecąca piramidę, «która wydawała mi się mieć coraz mniej wspólnego z Księżycem. Nagle wstrząsnął mną głupi, histeryczny śmiech, wywołany podnieceniem i przemęczeniem – wyobraziłem sobie bowiem, że ta piramidka umie mówić i odzywa się do mnie w te słowa:

–Przykro mi, ale ja też jestem nietutejsza.

Przez dwadzieścia lat nie mogliśmy rozbić niewidzialnej osłony i dotrzeć do maszyneryi ukrytej za tymi kryształowymi ścianami. To, czego nie potrafiliśmy zrozumieć, rozbiliśmy w końcu za pomocą barbarzyńskiej siły energii atomowej i teraz patrzę na fragmenty tej cudownej, błyszczącej piramidy, którą znalazłem tam, na szczycie góry.

Nic mi nie mówią. Mechanizmy piramidy – jeśli w rzeczywistości są mechanizmami – należą do techniki znacznie przekraczającej nasze horyzonty, być może do techniki sił parafizycznych.

Tajemnica ta nie dała nam spokoju, tym bardziej że dotarliśmy do pozostałych planet i wiemy, że tylko na Ziemi powstało inteligentne życie. Nie mogła również tego zbudować żadna z zaginionych cywilizacji naszej planety, gdyż grubość warstwy pyłu z meteorytów na płaskowyżu pozwoliła nam ustalić wiek piramidy. Postawiono ją tam, zanim życie na Ziemi wyszło z morza.

Kiedy nasza planeta osiągnęła połowę swego obecnego wieku, coś nadleciało z gwiazd, przemknęło przez Układ Słoneczny, pozostawiło ten dowód swego przejścia i ruszyło w dalszą drogę. Dopóki nie zniszczyliśmy piramidy, jej mechanizmy służyły celowi swych budowniczych, a co do tego celu mogę tylko snuć domysły.

W pasie Drogi Mlecznej krąży blisko sto miliardów gwiazd i dawno temu jakieś rasy z planet innych słońc musiały osiągnąć i przewyższyć szczyty, do których my dopiero dotarliśmy. Wyobraźcie sobie takie cywilizacje, istniejące bardzo dawno temu na tle gasnącej poświaty Stworzenia i będące panami wszechświata jeszcze tak młodego, że życie pojawiło się dopiero co, za ledwie na garstce planet. Ich udziałem była samotność dla nas niewyobrażalna, samotność bogów spoglądających w nieskończoność i nie znających nikogo, z kim mogliby dzielić myśli.

Musieli badać gromady gwiazd, tak jak my badaliśmy planety. Wszystkie te gwiazdy miały planety, ale puste lub zamieszkane jedynie przez pełzające, bezmyślne stwory. Tak było z naszą własną Ziemią, nad którą l unosiły się jeszcze dymy wielkich wulkanów, gdy z otchłani za Plutonem nadleciał pierwszy statek istot z zarania. Minęli zamrożone planety zewnętrzne, wiedząc, że życie nie mogło być ich przeznaczeniem. Zatrzykali się wśród planet wewnętrznych, grzejących się wokół Słońca w jego ogniu i czekających na początek swej historii.

Wędrowcy przyjrzeni się Ziemi, krążącej w bezpiecznej strefie między ogniem a lodem, i domyślili się, że była ukochanym dzieckiem Słońca. W odległej przyszłości, winna powstać inteligencja, ale mieli przed sobą jeszcze niezliczone gwiazdy do zbadania i mogli więcej tutaj nie wrócić.

Zostawili więc posterunek, jeden z milionów mu podobnych, rozrzuconych po całym wszechświecie i obserwujących planety rokujące nadzieje, że kiedyś powstanie na nich życie. Była to więc radiolatarnia, która przez wieki sygnalizowała iakt, że nikt jej nie odkrył,

Może teraz zrozumiecie, dlaczego kryształową piramidę postawiono na Księżycu zamiast na Ziemi. Jej budowniczych nie obchodziły rasy! dopiero tworzące cywilizacje. Nasza mogła interesować ich tylko wtedy, j

gdy udowodni, że zdolna jest już przetrwać, gdyż może poruszać się w kosmosie i w ten sposób uciec z Ziemi, naszej kolebki. Prędzej czy później wszystkie inteligentne rasy muszą stanąć przed taką próbą sił. Jest to podwójne wyzwanie, gdyż z kolei zależy od opanowania energii atomowej, która umożliwia dokonanie ostatecznego wyboru między życiem a śmiercią.

Wówczas odnalezienie i rozbicie piramidy było tylko kwestią czasu. Skoro przestała już wysyłać sygnały, ci, których obowiązkiem jest ich odbieranie, zwrócą uwagę na Ziemię. Być może pragną pomóc naszej młodej cywilizacji. Lecz zapewne są bardzo[^] bardzo starzy, a często się zdarza, że starcy obłąkańczo zazdroszczą młodym.

Nie mogę teraz patrzeć na Drogę Mleczną nie zastanawiając się, z której z tych spiętrzonych chmur nadlecą emisariusze. Wybaczcie mi tak banalne porównanie, ale rozbiliśmy szybkę alarmu pożarowego i możemy tylko czekać.

Nie sądzę, żebyśmy musieli...

Przełożył Marek Cegiela

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-03-18

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/